TOWARZYSTWO WARSZAWSKIE.

Listy do przyjaciółki

przez

Baronową X. Y. Z.

TOM II.

WYDANIE DRUGIE

przez autorkę przejrzane, poprawione i znacznie rozszerzone.

W KRAKOWIE.
Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego & K. J. Heumanna
(odzn. najwyższą nagrodą na wyst. kraj. 1887).
1889.

TOWARZYSTWO WARSZAWSKIE.

TOWARZYSTWO
WARSZAWSKIE.

LISTY DO PRZYJACIÓŁKI

PRZEZ

Baronowę X. Y. Z.

TOM II.

Wydanie drugie, przez autorkę przejrzane, poprawione i znacznie rozszerzone.

W KRAKOWIE.
Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna
(odznaczonej najwyższą nagrodą na wystawie krajowej 1887).
1889.

W drukarni Związkowej pod zarządem A. Szyjewskiego.

LIST PIĄTY.

Sylwetki warszawskie.

TREŚĆ: Wstęp i zastrzeżenie. — Dawniej i dzisiaj. — Wielki pan. — Pan podstoli. — Praca organiczna i jej uosobienie. — Arystokrata-finansista. — Możnowładcze tradycye. — Dzieciak warszawski. — Mecenas sztuki. — Dobry pan. — Przymusowa luka. — Mrówcza działalność. — „Nieobecni". — Nasi dworacy. — Trzy kategorye. — Leopold Kronenberg. — Świat finansowy i jego sylwetki. — Nasza giełda. — Przemysł i mieszczaństwo. — Adwokaci. — Urzędnik Polak w służbie rosyjskiej.

Czy wśród warunków, w jakich kraj nasz znajduje się, czy wśród tego położenia, w którem niemal wszystkie drogi służby publicznej zamknięte lub skrępowane, może się wyrobić człowiek wybitniejszy, a stanowisko społeczne istnieć? Oto pytanie, które kilkakrotnie powtarzasz, a na które zaraz na wstępie niniejszego listu pragnęłabym odpowiedzieć. Ale z góry muszę cię uprzedzić, że odpowiedź ta nie będzie ani dokładną, ani dla wszystkich jasną. Pisząc zkądinąd, niż z Warszawy, i o ludziach, mających szerokie polityczne pole działania w sejmach, parlamentach, radach powiatowych i t. d. miałabym prawo postępowanie ich jawnej poddawać analizie, nad każdym zosobna zastanowić się szczegółowo, każdy rys charakterystyczny chwytać i w ten spo-

sób sylwetki moje rysować na podstawie bogatego materyału faktycznego, z obserwacyi sięgającej tam, gdzie wzrok każdego zapuścić się może, i gdzie wglądać nie byłoby niedyskrecyą, a sądzić lekkomyślnością.

Dawniej za cesarza Mikołaja, a tembardziej później za Aleksandra II można jeszcze było, pisząc z Królestwa Polskiego, mówić o ludziach, co polityczne zajmują stanowiska. Mieliśmy jeszcze resztki samorządu, mieliśmy nasze krajowe instytucye, więc można było mówić o Andrzeju Zamoyskim, o margrabiu Wielopolskim, o Tomaszu Potockim; o takich urzędnikach, jak Skarbek, dyrektor komisyi skarbu, Morawski, dyrektor komisyi sprawiedliwości, Wyczychowski i t. d. Dziś nastało takie znicestwienie całego kraju, takie odsunięcie go od wszelkiego udziału w rządzie i nienawiść do wszystkiego, co do miary i rusyfikacyjnych dążeń nagiąć się nie da, że wszelka indywidualność jednostek ginie, że są zaanihilowane zupełnie i w morzu gniotącego nas systemu toną. By dać obraz nie bawiącego i tańcującego w salonach towarzystwa, lecz całego społeczeństwa pracującego i wybitniejszych w niem postaci, na to trzeba mieć chyba potęgę słowa, obrazowania i kolorytu twórcy dantejskiego piekła. Piekielnemi bowiem są rozszalałe żądze i postępki nadnewskich i nadsprejskich potentatów, by w XIX wieku cywilizacyi chrześcijańskiej, wytępić, zgładzić i umęczyć kilkunastomilionową narodowość historyczną, by wyzuć ją z wiary, języka, przeszłości i materyalnego

bytu. Sąd i sprawiedliwość przeciw gwałtownikom Boskiego porządku i ludzkiego sumienia ześle i wymierzy Bóg i — gotujące się ponoś wypadki. Obraz tego, w czem żyjemy i na cośmy skazani — przechodzi siły twojej przyjaciółki. Skoro więc z kolei mam przystąpić do osobistych niby portretów, to muszę Cię przedewszystkiem przestrzedz, że nie będą to żywe postacie, lecz kilka zaledwie ich cieniów, jak w *camera obscura* — bez światła, słońca, nieba i krajobrazu. Nie mam bowiem zkąd czerpać farb do takich osobistych portretów, kiedy wzgląd naturalny, konieczność i doświadczenie nakazują wstrzemięźliwość; kiedy zresztą z natury rzeczy musiałabym samych tutaj używać półtonów, koloryt na szaro zamazywać, mnóstwa szczegółów nie domawiać, jeszcze więcej pomijać.... Daj jedną szarą barwę malarzowi i każ mu nią cały wymalować portret, a projekt twój w żart obróci i propozycyę zbędzie śmiechem. W podobnem położeniu znajduje się i twoja przyjaciółka. Więc nie pozostaje jej nic innego, jak pędzel i paletę odrzucić na bok, a wziąć do ręki zwyczajny ołówek i szkicować zgrubsza przynajmniej nie portrety i fotografie, lecz z umysłu zamazane niewyraźne anonimowe sylwetki. I znów przejdziemy tu różne koła naszego miasta, nie goniąc jednak za towarzyskiemi ich cechami, lecz raczej za tem, co nazwę ogólną ich, raczej społeczną niż osobistą fizyonomią.

I pierwszym, który się nam w tym przeglądzie nasunie na oczy, będzie wielki pan, magnackiego

rodu syn, dziedzic nazwiska, co ogółowi naszemu takie drogie i ukochane. Ten ma *de facto* w społeczeństwie stanowisko znaczne i wyjątkowe, zapewne niełatwe, często bardzo przykre, ale przez to właśnie niezmiernie zaszczytne. On te odziedziczone obowiązki pojmuje i stanowisku, jakie mu przypadło w udziale, sprostać godnie pragnie, choć wszystko go ogranicza i krępuje, choć wszystko pozycyę jego tak trudnem czyni, iż z każdym krokiem rachować się musi, i kiedy w rzadkich okazyach, jakie mu okoliczności na barki jego walą, chciałby i użytecznie przemówić, i użytecznej doczekać się odpowiedzi, to zawsze jednak nadaremnie... Każą mu wraz z innymi kraj ten czasem przed tronem reprezentować, każą mu w nas wszystkich imieniu wiernopoddańcze uczucia i zapewnienia składać, i u dworu asystować, i nie tytularnie tylko, lecz naprawdę ochmistrzowski sprawować urząd... On to wszystko zrobi, konieczności raczej swego nazwiska, niż stanowiska podda się, ale z tem melancholijnem przekonaniem, iż owe podróże i reprezentacye na nic się nie zdadzą, z tem uczuciem i poczuciem, że jeśli go wzywają, to na to tylko, aby był, lecz nie na to, aby go słuchać. Gdyby zaś sam niepytany przemówić pragnął, to znalazłby się w położeniu tego dziada, co wciąż gadał do obrazu, a obraz do niego ani razu... On to wszystko doskonale czuje i rozumie, mimoto jednak, ile razy mu każą, pojedzie, nie dlatego tylko, że poniekąd musi, lecz, że w tem widzi obowiązku swego wypełnienie, okazyę przedsiębra-

nia jednej jeszcze nadaremnej próby, a może trochę i w myśli, że już samą obecnością swoją przywiedzie kraj na pamięć i na to, co się w nim dzieje, najwyższą uwagę zwróci. Rycerski, pełen godności, hardości karku i tej impozycyi, którą wyłącznie na eksport zachowuje, uniknie tam z niezmierną drażliwością wszystkiego, coby mogło mieć choćby pozór prywatnego interesu, forytowania własnych spraw lub starania się o dostojeństwa, tytuły albo wstęgi, i przez to swoje osobiste w podobnych okazyach zachowanie się zyska, na przekór innym, wśród Rosyan szacunek i w wyższem towarzystwie stolicy wyjątkowe poważanie. Oni mu tej nad niemi przewagi zacności i niezależności charakteru może radziby nie przyznać, ale instynktownie ją odczuwają. Obdarzony w wysokim stopniu naturalnym zmysłem oględności, ma ten zdrowy rozsądek, co nazywają „chłopskim rozumem“, który w każdym ogółu dotyczącym kroku każe zaufanych rad zasięgać, wszystko zważyć, każdy drobiazg przezornie obmyślić, niczego na własną nie przedsiębrać rękę i pospolitą ambicyę nadziejom pożytecznej dla kraju usługi podporządkować. Niemniéj jednak choć taki do ulegania radom drugich skory, wszystkie nieprzyjemności na siebie przyjmie, a jeśli co dobrego się stanie, to je komu innemu przypisze. Jakiejś niezdrowej oligarchicznej ambicyi i chęci przewodzenia nie znajdziesz w nim ani śladu; gdyby sądził, iż wolno mu pójść za własnym instynktem, to niewątpliwie wolałby raczej nie na drugi, lecz na dziesiąty zejść

plan i spokojnie *paterna rura* uprawiać — czując jednak, iż jest inaczej i że cofnięcie się poczytaliby mu swoi za dezercyę, kolcami, jakie na drodze działalności publicznej spotyka, nie zraża się wcale i do wygodnego usunięcia się w liczny poczet „nieobecnych“ skorym nie jest. Charakter to zacny, na wskróś polsko-szlachecki, umysł od wszelkich zboczeń i doktryneryzmu wolny, intencya niczem nieskażona i żadną z pospolitych wad naszych niezaprawiona. Nie ma nic tej wykwintnej wyniosłości, ale zarazem wyłączności austryackiej np. arystokracyi, ani aroganckiej buty pogrobowców możnowładczych rodów polskich, lecz przeciwnie coś rodzimego w swem szlachecko-pańskiem obejściu, a co więcej i w zapatrywaniu na obowiązki, zbliżającem się skądinąd do pojęć, najmniej, jak wiadomo, kastowej arystokracyi angielskiej.

W kraju do wszystkich użytecznych przedsiębiorstw, skoro tylko udziału jego zapragną i pomocy zawezwą, chętnie i ochoczo przystąpi, nazwiska jednak swego użycza tam tylko, gdzie ludzi i czystych spraw pewnym będzie, na frymarkę i łudzącą firmę nie wyda i nie poniży. Zażywa też wśród wszystkich więcej szacunku niż popularności. Niejeden nie rozumiejąc konieczności i położenia sarknie czasem na jego wędrówki i sprawowane u dworu służby, każdy jednak uczci w nim rycerskiego człowieka, prawego obywatela, noszącego godnie nazwisko, co zawsze było nieskalanem i czystością intencyi w kraju błyszczało. O popularność nie dba, jeno przestrzega.

by obowiązki, które odziedziczył, godnie a w miarę możności i użytecznie spełnić. Spełnianie tych obowiązków do znaczenia ofiary i poświęcenia nie podniesie, dyskutować nad niemi nie będzie, ale pójdzie prostą drogą w przekonaniu, że cokolwiek powiedzą, sumienie będzie mieć zawsze czyste. Człowiek porządku i zachowawczych zasad, choć czuje, że w danych warunkach zyskać się niczego nie da, niemniej rąk apatycznie nie zakłada, czem może i gdzie może społeczeństwu swemu wiernie służy, czując doskonale, iż tem najlepiej sprosta tradycyi swego nazwiska i przekazanemu starszeństwem wieku stanowisku.

A teraz ten drugi, nie magnat, nie dziedzic historycznego nazwiska, lecz typ rozumnego szlachcica i obywatela wiejskiego, współczesny nasz „Pan Podstoli“. Ten ma celujące w kraju gospodarstwo, złotym odznaczone medalem, opinię doświadczonego agronoma, a przedewszystkiem rzadki zaiste w Polsce dar administrowania własną nie magnacką lecz dostatnio szlachecką fortuną. Ta gospodarcza administracya jego może służyć za wzór wszystkim rolnikom i jest naprawdę godną największej pochwały, a dowodzi, że jeśli często w sprawach ziemiańskich głos zabiera i rady drugim udziela, to nie czyni tego na podstawie li tylko książkowej teoryi, lecz na zasadzie długoletnią pracą zdobytego doświadczenia i praktyki. Obowiązki też właściciela większych posiadłości, które tak pięknie i szczegółowo wyłożył, sam wzorowo i przykładnie spełnia, a cały kraj wie,

iż wśród wszystkich moralizatorów ziemiańskich do niego jednego może nie da się zastosować przysłowie o kazaniu i plebanie. Zażywa też wielkiej wśród społeczeństwa naszego powagi, która się czasem zamienia i w przewagę. Zacności i uczciwości więcej niż najczulszej, samym współudziałem swoim każdej sprawie i interesowi — zaufanie zdobywa i obywatelskości dostateczną rękojmię daje. Z natury może hardy, często nawet szorstki i porywczy, w zdaniu niezmiernie stały, a nawet uparty, w działaniu jest zawsze jednak bardzo rozważnym i pojednawczym. Przywykły sam siebie w życiu jeśli nie w słowach, w karbach trzymać, chciałby te karby wszystkim nałożyć, a jeżeli czasem do burczenia okazuje skłonność i w dyskusyi opryskliwym bywa, jestto raczej następstwem temperamentu a może i wieku aniżeli zarozumiałości. Czuje on wybornie, co wart i co mu się należy, ale hołdów nie żądny, zdawkową popularnością się brzydzi i robi raczej wszystko, ażeby jej nie mieć, aniżeli ażeby ją osobistą kokieteryą i drobnostkowem nadskakiwaniem jednostkom i tłumom zdobyć. Zasad religijnych gorących i niezachwianych posunie się w nich czasem aż do jednostronności i ekskluzywności. Publicysta pierwszorzędny ma w piśmie wdzięk starej szkoły, wielką jasność wykładu i ten styl, co za Księstwa Warszawskiego „potoczystym“ zwano. Charakteru niezależnego, głównie tą niezawisłością innym imponuje, ma hardość własnemi siłami zdobytego stanowiska, powagę wielką i jeśli nie miłość, to za to

szacunek powszechny budzi a uznanie zyskuje. Jest on dzisiaj ostatnim może i najwybitniejszym przedstawicielem starszego grona ludzi, którzy pilnując swych domowych obowiązków rodzinnych, przechowując i sporząc rozumną pracą mienie własne, nigdy nie spuszczali z oka lecz owszem na pierwszem zawsze kładli miejscu służbę krajowi i współziomkom. Łączyli oni tę służbę, ogrzewali i podnosili do wyżyn zakonu i miłości Bożej. To też od młodości aż do sędziwego blisko wieku, widział go kraj między najpierwszymi robotnikami swymi, których zasługa tem większa, że stosunki i położenie krępowało ich ciągle i ograniczało do najszczuplejszych rozmiarów zadań ekonomicznych. Nie wiele też mogłabym przytoczyć przykładów równej ofiarności publicznej na cele chwały Bożej, miłosierdzia, wychowania i użytku ogólnego, jakie czyni ten szlachcic nie magnat, nietylko w własnym majątku ale w kraju.

Skoro pragniesz, abym Ci wytłumaczyła, co znaczy właściwie owe tak często powtarzane u nas hasło „praca organiczna“, to właśnie korzystam z okazyi, aby odpowiedzieć Ci nie ogólnikami lecz szczegółem, nie teoryą lecz praktyką. Oto spróbuję Ci nakreślić sylwetkę człowieka, który wśród innych wybitniejszych, może być przykładem owej skromnej „organicznej pracy“. Nie ogólnemi rysami lecz krwią poprzedniemu bratni, jest innego niż tamten zakroju, osobistego i społecznego wyglądu. Oddany owej cichej, spokojnej, organicznej u podstaw pracy, mniej może niż tamten w kraju i na wsi znany,

w mieście za to zażywa wyjątkowej niemal pozycyi i ma ten urok, co go jakby pewną aureolą otacza. Zajęty suchą, żmudną i uciążliwą pracą, która ani jego usposobieniu, ani naturalnemu pociągowi nie odpowiada, podjął się owego stanowiska dlatego jedynie, że w niem widział możność służenia społeczeństwu, a postawił sobie za zadanie, niczem nigdy nie gardzić, każdej chociażby najniewdzięczniejszej chwytać się roboty, a chwyciwszy się dojść w niej do względnie możliwej doskonałości i pracowitością, oraz sumiennością wypełnienia zaciągniętych dobrowolnie obowiązków innym przodować i za wzór służyć. Wzorem jest też istotnie i można go stawić za przykład, jak w takiem nawet położeniu jak nasze, należy i trzeba dług swój ogółowi spłacać i w jaki sposób owa spłata odbywać się powinna. Wykształcenie w nim duże i najróżnorodniejsze, nauka prawdziwa, wszechstronna, oczytanie wielkie, pracowitość, umysł jasny, prosty, żadnemi formułkami nie zasklepiony, umiejętność poznawania i zużytkowania ludzi rzadka i ten nadzwyczajny dar oraz i zaleta pewnego w sądzeniu ludzi, nie powiem, optymizmu, bo ten bywa często tuzinkowym, ale zdrowej i chrześcijańskiej zasady, że każdy ma w sobie jakąś lepszą stronę, której domacać się trzeba i ku ogólnemu dobru zużytkować. Dla siebie surowy i dobroci własnej roboty zawsze niepewny, w sądach o drugich bardzo jest oględnym, nie zwykł się odrazu zrażać i z punktu potępiać, lecz z dziwną wytrwałością, wyrozumieniem i cierpliwo-

ścią będzie kołatał, pukał, szturmował, aż nareszcie dodatnią strunę poruszy, wyciągnie i na niej zagra. To kierunek, który nie krzyczy, ale pociąga za sobą. Choć sam pracą przeciążony, jednak zawsze dla każdego, młodego zwłaszcza, znajdzie i czas na radę, i pomoże mu w pracy, i kilku słowy poruszy myśl dobrą, i na przedmiot, którym się tamten zajmuje, nowe rzuci światło. Marzył kiedyś o profesorskiej karyerze i był jej nawet bliskim, a szkoda wielka, że okoliczności stanęły na przeszkodzie urzeczywistnieniu młodzieńczych zamiarów i predylekcyi, bo cobyto był za profesor, co za młodzieży pedagog! Cichy, skromny, ukryty w cieniu, piastujący stanowisko, które nikogo w oczy nie bije i żadnego wpływu nie daje, wywiera go jednak na każdym, do którego się zbliży, i z którym się zetknie, a asekuracyjne swoje zadanie pojmuje także i w znaczeniu moralnem. Znałam dużo umysłów świetnych, głębokich, jasnych, znałam inteligencye, co to odrazu olśniewają i jakby blaskami promieni rażą, ale nie wiem, czy wiele zdarzyło mi się spotkać umysłów tak sympatycznych, ponętnych i pociągających, jak ten właśnie. On wzbudza nietylko szacunek, ale wśród tych, co u warstatu pracy mają sposobność poznać go, nieci rodzaj uczucia, które zakrawa na serdeczne współczucie i uznanie. Dziwny ten człowiek ma talent przekonywania. Umiarkowaniem, spokojem, wyrozumiałością i wytrwałością zdoła najzaciętszych umitygować; każdego potrafi sobie w przeciągu paru minut zjednać, każdemu swoją

spokojną, nieskaczącą w oczy nauką zaimponować; wszystko, co powie, jest głębokie, równe, akademickie, a przecież utartych frazesów tam nie znajdziesz, rzucanych z trójnoga wyroczni i zasad nie usłyszysz. Do wyklinania i potępiania *à priori* umysł i serce niezdolne; niepobłażliwość atoli i jakaś apatyczna tolerancya, lecz wyrozumiałość i zasada jednania *par la douce violence,* oto jego cecha charakterystyczna.

Ujmujący i uroku pełen w życiu i stosunkach, zażywa, nie powiem, szacunku i uznania, bo to byłoby za mało, nie powiem popularności, bo ta zwykle bywa zdawkową i nie taką cichą, spokojną pracą się jedna, ale tego *prestige,* na który składają się setki osobistych sympatyj. *La douce violence* zwycięży każdą przeszkodę... Rozciąć i zerwać węzeł nie sztuka, ale rozwikłać go — oto prawdziwej cierpliwości i talentu kunszt. On ten kunszt w wysokim posiada stopniu. Przytem rozum, bystrość, znajomość ludzi, położenia i warunków kraju, wreszcie wrodzony a wzmocniony wykształceniem i ustawiczną nad sobą samym pracą zmysł wytrawny, czynią go jedną z pierwszych w społeczeństwie naszem powag, dar zaś zdobywania serc i jednania umysłów, przystępność i serdeczność obejścia jednają mu powszechną sympatyę i miłość ludzką. Wolny od wszelkiej zarozumiałości, cienia jej nawet nie posiadając, nigdy i w niczem nie wysunie się naprzód — ale zawsze pozostanie w ukryciu, gotów, kiedy idzie o rzecz, do ostatecznego zaparcia się swojej osoby.

Nie ma dla niego rzeczy tak małej i drobnostkowej, którąby uważał za niegodną swego zajęcia się; pod tym względem wychodzi z zasady: *que les gens, qui ne veulent rien faire de rien, n'avancent rien, et ne sont bons à rien.* Od siebie wymaga bardzo dużo, ale dla drugich jest niezmiernie wyrozumiałym. Wszystko, czego się tknie, zaprawia specyalną obywatelskości cechą, przekonany, że w naszych warunkach obowiązkiem sumienia każdą chwytać sposobność, co daje chociażby nawet cień w nadziei użyteczności i społecznej korzyści. Nie ma tak suchego i specyalnego zajęcia, w któreby tej ożywczej myśli przewodniej wlać nie umiał. Pod względem religijnym bardzo jest gorącym, ale wszelkiej zbytecznej jaskrawości, veuilotyzmu i anatemów przeciwnik. Wielki, mało powiedzieć admirator, ale nawet entuzyasta odrodzenia religijnego i liberalnego we Francyi w pierwszej połowie naszego stulecia, za lat młodych był w wolnych chwilach dziennikarzem i talent publicystyczny miałby niepośledni, gdyby mu się oddał. Dziś rzadziej bezpośrednio w prasie głos zabiera, ale jeśli to kiedykolwiek uczyni, to w sposób niepospolity i powszechną zwracający uwagę. Ma doskonałe każdej pozycyi zrozumienie, wytrawność, spokój i wytrwałość, które zawsze wszelkim jego przedsięwzięciom powodzenie zapewnić muszą. W innym kraju i w innych warunkach człowiek tej miary i pokroju byłby owem drzewem, z którego się robi ministrów; tu zajmuje stanowisko skromne, ciche, ukryte, ale, że na wielu

polach „organicznie“ pracuje, więc godzien jest zaiste wyjątkowego uznania i wyjątkowej sympatyi, która tym, co go przy niegasnącym nigdy prawie ogniu roboty nie widzieli, wyda się może przesadną, ale dla znawców tego rzadkiego zaiste w naszem społeczeństwie człowieka zawsze będzie zbyt małą i niedostateczna.

Całkiem znów odrębnym będzie ten, który z natury zajęć swoich kwalifikowałby się raczej do galeryi portretów ze świata finansowego. Ten do żadnej pozycyi ogólno-społecznej pretensyi przez długi czas nie rościł i z góry się jej zrzekał, nie dlatego, aby jej nie pragnął, lecz że czuł, iż taka, jakąby chciał mieć, zająć się nie da. Rozumie więc tylko ekonomiczną działalność i jej z całym oddaje się zapałem, mając — rzadki to u nas fenomen — szczęśliwą do pieniężnych obrotów rękę i zmysł łączenia pożytecznych przedsięwzięć ze świetnym osobistym nteresem. Zwiększa on fortunę i jest dziś bodaj czy nie pierwszym w obywatelstwie ziemskiem potentatem finansowym. Ma zmysł do interesów niezwykły, przezorność i wytrawność iście bankierską, instynkt zachowawczy wydelikacony, samoistność wielką. Zapala się odrazu bardzo łatwo, ale jeszcze łatwiej z tego się zapału otrzeźwia i staje się chłodnym, krytycznym i fantazyom porwać się nie dającym, wszystko sceptycznie wprzód rozważy i na niepewne fale grosza swego nie puści. Dyskusya bywa z nim często trudna, bo ją zwykle swoją przezornością i zachowawczym instynktem zmrozi, a czasem jest

uszczypliwym a nawet osobistym. Inteligencya bardzo hojnie uposażona, doświadczenie i wytrawność w interesach wielkie, obywatel bardzo gorący, w tym kierunku do zapału nawet skłonny, wiele poważnych usług społeczeństwu naszemu oddał, kilka pożytecznych instytucyj założył i hojnie uposażył, ale i tu działalności swojej rozstrzeliwać nie lubi, tłumacząc, że robiąc dużo rzeczy naraz, żadnej porządnie wykonać nie można i że do stanowiska *d'un homme à tout faire,* ani skłonności, ani popędu nie czuje. Ztąd w wielu razach jego bierność i pozorna oziębłość. W kołach finansowych i przemysłowych wielkiej zażywa powagi, ale przy niej i pewien wzbudza postrach, naturalny wynik pieniężnej potęgi i wyższej do interesów inteligencyi. Przy szczerej, nawet głębszej miłości kraju ma jednak dużą osobistą ambicyę i dzięki temu stoi najczęściej całkiem odrębnie, niczem i z nikim nie złączony, pewny, że stanowisko, jakie posiada, na zbyt potężnych oparte podstawach, aby kiedykolwiek miało się zachwiać; spokojny, że najlepszem tego stanowiska wzmocnieniem będzie wzrost fortuny, którą tak doskonale po kupiecku obracać umie, oraz ostrożne, a pewne i zachowawcze jej używanie. Przy tem wszystkiem zaś poczucie godności i obywatelskości, oraz umiejętność imponowania nie tylko majątkiem, ale rozumem i inteligencyą. Od lat jednak paru wpływ i uznanie dla użytecznej działalności jego rosną. Inteligentne, czynne, ofiarne nawet przewodnictwo w dwóch bardzo użytecznych instytucyach dały

miastu i wykształceńszym sferom wiejskim bliżej poznać i ocenić jego niezwykłe zdolności umysłowe, takt i przytomność w kierowaniu obradami, gorliwe zajęcie się interesami przemysłu i rolnictwa krajowego, wielką bystrość, wszechstronność, praktyczność i wytrawność umysłu, a nawet gotowość do hojnego przyłożenia się własnemi zasobami jednej z instytucyi, na której czele stoi. Jeżeli dodam do tego, że zachowując spokój i godność, ma takt i umiejętność obejścia się z władzami, sądzę, że nie jedną jeszcze usługę krajowi oddać potrafi i szerszego dobije się uznania, co przy zasobach wielkich i ambicyi nie przyjdzie mu z trudnością.

Weź teraz z kolei inny rodzaj człowieka, który wzrósł do znaczenia niepośledniej, a w wielu razach zupełnie zasłużonej na naszym gruncie powagi. Będzie to arystokrata, dziedzic jednego z najpiękniejszych imion w Polsce, niezmiernej zacności i prawości a nawet nauki, ale uznania chciwy i pewnej aureoli żądny. Ten pójdzie zawsze swoim sztychem, zazdroszcząc nieco innym ich stanowisk; popularnym będzie, bo lada szewcowi poda na ulicy ramię, o zdrowie zapyta i przyjacielem swym nazwie, każdego potrafi sobie zjednać i będzie miał wydelikacone poczucie tego, gdzie i kiedy należy się w Warszawie pokazać, na jaki pójść pogrzeb, na jakiem zasiąść zebraniu, do czyjego jubileuszu się przyłączyć i t. d. W ten sposób zdobędzie sobie ową popularność, za którą dotąd więcej platonicznie, niż szkodliwie goni. Nauki i pracowitości wielkiej, wiel-

kiego zażywa wśród całego miasta szacunku i poważania, a choć to wszystko jak najzasłużeniej, to jednak każdy bystrzejszy nieco obserwator dostrzeże w nim niejakie ślady, a raczej resztki starych możnowładczych zachcianek i jakby odbłysk owej dawnych magnatów naszych wobec szlacheckiego plebiscytu zasady, iż „czapką, papką i solą, ludzie ludzi niewolą“. On ich „niewoli“ tylko „czapką“, to prawda, ale w tem niewoleniu właśnie jest coś zatrącającego o dawny oligarchizm, jest pewna chęć wzbicia się wbrew wszystkim i pomimo wszystkich. W razie danym, w innych warunkach i wśród odmiennego położenia szedłby zawsze na własną rękę, byłby „dzikim“ i niczyjemu kierownictwu nie poddałby się chyba nigdy. Istne echo i odbicie się dawnej wybujałej i niesfornej indywidualności magnackiej, co to nieraz kraj kochała bardzo gorąco, ale przez siebie i w sobie go widziała — tylko bez dawnej uprzejmości i ogłady, z jakąś bodaj obcą wcale naleciałością arbitralności i arogancyi występującej natychmiast na wierzch, skoro się zetknie nie z darzącym popularnością gminem. Z drugiej jednak strony ofiarność, mianowicie co do osoby, czasu i życia prawie ascetyczna, poczucie obowiązku i stanowiska ogromne, zdolności stosowane do nauki pierwszorzędne i jednakże przytem wszystkiem brak jasności i równowagi w umyśle, tak, że czy w nauce, czy w życiu, zawsze grozi w nim pewna jednostronność. Osobiście niezmiernie zacny, gorący, pełen tkliwej, a w skutek tego często i nużącej sentymental-

ności, pesymistą jest wielkim i zwykle wszystko w czarnych widzi barwach. Pesymizmowi temu trudno nieraz się dziwić. poniesionych w przeszłości ofiar i niezmiernie częstej inicyatywie w dobrem i dokonanych dla miasta i ogółu usług nie uznawać i przed niemi czoła nie uchylić, hołdu licznym cnotom nie złożyć, nie dziw się jednak, że pomimo tego wszystkiego, owa drobna resztka zakonserwowanego w nim oligarchizmu, korci w nim, razi i bezwarunkowej a pod wielu względami tyle zasłużonej apoteozie na przeszkodzie staje.

Robiąc dalej przegląd naszych arystokratycznych salonów, spotykam tam także młodego człowieka, który jest dzieckiem nie tylko Warszawy, ale wyłącznie warszawskiego bruku, ostatni już może zabytek tego wesołego a nawet swawolnego typu, który był dawniej specyalnością Warszawy, a teraz jest nielada rzadkością, a który tak się z miastem naszem zżył, że każdy doróżkarz inaczej go, jak po imieniu nie nazywa i zdrobniałem przezwiskiem zawsze tytułuje. W tem dziecku Warszawy pozostało dużo może jeszcze dzieciaka. Dzieciak bywa często zbytnikiem i różne ciocie, wujaszkowie, oraz „moraliści o spojrzeniu kota“, a może i ja pierwsza znajduję w nim wiele do zganienia, ale z drugiej strony przyznać muszę z pociechą, bo mam jakąś do tego tak specyalnie warszawskiego typu pewną słabość, że zaczyna się zajmować wielu pożytecznemi rzeczami, garnie się do nich ochoczo, przynosząc ze sobą nie bez pewnego dla galeryi zdziwienia -- nie-

niespodzianą dozę wytrwałości, znawstwo stosunków miejscowych i ruchliwość wielką. W każdej zabawie czy zatrudnieniu, w towarzystwie czy na wyścigach, jego temperament i rasa sprawiają, iż *ściga* się literalnie z innymi; wszędzie na wezwanie jest gotów, a kiedy się czasem zajmie, to szczerze i nie bez pewnego przywiązania. Przy wielu więcej może tradycyjnych niż osobistych brakach, stron w nim dobrych i dodatnich, a jak wad tak również i dziedzicznych zalet dużo. Umie on być w dobrem znaczeniu lubianym, ma warszawskie w obejściu się z innymi zacięcie, dużo dobrych skłonności i poczciwych chęci. To, co robi, robi na razie i dorywczo, ochoczo i wesoło, bez prozopopei i z dobrodusznością miłego chłopaka, którą niektórzy biorą często może i niesłusznie za lekkomyślność. Więcej powagi i statku byłoby mu się nieraz przydało, *bon compagnon,* zawsze i wszędzie, przywiązanie do Warszawy ma bardzo czułe i szczere, bez niej i po za nią żyćby z pewnością nie mógł i dla tego trzeba go brać koniecznie na jego rodzinnym gruncie, zważyć warunki, w których wzrósł i wśród jakich się obraca, a tak go oceniając, dojdzie się do przekonania, że bezsprzecznie było tu materyału dobrego dużo, danych wiele, a co więcej, że ten materyał zdaje się wyrabiać, dzieciak warszawski poważnieć i do społecznej garnąć się pracy. Życzę mu tego szczerze, bo ma do naprawienia wiele i w obec siebie i w obec społeczeństwa, gdyż nieraz sprzeniewierzał się wielkiemu imieniowi i do złego innych

pociągał, tych mianowicie, co przez słabość i próżność lgną do tego, co wydatne.

A teraz z kolei znowu wielki pan, prawdziwy archeolog i sztuk pięknych miłośnik oraz znawca. Ten żadnego oficyalnego stanowiska nie zajmuje, ale je ma i wykracza po za szablonowość pospolitego mecenasa sztuki. Odziedziczone po ojcu nietylko zbiory ale i stosunki z światem naukowym i literackim, z wielkim pietyzmem utrzymuje i pielęgnuje, po matce ma znów artystyczne aspiracye, żywe zainteresowanie się sztuką, gorliwe a czynne jej poparcie, wielką w obu tych kierunkach ruchliwość i skrzętność, a przytem żadnej ekskluzywności, ani śladu tego, co już kiedyś stary Witwicki tak srodze gromił, a co u nas coraz bardziej grasować zaczyna: zaściankowości i prowincyonalizmu. On się równie będzie interesował tem, co na polu archeologii, sztuki, literatury i t. d. robią, u was i gdzieindziej, jak pracami warszawskiemi, a zajęciu się temu oddaje z takiem zamiłowaniem, że wytwarza z niego rodzaj sportu. Nie tylko wciąż się uczy, swe liczne notatki uzupełnia, a zbiory kompletuje, ale się tem wszystkiem bawi. Archeologia i sztuka, to jego żywioł. O wszystkiem, co się obu tyczy, drobiazgowe zbiera wiadomości, każda nowa cegła w starożytną bramę wprawiona, musi mu być sygnalizowaną, każdy nowy przybytek do Muzeum narodowego zanotowany. Drobiazgowym jest pod tym względem, ale cała też archeologia na takiej drobiazgowości polega. Literaturą i dziennikarstwem interesuje się

bardzo, wszystko czyta i drugim do czytania daje, pod tym względem wzorowy czytelnik, sam jednak, nawet o archeologii pisuje mało, a szkoda, bo — ktoby się tego domyślał — ten przeładowany zawsze uczonemi notatkami adept tak ciężkiej i poważnej, jak archeologia nauki, ma pióro bardzo lekkie i w dziennikarstwie n. p. będzie zwolennikiem francuskiego *à la Figaro* sposobu pisania, łączącego naukę z zabawą. W zbiorach jego jest mnóstwo rzeczy pięknych i ciekawych, a rosną one wciąż jak na drożdżach nie leżąc bynajmniej bezużytecznie. Różni się bowiem tem od innych, iż nie jest o owe zbiory zazdrosnym i chętnie je udziela i pokazuje. Uczynny w tym kierunku bardzo i z tej uczynności swojej w kołach artystyczno-literackich i dziennikarskich dobrze znany. Kiedy się zważy, ilu-to konserwatyzm swych zbiorów na tem zasadza, aby żywej duszy do nich nie dopuścić i samemu nie użytkując, drugim użytkować nie pozwolić — cnota taka nabiera tem większej wartości i staje się kardynalną. Do tych archeologicznych i literackich robót, do których rękę przyłoży, przywiązuje się bardzo; pod tym względem jest iście wyjątkowym w społeczeństwie naszem żywiołem. Żadnej w nim niema niezdrowej ambicyi ani śladu chęci, aby koniecznie w takich robotach i przedsięwzięciach pierwszym i wyłącznym być panem, ze skromnością zawsze przemawia i sam jej ciągle daje dowody. W każdem towarzystwie pożądany to bardzo czynnik, w naszych stosunkach samorodny, oryginalny, a niezmiernie pożyteczny, za-

cny i dodatni odcień, do kraju i wiary ojców całą duszą przywiązany.

Byłby jeszcze do zaznaczenia ten istotny typ pana polskiego, który całkiem oddany rodzinie i obowiązkom wiejskiego obywatela, żadnych innych pretensyj nie rości, tylko tę jedną ma ambicyę, aby w swoich włościach tytuł „dobrego pana“ zdobyć i prawdziwie ojcowską nad całą swą czeladką opiekę roztoczyć. Należy on do najsympatyczniejszych naszego świata arystokratycznego figur. Wzorowy obywatel staje się ojcem rodziny w szerszem społecznem znaczeniu, i nietylko nad swymi najbliższymi, ale nad wszystkimi, co w skład jego domu wchodzą, opiekuńcze rozwija skrzydła. Uczy i do rzemiosł zaprawia sług swoich dzieci, nad ich moralnością, oświatą i dobrem z troskliwością ojcowską czuwa, zajmuje się drobnym przemysłem i specyalną w tym kierunku zakłada u siebie szkołę, patryarchalny z włościanami zawiązuje stosunek i pod tym względem za wzór wszystkim ziemianom służyć może. W tych obowiązkach jednak zamyka się cały, tłumacząc się zasadą, że one w zakres sumienia wchodząc całkowitego wymagają poświęcenia się i wyłącznej troski, więc wszystko inne na bok odłoży, a tym, co mu powiedzą ze starożytnym mężem, że *et haec facienda, et illa non omittenda,* odpowie, iż skoro to pierwsze dobrze dziś wypełnić można, do innych rzeczy rwać się nie potrzeba i działalności swej rozstrzeliwać nie należy. Ztąd w Warszawie mniej może będzie w sferach miejskich znany, chociaż

wyjątkowym urokiem i najwykwintniejszą bodaj zalotną uprzejmością i obejściem zjedna sobie powszechną sympatyę i szacunek, a tem, co dla ludu robi, pozyska powszechną aprobatę.

Powag dawnych z przed dwudziestu kilku laty jeszcze dzisiaj kilka w kraju się ostało. Postacie to wybitne, choć dziś już więcej do przeszłości, niż do teraźniejszości należą. Gdyby nie obawa, że im się narażę i przykrość sprawię, rozpisałabym się o nich obszerniej, a znalazłabym ich wiele jeszcze w tej instytucyi, która jedna zachowała zasadę wybieralności i ma jeszcze nie domniemanych, lecz istotnych kraju reprezentantów. Wiem jednak dobrze, że jeśli gdzie, to tu właśnie winnam być jak najbardziej ostrożną i w pochwałach, oraz sylwetkach, do których rwie się moje pióro, oględną. Więc będzie w tym rozdziale luka wielka, bo w pobieżnej galeryi szkiców warszawskich zabraknie niestety tych, którzy bardziej może, niż wielu innych warci są obserwacyi i ponętny do niej stanowią materyał. Dobra jednak rada każe mi pierwotnego zaniechać zamiaru, a kiedyż owej rady nie posłuchać, jeśli nie wówczas, skoro stosuje się ona właśnie do „radców“. Niepodobna jednak, abym tę kategoryę naszych społecznych powag zupełnie pominęła milczeniem.

Spróbuję zatem choć prześliznąć się po wierzchu i tu i owdzie jakiś rys wybitniejszy zanotować. Więc na czele spotkam najprzód człowieka stworzonego może więcej na pedagoga, niż na męża publicznego: bogaty on wykształceniem fachowem, gruntowną

znajomością rzeczy, wytrawną rozwagą, sądem i cierpliwością ogromną. Ceni bardzo naukę i postęp materyalny, sam ma rzadki zmysł rządności, bez najmniejszego cienia sknerstwa lub chciwości, wzór dobrego ojca, pana i gospodarza, synów potrafił wychować i wykształcić tak, że już dziś część moralnej spuścizny ojcowskiej przypada im w udziale, w obejściu nader prosty, spokojny i niczem nierogaty, tak, że i to samo zapewnia mu już przyjaźń sąsiadów i wielkie w kołach ziemiańskich wzięcie. Kraj kocha głęboko, a szuka podźwignienia jego w rodzinie i należycie pielęgnowanej ojcowiźnie. Dwa te cele osiągnął też zupełnie. Dom jego, rodzina, gospodarstwo tchną wonią zacności, pracy i umiejętnego postępu. Umysł wytrawny, lecz chłodny, natura więcej kwakierska, ogromnie surowa i purytańskiej niepokalaności przestrzegająca; zasług wiele i licznych. Choć mimochodem muszę więc przed takim obywatelem czoła uchylić i przynajmniej w tych kilku słowach wielkiej jego zacności, przeszłości i teraźniejszości hołd złożyć. Albo znów ten, co się już dzisiaj niestety zupełnie usunął. Badacz przeszłości w przedmiocie stosunków rolnych, ekonomista i rolnik, pisarz dziwnego wdzięku i jasności, umysł wielkiej szlachetności, ale trochę marzycielski i do utopii skłonny. Każda naukowa nowość będzie go wabić, a brak silnych filozoficznych zasad wytworzy pewien eklektyzm. Te zbyt nieraz poetyczne i humanitarne aspiracye otoczą go jakąś mgławą atmosferą, utworzą nad jego głową nimbus jakiejś jakby nie-

ziemskiej zadumy i szlachetności. Dziś on usunął się niestety, ale dawniej pierwszorzędnej zażywał powagi, i dlatego żadną miarą zupełnem milczeniem pominąć się nie da, bo wszędzie, dokąd pracę swoją skierował, zostawił ślady swej bardzo podniosłej osobistości.

Albo wreszcie ci inni jeszcze, co z wielkiem poświęceniem i gorliwością oddają się cali obowiązkom; ci pracownicy cisi, spokojni, wytrwali, niezmordowani, którym każdy przypatrzywszy się bliżej, hołd i uznanie złożyć musi, tych paru, co ostali się jeszcze z przed lat trzydziestu, a jak dawniej, tak i dzisiaj wielkiej zażywają powagi i zasług bardzo wiele położyli. W młodszem także pokoleniu naliczysz kilku tchnących obok praktycznego zmysłu, rzadką bystrością, nieraz niezwykłą pracowitością, którzy dźwigają na swych barkach mnóstwo najrozmaitszych zajęć, każde z nich wypełniają wzorowo. Są między nimi ludzie nauki i pisarze, którzy literaturę umieją doskonale łączyć z ziemianina obowiązkami, są rolnicy, ekonomiści, publicyści, redaktorowie, finansiści i t. d., słowem jest wielu takich, co podwaja się i potraja w swoich obowiązkach. Z jakąż przyjemnością i gustem opisałabym ich wszystkich po kolei, z jaką lubością przedstawiłabym Ci tyle odmiennych figur i cech charakterystycznych... a możebym i niejedną wielką zasługę i charakter na jaw wyciągnęła. Ale cóż, trudna z radcami rada... Więc wolę zaczekać sposobniejszej do zupełnej szczerości chwili, wolę tę seryę moich sylwetek na przy-

szłość odłożyć, a może dożyję owego momentu, w którym nie oglądając się już na nic, będę mogła spokojnie ich wszystkich naszkicować i po kolei ci, jak się dawniej mawiało: „zarekomendować“. Dziś zaś kusić się o to niepodobna, choćby ze względu, iż skoro są mniej szerszemu ogółowi znani, anonimowe i ogólnikowe ich sylwetki nikogoby nie zajęły, a z konieczności stałyby się mdłe, nikłe i zamglone. Muszę jednak zrobić choć mimochodem wyjątek dla dwóch z nich. Pierwszy, to jeszcze reprezentant tego schodzącego już dziś pokolenia, co od młodości aż do chwili obecnej niestrudzone w pracy i zapale, było i jest wszędzie, gdzie tylko nadzieja dobra i podniesienia społeczeństwa choć na chwilę wychylać się zdawała. Był on zaraz najpierwszym w grupie, która skupiła się około Andrzeja Zamoyskiego i rozpoczęła swą działalność od wydawnictwa „Roczników gospodarstwa krajowego“. Świecił w Towarzystwie Rolniczem wpływem, niezmordowaną pracą, zawsze szlachetną, choć nieraz zbyt optymistyczną inicyatywą w ocenianiu ludzi, środków i położenia rzeczy — ale ten optymizm i czułość miały raczej swe źródło w przechowanym, mimo lat podeszłych, zapale, wierze w dobro i niezrażonej niczem wytrwałości około narodowego dorobku, bo własny zawsze tamtemu poświęcał. Najdawniejszy dziś członek Komitetu Towarzystwa kredytowego, jak od pierwszej chwili, tak dotąd przoduje w nim pracą i oddaniem się zupełnem jego interesom. Człowiek gorącej, budującej wiary i miłości bliźniego, służy wszędzie,

gdzie to hasło ujrzy, a że posiada bardzo łatwe, płynne i ciepłe pióro, więc jeszcze znajduje czas, by i tym sposobem krajowi służyć, do piękna, prawdy i dobra ukochanych starszych i młodych ziomków swych nawoływać, użyteczną pracę i środki do niej wskazywać. Bardzo to piękna postać i żywot.

Drugi — do młodszego należy pokolenia i w Komitecie pierwsze choć pierwszorzędne zdobywa szewrony. Z jego rumianej, otwartej i wesołej twarzy bije zdrowie fizyczne i moralne. Umysł praktyczny, bystry, lotny, zawsze żywy i świeży, rozporządzający wielkim zapasem nauki i wiadomości technicznych i rolniczych. Wie jednak, jak je stosować i w własnym majątku, którym doskonale zarządza, nie bawi się w przedwczesne teorye i próby. Człowiek to fazy, że tak powiem, gospodarczej w kraju, gospodarczej w szerokiem tego przymiotnika znaczeniu. Przysłużył się krajowi doskonałą książką rolniczą, jest duszą pisma, tymże interesom poświęconego oraz nowego wydania Encyklopedyi rolniczej. Organizacya to niepospolita, pełna umysłowych zasobów, żywotności, czynności i ruchu — charakter bardzo czysty i zacny, usłudze publicznej z zapałem oddany, a że wielkiem zdrowiem fizycznem rozporządza, więc ma czas na wszystko, a zawsze ze świeżym zapasem sił i myśli. To też może nadużywają inni i on sam tej łatwości udzielania się i dwojenia na różnorodne roboty, poczynania i użyteczne przedsięwzięcia. Ta jasna, pogodna, trochę nawet rubaszna powierzchowność, kryje jednak niezwykły zapas finezyi, prze-

nikliwości, sztuki poznania i posługiwania się ludźmi. W działaniu na nich pojedynczo i w zebraniu, wszystko naprzód przewidzi, obmyśli, skombinuje i przygotuje. Wszystkich zna, bez różnicy barw i opinii (byle uczciwych) — nikogo zbyt stanowczemi i ustalonemi przekonaniami nie zrazi. Byłby z niego w publicznych zebraniach agitator i łącznik zarazem niepospolity. A że zacny, prawy, kraj kochający, więc darów tych nie nadużyje i wiele jeszcze usług oddać może i na coraz szersze uznanie, o które dba wielce, zasłuży.

Z kolei trzeba mi jeszcze wrócić do paru ogólnych uwag, a przedewszystkiem do naszych „nieobecnych“ i tych także, co swą obecność w odmienny od wszystkich i innych zaznaczają sposób.

Przed paru laty wielkiej wrzawy narobił ogłoszony w *Niwie* artykuł p. t. „Nieobecni“. Wzywał on tych wszystkich, co historyczne noszą imiona i rodzinną odziedziczyli fortunę, aby bardziej garnęli się do służby społecznej i nie pozwalali na zaleganie wszystkich wybitniejszych stanowisk przez ...b e r g ó w, ...s t e i n ó w i ...b l u m ó w. Artykuł wywował senzacyę; odpowiedziało nań z wielkim spokojem i umiarkowaniem *Ateneum*, wmieszały się w dyskusyę inne pisma, słowem kwestya „nieobecnych“ stanęła na porządku dziennym i rozprawy przybrały bardzo poważne rozmiary. Otóż według mnie cała ta dyskusya miała jedną słabą stronę, tę mianowicie, że w wielu razach była to strzelanina na wiatr. Aby kogoś wzywać do zajęcia stanowiska, trzeba

przedewszystkiem otworzyć mu do niego drogę, a tych, co się tej pracy podjęli, nie zrażać i fałszywych przeciw nim nie rzucać podejrzeń. Nie myślę tu bynajmniej brać w obronę arystokracyi naszej ogół; są w niej światli ludzie, wiele pracowitych pszczółek, są jednak i trutnie. Ale tych ostatecznie gdzie niema, i w jakiej warstwie społecznej nie przyjdzie się na nich użalać? Ci, co siedzą na wsi, pracują w miarę możności, zdolności i upodobania i równie dobrze, jak zwyczajni szlachcice, sprawują urzęda gminne, służą Towarzystwu kredytowemu, starają szerzyć moralność i oświatę między ludem i t. d. Ale niech który z nich właśnie dla tej „służby społecznej“ wieś rzuci i do Warszawy zjedzie, niech tu czynniejszemu zapragnie oddać się życiu i puści się na pole ekonomiczne i finansowe, wnet ci sami nawoływacze i współziemianie krzykną na niego, że pracuje „u żydów“, że im się wysługuje i od nich jest zależnym. Proszę mi teraz z takiego błędnego koła znaleźć drogę wyjścia. Do urzędu nie wstąpi, bo go nie puszczą, zresztą dziś przyniósłby w nim raczej szkodę, niż pożytek krajowi; jeśli na skromnej ziemianina roli poprzestać nie zechce, jedyna przed nim tylko droga stoi otworem: ekonomiczno-finansowa. Ta spoczywa właśnie w rękach „żydów“ lub ex-żydów, przez nich głównie rozszerzoną została, ich kapitałami się ożywia. Jeśli więc na nią chce wejść, musi koniecznie z temi sferami się zetknąć i do wspólnej nieraz z nimi zaprządz się pracy. I za to właśnie, że tak się stosunki ukształtowały, za to,

że *homo novus* przychodząc do nich ani wszystkiego odrazu zmienić, ani *status quo* obalić nie w stanie, sypią się na biedną jego głowę krzyki, że bergom i steinom zależność swą zaprzedał, że im się wysługuje i za narzędzie wpływu, oraz znaczenia używać się daje. Trzeba tu być konsekwentnym i albo „nieobecnych“ wcale nie wołać, lub zawoławszy, kiedy na tę jedynie niekiedy i niestety otwartą i praktyczną wstępują drogę, nie piętnować. Inaczej bowiem przyjść koniecznie musi posądzenie, że tu nie o istotny interes kraju, lecz o popularny okrzyk i błyskotliwy fajerwerk chodziło.

Historycznym rodzinom nie brak tak samo trutniów, jak nie brak ich finansowym, przemysłowym, ziemiańskim i handlowym. Ci, co w kraju nie siedząc, majątki swe za granicą trwonią; ci, co li tylko sobkowskie mając na oku cele o wszelkich obowiązkach społecznych zapominają, życie z dnia na dzień pędzą, nazwisko swe i tytuł poniewierają — ci są, byli i będą zawsze — równie dobrze u nas, jak w Galicyi, w Poznańskiem, jak są wreszcie we wszystkich innych krajach i społeczeństwach. Tak ich nawoływać „daremny trud i próżne żale“, bo takich bezmyślnego życia nic nie zmieni, a zaiste lepiejby było i praktyczniej, przeciw tej drugiej powstać wadzie i ludzi pracy, stanowiska i istotnych zasług od niegodnych a więcej lekkomyślnych i szablonowych, niż złośliwych zasłaniać szkalowań. Ostatecznie wolę ja jeszcze tamtych osławionych lekkoduchów i zwyczajnych mieszczańskich roturierów, wolę całą

tę kategoryę „nieobecnych“ od tych, na szczęście nader rzadkich, którzy na innych tu polach obecność swoją zadokumentować pragną i do różnych stanowisk się pną, sądząc naiwnie, że są one politycznemi, i że płaszczykiem służby publicznej pokryć się dadzą.

Takich w Warszawie na paru palcach policzysz ale ci, którzy są, stanowią ciekawe okazy i nieraz bardzo zabawne dla obserwatorów egzemplarze.

W świetnej swej przedmowie do *Wesela Figara* Beaumarchais dzieli dworaków na kategorye, dające się poniekąd zastosować do tych, co u nas tytularnie dworskie piastują urzęda i szambelańskie noszą klucze. Naturalnie, że należy liczbę i widownię do drobniutkich sprowadzić rozmiarów. Pierwszą nazywa: *l'homme de la cour,* kwalifikuje ją jako *un noble 'état* i powiada: *qu'il est l'homme de qualité vivant avec la noblesse et l'éclat que son rang lui impose aimant le bien par goût et sans intêret; loin de jamais nuir à personne, il se fait estimer de ses maîtres, aimer de ses égaux et respecter des autres.* Są u nas szambelani i kamerjunkrzy z przypadku, ze wstrętnej dla nich konieczności, ale są i z gustu i pociągu, nawet w takich sferach, które dość piękne noszą nazwiska, żeby obejść się bez tych szewronów i klucza do odznaczenia i wyróżniania się wśród Polaków. Wśród tutejszych dworaków znajdziesz i szambelanów bardzo podobnych do tego, jakim w Jowialskim bawi nas Żółkowski, znajdziesz typy iście warszawskie, wyobrażające sobie, że te

klucze i mundury dają im jakąś specyalną pozycyę i w społeczeństwie znaczenie. I między nimi będą tacy, którzy cię tylko zabawią; będą inni, co oburzą i zgorszą. Jeśli ktoś opowiadając o sobie da ci zlekka do zrozumienia, że mu się excellencyi tytuł należy, że musi być niezmiernie ostrożnym, bo na niego wszystkich oczy zwrócone, jeśli w najbardziej nawet zaufanem kółku będzie ci się z każdem słowem wahać, a kiedy o rządzie i jego postępowaniu mowa, zrobi minę taką, jakby mu tego wszystkiego przykro słuchać było, bo on także do tego rządu należy i solidaryzować się z nimi musi — wszystko cię to niezmiernie zabawi, ale powiesz: Fredrowski to szambelan, śmieszny, lecz nieszkodliwy.

Weź jednak drugiego, który już nie poprzestaje na skromnej, choć napuszystej roli, lecz w swojem przekonaniu wielką polityczną spełnia misyę i na świeczniku społecznym stoi, a jest w gruncie niczem, najpospolitszem zerem, już nietylko śmiesznem, ale coś więcej nawet. Niezależny i niczego właściwie nie potrzebujący, z zamiłowania przed każdym nawet najmarniejszym władzy reprezentantem korzyć się będzie, lada orderzynę z największą rozkoszą złapie, dla jednego więcej na mundurze galonu gotów się we dwoje zgiąć i bić czołem przed każdym wpływowym dygnitarzem; serwilista, który pozyskanych tą drogą dostojeństw i honorów nawet dla siebie, dla osobistego interesu zużytkować nie potrafi; Strachajło, który własnego cienia obawiać się będzie i w jednej tylko umie stanąć postawie: pokornego

dworaka, o nową jakąś gwiazdkę lub świecidełko tentującego.

Nie mówię już o kraju, ale on sam, ani nikt żadnego z tych dostojeństw i rang dworskich nie będzie miał pożytku; boi się on narazić lokajowi ministra, a umarłby ze strachu, gdyby mu przyszło przemówić za kim słówko lub wstawić się w czyimś interesie. Ten to już nie będzie *l'homme de la cour,* ale zaliczyć go przyjdzie do tej drugiej kategoryi Beaumarchaisgo *(l'homme de cour) pressant la main à tout le monde en glissant chemin à travers; menant finement son intrigue avec l'air de toujours servir; ne se faisant point d'ennemis mais donnant, pres d'un fossé, dans l'occasion, l'épaule, au meilleur ami... laissant à part tout prejugé qui pourrait ralentir sa marche; souriant à ce qui lui déplait et critiquant ce qu'il approuve selon les hommes qui l'écoutent.* Słowem jak powiada La Fointaine:

Prenant tout, pour le faire court,
En véritable homme de cour.

Ten czasem więcej niż śmiechu i politowania godzien, a żałuję bardzo, że nie wypada mi przytoczyć pewnego wierszyka, który przed laty obiegał po całej Warszawie, a charakteryzował go doskonale. W wierszyku tym była mowa coś o profilu i o tem, „że przed władzami, jak pantofel“, że „czasem pruski, zawsze ruski“, i że z gośćmi „kelner grzeczniusieńki...“ Dom prowadzi rzeczywiście

bardzo otwarty, ale znajdziesz tam zbieraninę z całego świata, a przedewszystkiem masę urzędników i oficyalnych figur, i to bez żadnego wyboru, od najwyższych aż do najniższych, a ktoś zapewniał mnie niedawno, że spotkał tam nawet komisarza policyjnego z poblizkiego cyrkułu... Chodzą do niego wszyscy, bo zacnej i godnej szacunku rodzinie nie chcą robić przykrości i za „cudze winy“ ją karać. Ale on sam tego nie rozumie i tłok na swoich balach oraz rautach bierze za uznanie dla siebie i swego towarzyskiego eklektyzmu, który do znaczenia zasady i programu politycznego podnosi. Gdyby już koniecznie przyszło coś przytoczyć jako okoliczność łagodzącą, to z drugiej strony przyznaćby można, iż nigdy własnego interesu materyalnego nie szukał i nie osiągał. Dobry mąż i dobry ojciec, w gruncie może nie zły, a przynajmniej nigdy nikomu nie zaszkodził. Nawet pewnej, ale spaczonej inteligencyi odmówić mu nie można. Niezmiernie uprzejmy i równie dla wszystkich grzeczny. Złe tkwi w braku godności i prostego, jasnego rozsądku, wreszcie w tajonej zazdrości do wszystkich wyżej od niego społecznie położonych; bo gryzie go właśnie, że z niewysoka przyszedł. Ztąd chciałby popularności, a nie umie jej pozyskać. Ztąd może i po części wyrobiło się i ugruntowało w nim dworactwo miernego rodzaju, obok niesłychanego kultu dla władzy w reakcyi przeciw polskiej anarchiczności. Umysł mętny, a charakter bez poczucia szlachetnej godności, resztę na tem podstawowem tle wyrobiły.

Obok niego stanie inny, równie dworak, jeszcze od tamtego zabawniejszy, tylko bardziej naiwny i niewinny. Ten będzie się miał za paladyna monarchicznych zasad, i kiedy o królu hiszpańskim powiesz coś swobodniejszego, zatknie uszy i słuchać nie zechce, powtarzając z swej głębokości:

— *Qu'une tête couronnée est toujours une tête couronnée.*

Dla niego gwiazda orderowa, nowa *lenta* jest szczytem marzeń i ziemskiego szczęścia, dwór i obcowanie z książętami krwi, Mahometa rajem. Kiedy otrzyma nową jaką wstęgę, pójdzie na grób rodziców modlić się pobożnie w najgłębszem przekonaniu, że ich właśnie wstawiennictwu w niebiosach szczęście to i blask zawdzięcza, w niego potrafisz żartobliwie wmówić, że kraj cały widzi pomyślną dla siebie wróżbę w gwiaździe, jaka na tę dostojną pierś spadła. Wszystko to weźmie za dobrą monetę; naiwnie uwierzy, że ma stanowisko i jest personatem. Z takiego więcej się śmiać, niż się nim gorszyć należy.

Jak we wszystkich poprzednich listach, tak i tu powtarzać Ci muszę, że nie o same dodatnie społeczeństwa naszego idzie mi strony, lecz o wierny jego obraz, o prawdę, która nie pozwala zatajać chociażby najciemniejszych rysów, wypierać się nawet wyjątków. Zanadto jesteś rozsądna, ażebyś miała z tego gremialne wyciągać wnioski — i wiesz zbyt dobrze, zwłaszcza jeśli, jak u nas, podobne egzemplarze bynajmniej tolerowane nie są i wszyscy ludzie

poważniejsi doskonale na nich poznać się i swoje o nich zdanie dać uczuć umieją, a towarzystwo także od nich stroni i tylko wyjątkowo a bardzo niechętnie przyjmuje. A teraz przejdźmy z kolei do innych sfer naszego miasta.

Świata finansowego Warszawy, jego historyi, powstania, prądów, zasad i zwyczajów nie może poznać dokładnie ten, co nie przypatrzył się całej działalności Leopolda Kronenberga i nie miał sposobności studyować jej *in anima vili*. Postać to niezmiernie wybitna, nasz świat handlowy sam niemal stworzył i nadał mu cechy, jakie pomimo wszystkiego do dziś dnia jeszcze ostały. Rzecz dziwna, że nikt nie napisał wyczerpującej i zupełnej życia jego biografii, chociaż podobna praca jest i wielce ponętną, i dla badaczów ekonomicznego rozwoju Warszawy i Królestwa niezmiernie ważną.

Studyum Kraszewskiego w *Ateneum* nazwaćby raczej można wspomnieniem osobistego przyjaciela, aniżeli nawet materyałem dla późniejszego biografa. Jakim był Leopold Kronenberg człowiekiem, możesz się ztamtąd dowiedzieć, ale co właściwie dla kraju zrobił, jakie położył dlań zasługi, opisu przewrotu w finansowym świecie naszym dokonanego, zasad w nim wszczepionych, zwyczajów zaprowadzonych i t. d. nie znalazłabyś wcale. Naturalnie, że braki te uzupełniać nie może być mojem zadaniem, pragnęłabym tylko współczesne finansowej Warszawy sylwetki uzupełnić tą jedną pośmiertną w przekonaniu, że tak wybitnej i w śladach do dziś dnia

jeszcze widniejącej postaci żadną miarą pominąć nie można.

Zastrzedz się muszę z góry, że sądząc człowieka, którego działalność była przeważnie kupiecką i finansową, a doprowadziła go do wyjątkowej w kraju fortuny, który wyszedł z plemienia i stanu nie zrosłego rdzennie z krajem, nie można go mierzyć miarą ludzi, co żywot swój, serce, umysł, na ołtarzu ojczyzny lub bliźnich złożyli, ogniem poświęcenia i ofiary na nim się wciąż palili. Nawet do niższej skali powołania i działalności wymagania stosując, sam L. Kronenberg nieraz mawiał, że „należy odróżniać uczciwość zwykłego człowieka od uczciwości bankiera“ i pragnieniem jego było na sobie tę możliwą harmonię uwydatnić.

Leopold Kronenberg wyrasta po nad poziom zwyczajnych świata finansowego potęg nietylko inteligencyą, niepospolitą przenikliwością, charakterem i siłą woli, ale całą swoją indywidualnością. Pospolitych cech swego pochodzenia, tak łatwych do odszukania wśród najlepszych nawet wyjątków, nie miał on żadnych: ani arogancyi, ani pyszałkowatości, ani tendencyi zużytkowania złych instynktów ludzkich. Jeśli co ostało się w nim żydowskiego, to pracowitość, wytrwałość ku jednemu celowi skierowane, spryt do interesów i bajeczny ze szczęściem sojusz. Powodzenie sprzyjało mu wiernie, nawet wówczas, kiedy pierwsze najtrudniejsze stawiał kroki, kiedy dobijając się fortuny miał to niepraktykowane niemal w świecie finansowym szczęście, że zarodek

jego milionów (monopol tabaczny) powstał nie w żadnem nadużyciu, przekupstwie lub podejrzanej spekulacyi, lecz jedynie w nader pomyślnym zbiegu okoliczności, w sprytnem zrozumieniu interesu i energicznem jego prowadzeniu. Objął administracyę tabaczną zorganizowaną źle, kierowaną niedbale i niedołężnie ze stratą równie skarbu, jak i publiczności, której potrzeby lekceważono, dostarczając złego towaru. Zaprowadził natomiast służbę sprężystą, zdolną i uczciwą, był niezmiernie przedsiębiorczym, założył nową i dużą fabrykę; umiał doskonale połączyć własny interes z interesem swoich odbiorców, jakby pamiętny maksymy Figara: *c'est faire à la fois le bien public et particulier: chef-d'oeuvre de morale.* Nie o gwałtowne dorobienie się jednym zamachem olbrzymiej fortuny chodziło mu wyłącznie, lecz o handel uczciwy, zdrowy i racyonalny. Więc dostarczał towaru wyborowego po niskich cenach. Ztąd konsumpcya tytoniu zaczęła olbrzymio w kraju wzrastać i publiczność była zadowoloną, przedsiębiorca zarabiał dużo i wciąż skarbowi tenuty podnosił, nieznany dotychczas w kraju przemysł tabaczny rozwinął się i L. Kronenberg znalazł się wkrótce w posiadaniu pierwszego miliona. I oto geneza późniejszej fortuny.

Z nim światek finansowy warszawski wszedł na inne drogi, znalazł się wobec nowych i szerszych poglądów i widoków. Nietylko obroty pieniężne przekroczyły ciasne szranki pospolitych operacyj kantorów wekslowych i przekupstwa urzędników

w stosunkach z rządem i różnemi dla niego dostawami, ale weszły powoli w daleko pożyteczniejszą sferę przedsiębiorstw przemysłowych, oraz regularnych i obszernych operacyj zakładów bankowych.

„Cała sztuka i trud — zwykł był mawiać stary Kronenberg — pierwszego dorobić się miliona, następne robią się same“. I musiały się zrobić, przy niezmiernie bystrej, lotnej i przenikliwej inteligencyi, pracowitości, energii i zmyśle do interesów wyjątkowym. O zdolności w świecie finansowym łatwo, o spryt i inteligencyę również, a pewne nawet poczuwanie się do obowiązków względem społeczeństwa i hojne jemu podatku opłacenie — także; ale o co to niezmiernie trudno i co właściwie było główną L. Kronenberga cechą, jest to, iż szerzył śmielszy pogląd na zadanie i uczciwość kupiecką, cel lepszy i większy przed oczyma mającą. Kronenbergowi miliony nie przedstawiały się jako jedyna społecznego stanowiska racya bytu, nie przez nie tylko chciał on się tego stanowiska dobić i pozycyę swoją narzucić. Gdyby nie był posiadaczem tak wielkiej fortuny, gdyby nie stał na czele najznaczniejszego w kraju domu handlowego, gdyby szczęście nie tak mu sprzyjało i pozostał na zawsze średnim finansistą, to jednak inteligencyą swoją, działalnością i osobistą wartością wybiłby się niezawodnie po nad przeciętny poziom i naczelnąby zajął pozycyę. Zdaje mi się, że to najlepsza jego pochwała i najwymowniejsza charakterystyka. Jeśli był dumnym, to nietyle z milionów, którenni rozporządzał, lecz ze swej

indywidualnej wartości, jeśli był nieraz twardym i terorystą, to w przekonaniu, że w świecie, na którego czele stanął, inaczej nic dobrego zrobić nie podobna, jeśli łamał i kruszył tych dokoła siebie, co jego żelaznej nie chcieli się poddać ręce, to jedynie z wiary i woli, że to, czego chce jest dobrem, a taka droga szybko i pewnie do celu prowadzi.

Wyłącznym inicyatorem i twórcą przewrotu finansowo-ekonomicznego, jaki w kraju naszym w latach 1856—1858 powstał, Leopolda Kronenberga trudno nazwać; byłoby jednak niesprawiedliwością nie przyznać mu pierwszorzędnego w nim udziału i wyjątkowej zasługi. Świat finansowo-handlowy warszawski jemu niemal wyłącznie zawdzięcza swą nową konsolidacyę, on umiał mu narzucić swoje zasady i zdrowia ich przestrzegał z surowością i bezwzględnością, którą usprawiedliwiał zawsze potrzebą natychmiastowego wypalania ran gorącem żelazem, aby gangrena nie objęła całego ciała. Jeśli niezdrowa spekulacya, gra giełdowa, oszustwo publiczne i wyzyskiwanie łatwowierności ogółu było i jest dziś jeszcze wyższym sferom finansowym warszawskim nieznane, główna w tem L. Kronenberga zasługa. Każde pokuszenie się, każdy krok na tej drodze zrobiony karcił, każde zachcianki *Gründerstwa* uniemożliwiał, podobnym indywiduom natychmiast grunt z pod nóg wysunąć umiał, unicestwiał ich i swą potęgą przygniatał. A to wszystko nie dla zaspokojenia tylko osobistej przewagi, lecz głównie celem zachowania ogólnego świata finansowego zdro-

wia, celem ochrony tej moralności handlowej, za którą tworząc warszawską giełdę czuł się niejako solidarnym poręczycielem, osobiście odpowiedzialnym. Nie mogę tu wyliczać wszystkich instytucyj, które L. Kronenbergowi swoje zawdzięczają powstanie, i każdej zosobna historyę opowiadać. Pierwej czy później znaleść się musi ktoś, co tę żmudną pracę podejmie i ważny przyczynek do dziejów naszego finansowo-przemysłowego rozwoju postawi. Wspomnę tylko, że energii, zdolnościom i niezmiernej zabiegliwości Kronenberga zawdzięczamy, że najważniejsza z naszych kolei Warszawsko-Wiedeńska przeszła z rąk niemieckich w krajowe. Trzeba było rzeczywiście takiej siły, woli i odwagi, jaką Kronenberg posiadał, aby puszczać się na przedsięwzięcie, które mogło jeśli nie całą jego fortunę zachwiać, to przynajmniej grubo ją podkopać. Ale taka już była natura tego człowieka. Pewny korzystnego dla siebie celu i jego dla kraju pożytku, ufny w swój rozum i zmysł decydował się bardzo szybko, a zdecydowawszy się półśrodków nie używał lecz szedł *usque ad finem,* zdobywając pozycyę szturmem i przebojem. Tak było zawsze i we wszystkiem. Dziwnie śmiała i żywa natura, bezczynności znosić nie mogła. Nie było takiego pola, na któremby Kronenberg sił swych nie próbował i nowego nie wzniecał życia. Bankier, finansista, przemysłowiec, rolnik, powoływał nowe instytucye do życia, zakładał fabryki, kupował majątki i wzorowe w nich urządzał gospodarstwa. Była to działalność

ogromnie ruchliwa, a jednak nie gorączkowa. Z głowy jego nie wystrzeliwały fantastyczne projekta, lecz myśl odrazu oblekała się w konkretną formę, opracowywaną była praktycznie, gruntownie, z uwzględnieniem wszelkich potrzeb i konjunktur, i jeśli wchodziła w wykonanie, to nie po to, aby efemeryczne prowadzić życie, zabłysnąć i wkrótce zgasnąć. Słyszałam kilkakrotnie jak powtarzał: „Ile razy biorę się do nowego przedsięwzięcia, nie myślę nigdy, co ono przyniesie, ale aby dobrze było poprowadzone, a zysk sam się znajdzie“. To była jego *gründerska* zasada, to najlepsza jego organizatorskiej zdolności charakterystyka, to wreszcie cała może tajemnica powodzenia. Wygadać się dobrze z nowym projektem, który w głowie jego powstał, nie umiał, a tembardziej wypisać się, ale miał zawsze pod ręką ludzi, którzy myśli jego odgadywali, z naturą umysłu się zżyli i impulsowi poddać się musieli. Znajomość ludzi miał ogromną, umiał się doskonale na nich poznać, zdolności oceniał i zużytkował, a jeśli kiedy spotkał go jaki zawód, to się nim nie rozczulał i nie roztkliwiał, lecz szedł dalej swoją drogą, nie patrząc na zawiści i zabiegi ludzkie, ufny powtarzam zawsze, więcej jeszcze w swój rozum niż miliony i pewny, że prędzej czy później zwyciężyć musi. Życie prowadził nadzwyczajnie skromne i do pewnego stopnia twarde. Na własne wygody i komfort wydawał mało, przyjęciami i kuchnią ludzi jednać nie pragnął, dom jego stał zawsze dla przyjaciół i współpracowników otworem, ale nie nęcił

ich zbytkiem, lecz raczej prostotą i skromnością przyjęcia. Pod tym względem miał dumę wielką i wymagał, aby go raczej dla jego rozumu i zasług poszukiwano, aniżeli sam siebie i swoją rodziną drugim miał narzucać. Hardym był i nigdy się nie płaszczył, raczej zgiął i złamał we dwoje, aniżeli kosztem godności własnej miałby kogo dla siebie lub dla swych projektów zjednać. „Ja nie szukam uznania, ale poparcia“, zwykł był często mawiać i istotnie tak rzeczywiście było. Od podwładnych wymagał wiele, ale też hojnie ich wynagradzał. Synekur nie znosił, próżniaków tępił, pochlebcom ucha nie nadstawiał i na czczą popularność drażliwym nie był.

Ale jeszcze nie to wszystko zapewniło L. Kronenbergowi wyjątkowe w mieście i kraju naszym stanowisko. To mogło mu tylko jednać osobisty szacunek, nie dawałoby atoli powagi i tak powszechnego uznania, że dziś jeszcze najzaciętszy antisemita, piętnując cały nasz świat finansowy, dla L. Kronenberga zrobi pewien wyjątek i co do niego osobiście się zastrzeże. Jeśli dotychczas kwestya asymilacyi żywiołu żydowskiego w społeczeństwie naszem traktowaną była więcej teoretycznie, jeśli ideał polskiego żyda przedstawiał się nam w świetle romantycznego Jankla z „Pana Tadeusza“ przy dźwiękach cymbałów i na tle sielankowem — L. Kronenberg wskazał dopiero, jak żyd polski potrafi naprawdę społeczeństwu swojemu służyć, jak pozbyć się może cech swego pochodzenia, spolszczyć się

i stać się istotnym kraju obywatelem. On o przyznanie tych praw obywatelskich nie dobijał się i nie napraszał, lecz sam je siłą swej inteligencyi i pracy zdobył, on stanowisko swoje sam zajął i zająwszy pokazał, w jaki sposób należy uznania w kraju się dorabiać i jak wszelkie dawne przesądy oraz niechęć druzgotać. Wszyscy wiedzą już dziś i pamiętają, jakie było zachowanie się Kronenberga w bolesnych kraju naszego przesileniach, wszyscy wiedzą i pamiętać mu zawsze będą, iż w każdym razie i w każdym wypadku swoją fortunę na usługi i potrzeby ogółu oddawał i zarówno swoich majątków jak i osoby nie oszczędzał. Nie było takiego pożytecznego w kraju przedsięwzięcia, któregoby Kronenberg nie wspierał. Kiedy w r. 1858 zaczęto zakładać domy komisowe rolników, Kronenberg otworzył im szeroki kredyt, kiedy parę lat później nastało w całym kraju straszliwe przesilenie finansowe, sam jeden niemal zagrożone domy kupieckie podtrzymywał. Myślą jego było, wszystkich do wspólnej zaprządz pracy, więc też instytucyj przez siebie założonych nie ograniczał na swojej i swoich protegowanych pomocy, lecz wciągał do niej ludzi i z poza sfery finansowej, nie dlatego jedynie, aby świecili w nich swemi nazwiskami i piasek w oczy krajowi rzucali, lecz wybierał wśród nich istotnie przydatnych. Nie o firmę mu tylko chodziło, bo jego własna poniekąd wystarczała, lecz kierował się zasadą rozbudzenia w całym kraju i wśród wszystkich jego warstw żywszego życia ekonomicznego i finan-

sowego. Kiedy budował kolej Terespolską, pierwszeństwo w posadach przyznawał tym, co służąc w urzędach świeżo właśnie po reformie z etatu spadli, wszędzie dla sił krajowych otwierał drogę, wszędzie je tylko zatrudnić pragnął, przeciw naciskowi z góry trzymał się zawsze odpornie i umiał z nim wytrwale walczyć.

Przy tem wszystkiem trzeba jednak powiedzieć, że zmysłu i wytrawności politycznej brakło mu nieraz; pod tym względem był to umysł trochę bałamutny i po utartych szlakach pospolitych haseł idący. Zwolennik rzekomo liberalnej rzeczypospolitej francuskiej nie umiał wniknąć w położenie i stosunki innych krajów, rządził się więcej uprzedzeniami sfer, któremi był otoczony, powszedniemi hasłami przeciętnego liberalizmu warszawskiego. Zasad religijnych nieokreślonych i mglistych na religię zapatrywał się li tylko z punktu narodowego i wówczas on bezwyznaniowiec gotów się był zapalać i żarliwością innych prześcignąć. Ta bezwyznaniowość i liberalizm miały jednak tę wielką zaletę, że były nieszkodliwe i zamykały się w czysto indywidualnej, prywatnej sferze. Zarówno on, jak i wielu innych t. zw. naszych liberałów przypominało mi zawsze owego spokojnego S p i e s s b ü r g e r a z *Hermana i Doroty* Goethego, który lubi wojnę, ale gdzieś tam daleko — w Turcyi! Tak samo i Kronenberg wszystkie swoje polityczne wyobrażenia stosował do Francyi, Włoch i t. d., tam nienawidził zachowawców, przeciwny był wpływom duchowień-

stwa i t. d., ale zdrowy rozum nie pozwalał mu nigdy twierdzić, aby podobne zasady i poglądy miały i u nas racyę bytu. Tam był republikaninem; tu zachowawcą, tam anti-klerykalnym, tu — tylko obojętnym. I to go właśnie od innych pospolitych Confessionslosów i bankierskich liberałów niezmiernie różniło. Nad podobnemi wyobrażeniami tego człowieka można było ubolewać i ich żałować — ale tylko dla niego. Na działalność jego znacznego one wpływu nie miały i prawie żadnej nie przynosiły jej szkody.

L. Kronenberg zasłużył na to, że na pogrzebie jego powiedziano: „Chowamy dziś jednego z najlepszych Polaków“. Tak — Leopold Kronenberg był Polakiem, nie z pochodzenia, bo to rzecz przypadku, nie z wiary, bo to z łaską spływa, nie z potrzeby. bo ta wśród naszych warunków nie istniała, nie z rachuby, bo mógłby gdzieindziej szeroką działalność finansową rozwinąć — lecz przez poczucie obowiązku, przez to głębokie przekonanie, że skoro ktoś równych praw w społeczeństwie żąda, równą mu też winien nieść służbę przez pracę, rozum i wytrwałość, przez poświęcenie, ofiarność i zasługę. Przychodził bez fortuny, nazwiska, tradycyi, *homo novus,* nikomu nieznany, a od wszystkich prawie uprzedzeniami, przesądem i instynktową podejrzliwością odgrodzony; wszystko, co posiadł, sobie samemu zawdzięczał; wszystko, do czego doszedł, musiał sobie wywalczyć i zdobyć. Był dorobkiewiczem nietylko fortuny i mienia, ale stanowiska, szacunku

i uznania, zaczynał, jak przeciętny kantorowicz — skończył jako jeden z najlepiej zasłużonych kraju obywateli. Takiemu dorobkiewiczowi należy się wysokie uznanie, a najwymowniejszym jego pomnikiem ślady, które na każdym spotkasz kroku, kilkudziesięcioletniej pracy i działalności owoce i skutki. Takiego jak L. Kronenberg finansisty-obywatela, kraj nasz od jego śmierci nie posiada i z pewnością nie posiądzie go tak prędko. Z dzisiejszych nikt mu sprostać nie w stanie i ztąd taka wielka po nim pustka, taki brak wielki. Są jego miliony, są instytucye przez niego dźwignięte lub stworzone, są jeszcze nawet zasady, które on wszczepił — nie ma jego czynnej inicyatywy i nie ma jego rozumu.

Synowie Leopolda Kronenberga przejęli po nim w spadku majątek, lecz nie mogli odrazu zająć i społecznego stanowiska. Przeciwnie, pod tym względem spadek ojcowski raczej nad nimi zaciężył, a w każdym razie zdwoił ostrość sądów i powiększył skalę wymagań. Rzadko się też zdarza, aby mówiono: „ojciec ich zrobiłby tak samo“, ale za to częściej: „stary Kronenberg postąpiłby inaczej“ lub „za sta rego takby nie było“... Pojmuję doskonale, że te ciągłe porównania mogą nieraz drażnić, a nawet niecierpliwić, ale z drugiej strony są one naturalnem następstwem zasług ojca.

O najstarszym, Stanisławie, nic Ci chyba tym razem nie powiem. Bóg ciężką a nieuleczalną dotknął go chorobą i dziś jest on niestety żywym nieboszczykiem. Współczucie i żal, jaki ta choroba powszech-

nie wywołała, brak wielki w instytucyach. którym przewodniczył, dowodzą i jego osobistej wartości, i szacunku, jaki potrafił sobie zaskarbić. Był on obdarzony poczuciem uczciwości wybrednej i szlachetności, w instytucyach, którym przewodniczył, istotnej zażywał powagi, przywiązany do kraju rozumiał dobrze obowiązki, jakie duża sytuacya finansowa na niego nakładała. Dziś usunięty od świata i interesów, nie żyje lecz wegetuje, a nie ma nawet i tej w swych cierpieniach osłody, by rozumieć, jak szczerem i gorącem jest w kraju losu jego współczucie i jak to, co w działalności swojej dla ogółu dobrego zrobił lub robić się starał, sprawiedliwej doczekało się oceny.

Drugi z kolei syn L. Kronenberga, Władysław, cichy, spokojny, do interesów mieszający się mało lub niepomyślnie dla siebie, meloman zawołany i sam kompozytor wielu wcale udatnych pieśni i romansów, wydanych pod pseudonimem *Wieńca*, ożenił się z panną Chevreaux, córką prefekta, a synowicą ministra francuskiego z czasów cesarstwa. Ten zamiary ma najlepsze, ale chaotyczne, na cele dobroczynne i artystyczne ofiarny, udziela dużo stypendyów młodym śpiewakom, muzykom i t. d. kształcącym się tu w kraju lub zagranicą. Życie prowadzi niezmiernie ciche i filantropijne, nigdzie prawie nie bywa.

Trzeci wreszcie Leopold, najbardziej z nich wszystkich towarzyski, pracuje w domu handlowym i oddaje się z większem zamiłowaniem, aniżeli szczęściem sportowi. Konie jego stada biegają zawsze na wy-

ścigach warszawskich, carskosielskich i moskiewskich, ku wielkiemu nieraz zawodowi tych, co się odważają czasem je „na szanse“ właśnie w „totalizatorze“ obstawiać. Poślubił on pannę Józefinę Reszke, słynną śpiewaczkę, a piękną, dobrą, poczciwą i ambitną osobę.

Wskutek choroby brata on właśnie stanął obecnie na czele domu handlowego i wszystkich innych interesów. Ma sprytu i rozsądku dużo, wiele więcej od braci uprzejmości i umiejętności jedna mu ludzi, czuje ciążące na stanowisku jego i dziedzictwie ojcowskiego imienia obowiązki, pragnie uczciwie i dobrze. Nie może mieć jeszcze doświadczenia swoich poprzedników, a szkodzić mu będzie zawsze wrodzona podejrzliwość, brak nawyknienia do ciągłości w pracy, a przedewszystkiem brak zapału do poważniejszych zadań. Spodziewać się należy, że konieczność powoli wszystkie te braki usunie, a jego wyrobi.

Tyle znasz chyba Warszawę i tyleś o niej słyszała, że nie potrzebuję Cię wtajemniczać w ów rozdział, jaki przed kilkunastu laty w naszym świecie finansowym powstał. Walka między dwiema najpotężniejszemi firmami istnieje i dziś jeszcze, a jeśli czasem słabnie, to dlatego jedynie, że nie zawsze konkurencya ma sposobność na jaw wychodzić i nie wszystkich bić będzie odrazu w oczy. Walka ta przycichła i jest obecnie głuchą, tajoną, od czasu do czasu tylko w gwałtowniejszej i ostrzejszej występującą formie. Dwa stronnictwa istnieją jak dawniej

i po dawnemu boczą się na siebie. Świat finansowy dzieli się na dwa obozy, frakcya pośrednia, coś w rodzaju centrum, albo całkiem niezależnego lub chylącego się nieznacznie *von Fall zu Fall* ku tej lub tamtej stronie. Poznałaś głównego założyciela i twórcę jednego stronnictwa, przypatrz się teraz z kolei temu, co miał odwagę do otwartego z L. Kronenbergiem wystąpić współzawodnictwa i w niedługim czasie zdołał wyróść na drugą po nim bankierską potencyę.

Największą zawsze fortuną bankierską był i jest połączony dom Kronenbergów, pojedynczo jednak biorąc, p. J. G. Bloch przewyższa środkami, znaczeniem i wpływem każdego z synów założyciela finansowej dynastyi. Bankierem właściwie nie jest, bo kantor jego prowadzi małe i nieznaczne interesa, istniejąc więcej *pro forma,* dla wypłat, aniżeli dla giełdowych obrotów, finansista to raczej specyalnie kolejowy. Wpływu i działalności wielkiej i niezmiernie ruchliwy, jest on dzisiejszego świata finansowego Warszawy niewątpliwie najwybitniejszą i najciekawszą postacią. Zdolność a może lepiej pojętność to wielka, indywidualność niepoślednia, umysł bystry, a choć nader powierzchowny, to jednak dziwnie asymilacyjny, mogący się dużo sferami i rzeczami naraz zainteresować.

Obok niepospolitego sprytu, rutynicznej a nabytej powierzchownem czytaniem znajomości interesów, spotkasz tu dużo pozy i zarozumiałości, połączonej z pewną pyszałkowatością a nawet arogancyą wobec

tych, którzy poparcia jego potrzebują, przy tem wszystkiem atoli wiele taktu i zręczności w stosunkach i w prowadzeniu rodziny, przy pomocy w gruncie dobrej, dobroczynnej i wcale inteligentnej choć nieraz narzucającej się i zuchwałej, ale interesom męża poświęconej żony. Jest dużo rzeczy, które muszą w tym człowieku zadziwiać i uderzać. Pierwiastkowo pospolity podradczyk, przedsiębiorczy, zręczny, układny, nie przebierający nawet w środkach dopięcia celu, z czasem jednak, w miarę ogarniania szerszych sfer interesów, wyrabia się na człowieka finansowego większej miary. Całe swoje wykształcenie, różnostronne, sobie samemu zawdzięcza, rozmowa też jego robi zawsze wrażenie *d'un parvenu intellectuel.* Wyszedłszy z tak małego jak on, przy niezmiernej łatwości pojmowania i zdolności asymilacyjnej, w krótkim czasie zdołał sobie przyswoić niepoślednią znajomość języków, literatury, sztuki, ekonomii politycznej, skarbowości i t. d., że gdyby już nic innego, to jedno może w tym człowieku zaimponować. Z najrozmaitszych zakresów posiada on mnóstwo wiadomości, umysł niezmiernie lotny i łatwo się oryentujący, wykształcenie niemal fachowe, talent organizacyjny wielki, a nawet zdolność, którąbym nazwała więcej pomysłową i redaktorską, aniżeli pisarską... Wielkie jego dzieło statystyczno-naukowe: *Drogi żelazne w Rosyi* i o finansach Cesarstwa i Królestwa, wydane jednocześnie w trzech językach, jest owocem długoletnich studyów i wielkiego naukowego nakładu. Przez całe lata utrzymywał biuro, które

pod kierunkiem i za jego wskazówkami zbierało materyały, gromadziło daty statystyczne, szeregowało cyfry i układało tablice. Choć sam go może nie pisał, ale ogólny nadał pracy kierunek i wskazówki, sam niezmiernie dużo w to dzieło pracy swej włożył, w końcu zdobył się na wydawnictwo, któremu nie wiele równych wyszło z inicyatywy i nakładem jednego człowieka.

Talent pozyskiwania ludzi znaczny, składa się nań nietylko zręczność obejścia, gładkie formy i umysłu błyskotliwość, ale przedewszystkiem to, cobym nazwała nie ofiarnością, lecz raczej łatwością dawania. Z tej łatwości dawania korzystali nieraz prawdziwie biedni, ale także bardzo często stawała się ona jak zwykle pastwą nadmiernej eksploatacyi. Używano jej i nadużywano ze wszystkich stron, a wielką uczynność jego w tym kierunku, wszyscy uznać też muszą. chociaż nie brak złośliwych, co utrzymują, iż jest w niej pewna doza próżności i chęć zaskarbienia sobie ogółu a tem bardziej ludzi wpływowych i poważniejszych, gdy idzie o ofiarę na rzecz publiczną, a ludzi sfer rządowych, gdy widok interesu z niemi się łączy. Kto się też do niego nie zwracał, rzadziej dla siebie, częściej dla drugich, z prośbą o posadę, zapomogę lub ratunek dla jakiejś nędzy albo niedoli? — a rzadko kto z próżnemi odszedł rękami. Biuro p. Blocha było też długi czas rodzajem Towarzystwa Dobroczynności, a sumy, które ten człowiek na podobne wydaje, a zwłaszcza wydawał dawniej cele, sięgają nieraz cyfr bardzo wiel-

kich. To też jeśli mówiłam poprzednio o podatku z dorobionej w kraju fortuny hojnie opłacanym, to p. Bloch właśnie należy chyba do najwyżej opodatkowanych. Można o nim powiedzieć, że lubi *leben und leben lassen*. Jeśli na jakim interesie sam zarobi, to niemniej znajdą się i tacy, zwykle jednak jemu krwią lub interesem blizcy, co przy nim i przy jego pomocy i dopuszczeniu do udziału, do pokaźnej stosunkowo doszli zamożności i niepośledniej dorobili się fortunki. Wychodzi pod tym względem widocznie z zasady, która po wieczne czasy będzie praktyczną, że *en occupant les gens de leur propre interêt, on les empêche de nuire à l'intêret d'autrui.*

Wobec tego dziwić się trudno, że liczba jego satelitów wielka, wśród nich entuzyazm dla swego słońca znaczny, a obawa przed nim jeszcze większa.

Długi czas przebywał p. Bloch w Rosyi i tam swoje interesa rozpoczynał, posiada więc wyborną znajomość Petersburga, a w nim specyalnie tych sfer, które w danym razie dadzą się użyć.

Leopold Kronenberg skupił obok siebie najzdolniejsze i najuczciwsze żywioły finansowe Warszawy; p. Bloch ma swoich popleczników przeważnie w Petersburgu, gdzie mniej wybredni są w środkach i gdzie większa nastręcza się sposobność eksploatowania skarbu.

Jedyny z naszych finansistów piastuje honorowy urząd w ministeryum skarbu, jest członkiem t. zw. „Komitetu uczonego“, posiada nie bez pewnego zadowolenia rangę radcy stanu i ztąd czasami *par les intimes* „jenerałem“ bywa nazywany. Ten jene-

rał-finansista nie wszystkim się zapewnie podoba, nieprzyjaciół ma mnóstwo, zawistnych jeszcze więcej; nie brak mu także sprawiedliwych krytyków, co sądząc bezstronnie, bynajmniej nie ze stanowiska konkurencyi i współzawodnictwa, niejedno, zwłaszcza dawniej znaleźliby do wytknięcia — ale z drugiej strony nikt mu nie może odmówić sprytu, inteligencyi, wielkiej zręczności i energii, której dowody daje zwłaszcza w Petersburgu. Tam jest uparty, zawzięty, cierpliwy, czasem nawet, jak obecnie, hardy; umie doskonale wszędzie trafić, w środkach nie przebiera i dlatego zwykle celu dopiąć musi i wykołatać to, co sobie zamierzył. Przez kilka lat starał się on usilnie o założenie w Warszawie szkoły politechnicznej; kilka razy był już bliskim celu, kilka razy interes miał się ku końcowi, ale zawsze wynaleziono jakąś nową przeszkodę i sprawa szła w odwłokę. W tych usiłowaniach jednak obok istotnej chęci pozostawienia po sobie miastu pamiątki, dużą także odgrywał rolę fakt, że Warszawa posiada już szkołę handlową, założoną przez Leopolda Kronenberga. Ambitny bardzo marzył przed paru laty o zajęciu pierwszej w mieście pozycyi, pod tym względem jednak łudził się i wpływy swoje oraz umiejętność wywierania ich przeceniał.

Przed paru laty wiele narobił wrzawy głośny memoryał Komitetu giełdowego w sprawie żydowskiej, podpisany właśnie na pierwszem miejscu przez p. Blocha. Musiałaś zapewne czytać fulminujące z tego powodu artykuły prasy warszawskiej, a zwłaszcza

Niwy, która pierwsza ten memoryał wydrukowała. Istotnie miano się czego irytować i na co oburzać, a zaiste nie mogę zrozumieć, jak człowiek we wszystkich publicznych wystąpieniach tak ostrożny, zdecydował się położyć swe nazwisko na piśmie, które co najmniej zasługuje na nazwę bardzo nietaktownego. Kwintesencya owego memoryału polega na tem, że w kraju naszym wszystko, co powstało i powstaje na polu przemysłowo-ekonomicznem, jest wyłącznem dziełem i zasługą „plemienia“ żydowskiego, a nie „rdzennie tutejszego żywiołu“, jak autorowie memoryału nazywają resztę mieszkańców Królestwa Polskiego. Ta autoadmiracya musiała tembardziej rozdraźnić, że po raz to pierwszy w akcie jeśli nie publicznym, to bądź co bądź urzędowym, (memoryał złożonym został komisyi do sprawy żydowskiej, prezydowanej przez p. Mengdena) zrobiono odróżnienie między „plemieniem żydowskiem“ a „rdzennie tutejszym żywiołem“. Gdyby już nic innego, to jedno wystarcza jako kontrast z nazwą „Polaków mojżeszowego wyznania“, na którą Izraelici nasi tak zawsze byli drażliwi i wielką do niej przywiązywali wagę. Ataków na memoryał p. Bloch nie wziął wcale do serca. Mniema on widocznie, że kto tyle odniósł sukcesów, ten może się raz potknąć; nie przypuszczam atoli, aby jak mniema wielu, podpisał ów memoryał bez zastanowienia się i nie dzieląc jego wywodów. Lekkomyślnym nigdy nie był, co najwyżej mniemał, iż owe pismo nigdy nie zostanie ogłoszonem. W przeciwnym bowiem razie zredago-

wałby je sam inaczej, bardzo aksamitnie i zręcznie chociaż do tej samej doszedłby konkluzyi, bo podobno w gruncie jest on najmocniej przekonany, iż cały rozwój ekonomiczny Królestwa stoi wyłącznie na żydach i jest ich dziełem. Pod tym względem ma on jedną wielką wadę: zbyt się zapatrzył w siebie samego i według swojej działalności chciałby sądzić wszystkich dawnych współwyznawców. Choć dziś różny od nich wiarą, spogląda jednak chętnie wstecz po za swe obecne stanowisko i podobno lubi czasem zagrać na strunie solidarności plemiennej. Cytowano mi jako przykład mowę, jaką miał do żydów radomskich podczas otwarcia kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej, tłumacząc im dobrodziejstwa swego przedsiębiorstwa.... Nie w polskim języku wypowiedzianą była ta mowa.... Ambitny wielce mniema, iż dość zrobił, aby w danym razie, jeśli nie w kraju, to w mieście zająć pierwsze stanowisko; arbitralny często ma tę arbitralność, jaką daje ciągłe przewodniczenie interesom i przedsiębiorstwom wielkiego zakresu i brak szlachetniejszego wychowania. Często, dawniej zwłaszcza, powodzeniem upajał się zanadto, dziś głównie eskontuje przeszłość. W konkurencyi zacięty i bezwzględny, był w swoim czasie głównym bohaterem walki prowadzonej o kolej Nadwiślańską z Leopoldem Kronenbergiem, u którego dawniej pracował i wielkiego zażywał zaufania. Walka ta była niezmiernie zawziętą, a nawet (przyznać trzeba, że z obu stron) brutalną, a w niej wiele epizodów bardzo charakterystycznych. Obecnie jest

p. Bloch prezesem kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej i Fabryczno-Łódzkiej, dawniej prezesem, a obecnie głównym akcyonaryuszem kolei południowo-zachodnich i starszym zgromadzenia kupców.

W życiu prywatnem dom prowadzi, a zwłaszcza prowadził dawniej na stopie niezmiernie zbytkownej i okazałej, twierdząc, że kto ma dużo, ten również dużo wydawać musi i innym dać przy sobie zarobić. Na sztukach pięknych i starożytnościach zna się więcej niż przeciętny bankier, goniący za osobliwościami, apartamentów swoich nie mebluje. Przeciwnie i tu zadziwia wytrawnym i delikatnym gustem. Pracowity bardzo, można powiedzieć, że brzemieniem zajęć przywalony, umie jednak doskonale czas swój na wszystko dzielić.

Robiąc dalej przegląd naszych sfer finansowych, muszę znowu pomimowoli o pośmiertną potrącić sylwetkę. Jakóba Natansona pominąć niepodobna, był to typ całkiem od innych odmienny, specyalno-warszawski, a dałby Bóg, żeby i specyalnie polski. Ten był i pozostał zawsze żydem, nietylko z pochodzenia, ale i z wyznania. On jeden z naszych większych finansistów religii nie zmienił, wychodząc z zasady, że kto chce na niższe i ciemne sfery żydowskie działać, kto chce dobroczynny wśród nich wpływ posiadać i oświatę oraz poczucie obywatelskie budzić, ten winien od owej tłuszczy nie odgradzać się. lecz raczej w wspólnej religii łączności z nią szukać i przykładem pokazać, że można być Mojżesza wyznawcą a jednak wiernym kraju synem.

Rodzina Natansonów jest tu w Warszawie, wśród naszego żydowstwa, otoczona jakąś aureolą powagi, a o Jakóbie mówiono — że to papież Judei. Człowiek to był rzeczywiście wyjątkowy, prawdziwy typ życia polskiego, łączącego w sobie sielankowe tradycye Mickiewiczowskiego Jankla, z wielką nauką, dużym rozumem, pracą i poświęceniem. Profesor uniwersytetu, chemik pierwszorzędny, przemysłowiec celujący. Życiorysów jego i portretów powstało w ostatnich czasach dużo, bo po zgonie Jakóba Natansona, tak dla kraju przedwczesnym, każde pismo nasze spieszyło z hołdem pośmiertnym. Odsyłam Cię więc do tych życiorysów.

Świat finansowo-handlowy Warszawy przy wielu swoich brakach, wadach i chybach, ma jednak jedną wielką zaletę, o której już wspominałam, rozwodząc się nieco obszerniej nad Leopoldem Kronenbergiem. Oto mianowicie moralność kupiecka u nas jest o wiele wyższą i czulszą, aniżeli w wielu innych miastach, nie mówię już zagranicą, ale nawet w Polsce. To, co u was nieraz uchodzi, to, co w Wiedniu uszłoby nie tylko podrzędniejszemu finansiście, ale nawet najbogatszemu panu i dziedzicowi rodu, tu w Warszawie wywołuje zgorszenie, ogólne odsunięcie się i piętnowanie. G r ü n d e r s t w o nie znajduje u nas gruntu, wspólnictwa i poparcia — fałszywa kryda, wyrozumiałości — wyzyskiwanie łatwowierności ogółu — pobłażania. Rozbój publiczny tolerowany nie będzie, jak jest niestety cierpianym przy swobodzie i możności prawo-

dawczych środków gdzieindziej. Giełda warszawska gry nie prowadzi i nie usłyszysz tu nigdy, żeby ten lub ów finansista stracił na „bursie“lub puścił całą fortunę, spekulując na h a u s s ę i b a i s s ę. Pod tym względem różnica wielka między wami i nami. U nas ludzie trwonią majątki przez nierząd i zbytki, finansiści podkopują się niebezpieczną spekulacyą na cukrze, drzewie lub innym produkcie, ale gra giełdowa we właściwem znaczeniu, ta „epidemia“, którą niegdyś tak dzielnie schłostał Narzymski, ta jest na szczęście dla nas *terra ignota.* I tu wpływ dodatni sfer finansowych na całą ludność Królestwa. Sami nie grają i publiczności do gry nie wciągają. Nie usłyszysz tu nigdy, żeby ktoś stracił majątek „na giełdzie,“ a niestety z listów Twoich widzę, że nie wszędzie tak bywa i że u was, mianowicie dawniej szerzona w Wiedniu zaraza, choć w mniejszym stopniu, trwa jednak wciąż jeszcze. Jeśli u nas mówią czasem o jakich szczęśliwych lub niepomyślnych obrotach giełdowych, będzie to zawsze jakaś sporadyczna spekulacya na kursie rubli i markach, ale mina i kontrmina, sztuczne śrubowanie kursów, kulisa i t. p. nie znajdowały dotychczas pola i poprostu możności rozwoju. Ztąd giełda nasza wygląda dość marnie, ale dobrze i jej i nam z tem, a miło, że ta jedyna większa giełda polska, uczciwszej od innych zażywa reputacyi i żadnym k r a c h e m skalaną dotąd nie była.

Do dodatnich stron naszego lepszego świata finansowego zaliczyć także należy wielką jego praco-

witość. Znam n. p. jednego z drugorzędnych bankierów, który posiada już przeszło milionową fortunę, a jednak pracuje wciąż niezmordowanie, wysiadując po ośm i dziesięć godzin dziennie przy biurku. Od lat kilkunastu nie wie on, co to choćby na jeden dzień wyjechać z Warszawy i od zajęć się swoich oderwać. Pracowitość ta wchodzi u nich w krew i staje się niemal potrzebą i przyzwyczajeniem, a przyznasz chyba, że rzadka to w Polsce cnota, i że kiedy się ją gdzieś spotyka, podnieść i zaznaczyć warto. Uderzy Cię ona równie u wielkich, średnich, jak i małych i po części wyjaśni zagadkę szybkiego mnożenia się fortuny i przeciętnie bardzo znacznej tych sfer zamożności.

Obok koryfeuszów, o których cały kraj wie i każdy ma na nich oczy zwrócone, znajdziesz tu wiele drugo- i trzeciorzędnych potęg finansowych, niegłośnych, a jednak bardzo, jak to nazywają solidnych, prowadzących swe interesa spokojnie, porządnie, z ostrożnością i wytrwałością. Ci może będą jeszcze najlepszym świata finansowego elementem, wśród nich, spotkasz właśnie ową moralność kupiecką najbardziej rozwiniętą, najdrażliwszą, poczucie obywatelskości znaczne, polonizowanie się coraz większe i zupełną z krajem solidarność. Uderzy Cię tu i owdzie śmieszna pyszałkowatość i właściwa temu urodzeniu arogancya, zabawi próżność, a zgorszy niezawodnie zbytek.

I tu jeszcze raz muszę powtórzyć, że jednym z najgorszych wpływów, jaki świat finansowy war-

szawski na miasto i życie jego towarzyskie wywiera, jest właśnie owa zbytkowność przyjęcia i niepotrzebne podniesienie często *ad absurdum* skali i wymagań życia. Od nich przeszły te wszystkie przepychy w apartamentach, kulinarne popisy i ekstrawagancye na świat przemysłowy i kupiecki, a po części i na nas wszystkich. Wywiązała się pod tym względem jakaś chorobliwa rywalizacya i przesadzanie się jednych nad drugimi. Natura polska bardzo jest pochopną do stosowania starego przysłowia: „zastawić się a postawić“. Promotorom zbytków wszystkie te przepychy i luksy nie szkodzą, ale natomiast iluż to innych mniej zamożnych naprawdę się zastawia i po nad skalę żyje, aby się tylko postawić i ogólnemu poziomowi dorównać. Nie dość jednak na tem. Sfery finansowe przed laty, jeszcze za polskiej administracyi, pierwsze robiły usiłowania korupcyi urzędników i prowadzenia interesów pobocznemi środkami. Oprócz tego weszło już wówczas w modę kaptowanie sobie przyjęciami, wykwintne śniadanka, zamorskie obiady i t. d., a początek tego rodzaju machinacyi datuje się jeszcze z czasów poprzedzających Leopolda Kronenberga.

Wreszcie najważniejszy zarzut, jakibym sferom finansowym postawiła, byłby ten, że one właśnie jak na całym świecie tak i u nas dostarczają najwięcej adeptów fałszywego liberalizmu, luźności zasad i pewnego bezwyznaniowego pokostu. Często liberalizm ten bywa jak u Leopolda Kronenberga nieszkodliwy i stosuje się *dort hinten in der Tür-*

kei, ale z drugiej strony, w ostatnich zwłaszcza latach, kiedy wytworzył się u nas obóz pozytywistyczny, *gros* jego adeptów znalazło się odrazu wśród młodzieży żydowskiej, między świeżo wyszłymi z uniwersytetu adwokatami, w świecie kantorowiczów i niedowarzonych praktykantów dziennikarskich i t. d. Przyjrzyj się z bliska temu obozowi, a zobaczysz, jaka w nim przewaga żydowskiego żywiołu, policz koryfeuszów a przekonasz się, że jeśli nie wyłącznie to jednak przeważnie z tych sfer się oni rekrutują. Tam, gdzie tradycya może być tylko kupiecką, gdzie religijnych zasad brak zupełny, a wyznanie jest raczej kwestyą towarzystwa niż sumienia, gdzie w wielu razach panuje wielka luźność wyobrażeń, a większa jeszcze pojęć i zasad, tam z natury rzeczy grunt staje się niezmiernie pochopnym do przyjęcia wszelkich wytartych i zszarganych już teoryj, tam wykwitnąć zaraz musi fałszywy liberalizm i nieodstępna nigdy jego towarzyszka — bezwyznaniowość. W tych kołach spotkasz też n. p. ciekawe dla obserwatora specimina: młodej panienki bezwyznaniowej, a raczej na bezwyznaniową pozującej, której główka napchaną będzie wszelkiemi pozytywistycznemi teoryami pełno chaotycznych naleciałości i ekstraktu artykułów naszej postępowej prasy. Wśród tych sfer pan Świętochowski znajduje swoje najgorętsze wielbicielki, w nich *Prawda* i *Przegląd tygodniowy* bywają ewangieliami, a powiem raczej ignorowanie, niż nienawiść katolicyzmu, artykułem wiary. Liberalizm ten i bezwyznaniowość będzie krę-

powana względami narodowemi, więc nie wystąpi w takiej ostrej, jak n. p. w Wiedniu formie, lecz raczej zamknie się w teoryi i abstrakcyi, aniżeli wejdzie w praktykę, ale zawsze główne kadry bezwyznaniowe znajdą swój punkt oparcia w sferach średnich i niższych finansów, wśród t. z. inteligencyi żydowskiej — i ztamtąd dopiero promieniować będą dalej i szerzej. Do tego przedmiotu wrócę raz jeszcze, kiedy przyjdzie kolej na prasę, jej wpływ i zakres działania. Tu tylko dla uzupełnienia charakterystyki naszych sfer finansowych pragnęłam tę ich cechę choć pobieżnie zaznaczyć.

W świecie przemysłowym i kupieckim znalazłoby się dużo takich typów dodatnich, sylwetek ciekawych, osobistości bardzo wybitnych, obywateli wielce zasłużonych. Żałuję niezmiernie, że i tak wzrastające wciąż rozmiary niniejszych listów nie pozwalają mi się bardziej nad nimi rozszerzyć i w szczegółową wchodzić charakterystykę. Nie mogę tego uczynić, choćby ze względu, że musiałabym zaraz wdać się w rozprawę o dziejach i stanie naszego przemysłu i zastanowić się dokładnie nad pytaniem, o ile cały ten przemysł jest sztucznym, efemerycznym, na chwilowej polityce celnej i kursie rubla opartym, a w jakiej mierze istotnym, krajowym, grunt swój i podstawę wśród nas mającym. Zaprowadziłoby to nas na pole ekonomicznej dysertacyi, której uniknąć pragnę, a poniekąd z położenia mojego muszę, a oderwało od głównego celu niniejszych listów: za-

poznania się z różnemi miasta naszego kołami i tem, co nazywam jego społeczną fizyonomią.

Typ przemysłowca i kupca warszawskiego będzie także całkiem innym od tych, jakich wy posiadacie, nie przestanie jednak być nawskróś polskim, odrębnym, wśród swojej własnej tradycyi i obyczajów handlowych wyrobionym. Cechą jego główną będzie wielkie poczucie obywatelskości i wspólna ze wszystkimi innymi praca społeczna, większa niż w innych częściach Polski dojrzałość, wytrawność i cywilizacya, brak pospolitych cech małomiasteczkowego łyka, tej chęci burmistrzowania, przewodzenia i jakby kastowej do innych niechęci. Nie jest to bynajmniej francuski *épicier*, którego w gruncie nic nie obchodzi, ani kraj, ani jego dola, honor, sława i położenie, zmateryalizowany do szpiku kości, dbający tylko o to, aby jak najprędzej z interesu się wycofać, rentę sobie zapewnić i jej spokojnie używać. Nie będzie to również flegmatyczny, ociężały filister niemiecki, wielbiący przy kufelku piwa ks. Bismarka i z wielkości Niemiec dumny, ale w gruncie apatyczny, łatwo się na pasku wodzić dający i egoista.

Nie; nasz świat przemysłowy i kupiecki ma stron dodatnich bardzo wiele: pracowitość dużą, sumienność i uczciwość rzadką, gorące sprawami społeczeństwa i kraju, zainteresowanie się, poczucie godności rozwinięte, a uprzedzeń kastowych mało. On się wszystkiem zainteresuje, do wspólnej pracy zawezwany stanie ochoczo, wnosząc do niej doświad-

czenie, ofiarność, wpływ znaczny i wielkie do kraju przywiązanie. Obchodzić go będzie literatura, teatr, sztuki piękne i t. d. i w tem wszystkiem nie tylko zabawy i pospolitej rozrywki, lecz celów wyższych, obywatelskich szukać będzie. W świecie tym dużo nazwisk niemieckich, ale między dawniejszemi serce, myśl, dusza polska. A gdzie się przez małżeństwa połączyli z Polkami, tam najlepsze znajdziesz osobistości. Mówiąc językiem pozytywistów tego rodzaju selekcya, czy krzyżowanie wyborne wydaje owoce, co więcej, może jedynie dobre.

Niech zkądkolwiek, z jakiegobądź kółka wyjdzie pożyteczna dla kraju myśl, praktyczny projekt, on mu poparcia nie odmówi i oglądać się na to nie będzie, kto jest inicyatorem, tylko co inicyuje. W wielu instytucyach świata tego ludzie pracować będą gorliwie i rozumnie; stosunek z robotnikami w fabrykach naszych znajdziesz lepszy może niż gdzieindziej, chrześcijańskich zasad prawdziwe zastosowanie, pewną patryarchalność i przezorną nad pracującymi w warsztatach opiekę, wypływającą bynajmniej nie z popisu i błyszczenia, lecz z głębokiego i szczerego poczucia obowiązku. „Solidnych“, wzorowych kupców i przemysłowców mamy tu dużo, a jeśli nie brak nam także i pod tym względem cieni i stron ujemnych, to jeszcze jednak ogólnie biorąc nie ma powodu rąk z rozpaczy załamywać i wołać, że u nas gorzej, niż gdzieindziej.

Stało się zwyczajem odpowiadać na ustawiczne a wzmagające się coraz bardziej skargi i lamenta

szlachty na zły rok i ciężkie czasy cytacyą owej bajki o mrówce i koniku polnym, który całe lato prześpiewał i nic na zimę zachować nie umiał. Prawda to niechybna, że nasi ziemianie niejednokrotnie do konika polnego podobni bywają, ale z drugiej strony czyż ta bajka nie da się równie dobrze zastosować do świata przemysłowego i kupieckiego? Im także odpowiedzieć można, że obecne narzekania na zastój, stagnacyę i ślamazarny interesów obrót wynikają głównie z braku konieczności i przedwczesnego obliczenia się z faktem, iż po siedmiu krowach tłustych przychodzić zwykło siedm krów chudych. Przemysł nasz i handel tyle miał lat świetnych, tyle pomyślnych dla swego rozwoju i zarobku konjunktur, że właściwie mógł się zawczasu przygotować na obecny zastój i ciężkie chwile. Ale właśnie tej przezorności brak nam wielki i on to głównym naszego przemysłowo-kupieckiego świata grzechem. Było i poszło; Maciek zrobił — Maciek zjadł, a teraz dopiero lament i płacz... Czyśmy to nie widzieli, jak niektórzy z przemysłowców starali się zakasować wystawnością życia najbogatszych finansistów i milionowych panów; czy nie wszyscy byliśmy świadkami upadku wielu poważnych firm kupieckich i przemysłowych? Trudna rada; jednej rzeczy trzeba się od Niemców nauczyć — przezorności i oszczędności. Bez tego na nic pójdą wszelkie inne cnoty i marnieć będziemy powolnie, lecz doszczętnie.

Chcąc nakreślić kilka choćby najwybitniejszych świata prawniczo-adwokackiego sylwetek, musiałabym sięgnąć w przeszłość i rozwinąć przed Tobą obraz naszej dawnej magistratury warszawskiej. Podkopana bardzo za Mikołaja, kiedy w kraju nie było uniwersytetu, lecz tylko t. z. kursa prawne, kiedy wykształcenie i naukę utrudniano na każdym kroku i w ściśniętych trzymano karbach, magistratura nasza jednak wydała ludzi bardzo niepospolitych i wykształconych, wyrobiła język i doktrynę prawną w Polsce. Z niej wyszli tacy znakomici prawnicy, jak Tys, Jan Kanty Wołowski, zmarły niedawno dziekan Dutkiewicz, oraz wielu innych, a na liście obrończej mieliśmy i mamy dotąd jeszcze z tamtych właśnie czasów kilku bardzo niepospolitych mecenasów, odznaczających się wielką nauką, obywatelskiem poczuciem oraz niezmierną uczciwością i zacnością. Dziś te minionej epoki niedobitki świecą jeszcze wśród naszego prawniczego świata, usunięci po większej części od interesów, a z małemi tylko wyjątkami wciąż jeszcze czynni, ruchliwi, że tu przytoczę nazwiska Wincentego Majewskiego, Edwarda Grabowskiego, Zygmunta Krysińskiego, Andrzeja Brzezińskiego, Aleksandra Krajewskiego i t. d. i t. d. Wśród młodszej generacyi znalazłoby się także wielu ludzi bardzo wybitnych, nauki i stanowiska znacznego, uczciwości wypróbowanej i uczuć niezmiernie obywatelskich. W ogóle jednak biorąc dzisiejsza palestra Warszawy jakże różną jest od dawnej i jak w wielu razach niegodną nawet porównania! Licze-

bnie wzrośliśmy ogromnie, moralnie i naukowo spadliśmy bardzo znacznie. Co roku uniwersytet tutejszy wydaje całe szeregi kandydatów adwokackich, młodzież zwłaszcza żydowska pcha się hurmą do tego zawodu, niebawem będziemy mieli więcej obrońców, niż klientów, więcej powołanych niż wybranych, a wśród nich bardzo dużo kąkolu, z któregoby należało koniecznie ziarno oczyścić i kompromitującą plewę odrzucić! Ale cóż? Izby adwokackiej, jakiegoś syndykatu, któryby w danym razie mógł dyscyplinarną sprawować władzę, nie mamy wcale i pomimo najusilniejszych starań rząd zgodzić się nigdy na nią nie chciał. Więc też palestra nasza została bez wodzów, kontroli i możności czuwania nad honoru i imienia swego dobrem. Winić więc jej nie należy, lecz też zupełnie z rozmaitych indywiduów rozgrzeszyć niepodobna. Pomimo wszystkiego jednak, pomimo licznych w tym kierunku prób i usiłowań pozostała ona na wskróś polską i obywatelską, a nie wiem naprawdę, czy w całej Warszawie naliczyłabyś choć kilku adwokatów pochodzenia rosyjskiego. Wszystkie próby pełzną na niczem, publiczność bowiem nasza instynktownie będzie od każdego adwokata Rosyanina stronić i chociażby miał największą sławę i najlepsze stosunki, do niego się nigdy nie zwróci. Czasem w bardzo ważnych razach który z Rosyan tutejszych sprowadzi z Petersburga ks. Urusowa lub p. Żukowskiego, wyłącznie w sprawach kryminalnych, licząc głównie na ich powagę i świetną wymowę, lecz to „kraso-

reczje“ nie zaimponuje bynajmniej sądom tutejszym, które przywykły słuchać wywodów Adolfa Pepłowskiego, słynnego ze swej wykwintnej wymowy, dar krasomówczy rzeczywiście niezmiernie rzadki, swada niezrównana, dowcip i ironia cięte, wytworność wyrażeń i taka książkowego języka rosyjskiego znajomość, że mu jej nawet sami Rosyanie zazdroszczą. Kiedy w Piotrkowie bronił raz szlachcica przed zarzutem oporu władzy (za wyrzucenie komornika), a prokurator chcąc się poszczycić swoją znajomością literatury polskiej zaczął dowodzić, że już w „Panu Tadeuszu“ Mickiewicz wskazał, jak szlachta polska skłonną jest do zajazdów, burd i bezprawia — Pepłowski odpowiedział mu na to:

„Jak dalece z utworów literackich nie należy wyrokować o charakterze i zwyczajach narodowych, mógłbym również udowodnić to cytatą jednego z najprzedniejszych pisarzy rosyjskich. W pewnej powieści Gogola na zapytanie przejezdnego: jacy w mieście ludzie? ten odpowiada: „Gubernator łapownik, wice-gubernator pijanica, starszy asesor karciarz — jeden prokurator tylko porządny człowiek, *no w prjoczem i tot s....*“ Ja z tego bynajmniej wywodzić nie chcę, aby wszyscy prokuratorowie i t. d.“

Możesz sobie wyobrazić, jak homeryczny śmiech wywołała ta cięta replika, zwłaszcza, że wypowiedziana była wobec całego audytoryum gubernatorów, asesorów i t. d. piotrkowskich.

Na zakończenie wypada mi jeszcze powiedzieć choć kilka słów o urzędnikach Polakach. — Tych gatunki bywają rozliczne. a wartość moralna rozmaita. Są między nimi ludzie bardzo zacni, rozumni, są gorsi, tchórzliwi, dbający o urząd jako jedyny kawałek chleba i bytu zapewnienie, trwożliwi i każdego cienia się strzegący. — Tych zawsze najszczerzej żałuję i trudności położenia niezmiernie rozumiem. Taki biedak musi używać nadzwyczajnej ostrożności, na każdym kroku nad sobą czuwać, z każdem słowem się liczyć, każdą okoliczność rozważyć, i kłaniać się, i pokornie dąsy znosić, i do narzucanego mu systemu naginać się, wszelkie przekonanie w sobie stłumić, wszelkie poczucie i godności własnej i obywatelstwa zataić, za wszystkich kolegów Rosyan pracować, bo ci zwykli nadzwyczaj leniwi i nieuki. A w zamian za to wszystko doznawać ustawicznego upokorzenia, dla swej religii i narodowości bywać we wszystkiem pomijanym, patrzeć jak lada popowicz nasłany z Petersburga z przed nosa należny mu awans zabiera; jak praca jego, pilność, wytrwałość i choćby największa rzeczy znajomość na nic się nie przyda i uwzględnioną nie będzie. Istny Syzyf, który pcha wciąż swój kamień ku górze i widzi, jak ten ustawicznie mu do nóg się stacza, od wierzchołka daleki, bez nadziei uznania i losu polepszenia, co najgorsze, bez wewnętrznego przekonania, że ta jego służba jakiś pożytek krajowi przyniesie i choć w drobnej cząstce obowiązki względem społeczeństwa spełnić pozwoli.

Wzywają ich wciąż albo kuszą przejściem na prawosławie. Są drudzy, karyerowicze, którzy doskonale zastosować się potrafią, zręcznie wszelkie przeszkody ominąć umieją, o wszystkiem zapomną, aby tylko upragnionego dopiąć celu. Ci zrusyfikują się zaraz na wstępie tem, że wraz ze swymi prawosławnymi kolegami do wszelkich nadużyć stanąć gotowi, z łapownictwem ścisłe zrobią „primirenje", o każde względy społeczne i kraju dbać nie będą, wszelkich zasad się wyrzekną i wraz z napływowymi czynownikami utartym pójdą śladem.

Są najgorsi, dzięki Bogu bardzo rzadcy, wreszcie, którzy w gorliwości urzędniczej samych Rosyan przejdą, i to już nie z tchórzostwa lub obawy, nie z obowiązku i w nadziei zapewnienia sobie spokojnego kawałka chleba i miejsca, lecz przez miłość dla sztuki, przez jakąś dziwną organizacyę mózgową, która z nich wytworzy najwstrętniejszy typ, jaki na warszawskim bruku spotkać ci się zdarzy: urzędnika zruszczonego, *plus russe que le czar*. O nich się zapytaj, a powiedzą ci, że bez porównania bywają gorsi od najgorszych nawet Rosyan i w prześladowaniu wyrafinowani. I żeby to przynajmniej robili w jakimś celu samolubnym lub materyalnym. Nie — oni doskonale czują, że wszelkie te ich podłości na nic się nie zdadzą, że ich zasługi i nowych pomysłów eksterminacyjnych rząd nie wynagrodzi, że dlatego, iż polskiego są pochodzenia, żadnego wyższego urzędu nie dostaną i zawsze będą musieli ustąpić pierwszego kroku nasłanym z Rosyi czyno-

wnikom. Więc co ich do tego powoduje, co każe im w prześladowaniu najzawziętszych nawet prześcigać Rosyan? Co? Tylko nikczemna, podła i płaska natura, tylko jakieś dzikie zamiłowanie w pastwieniu się, chęć pokazania, że władzę posiadają i jej na złe użyć potrafią. Sylwetek ich pojedynczych kreślić nie będę, zanadto są czarne i brudne, i dlatego za wstrętne. Zresztą inny mnie jeszcze wzgląd powstrzymuje. Musiałabym ich przedstawić tak plastycznie, żeby odrazu poznani zostali, a w tem przedstawieniu wymienić, jak i co złego nam wyrządzają. To zaś mogłoby w ich zwierzchniczych sferach życzliwą ściągnąć na nich uwagę i łaski oraz awansy sprowadzić. Przyczyniać się zaś tą drogą do odznaczeń i karyery tego pokroju Polaków w służbie rosyjskiej, nie mam bynajmniej ani ochoty, ani zamiaru. Wolę więc przejść nad nimi do porządku dziennego, kończąc list niniejszy. W następnym starać się będę dla uzupełnienia obrazu scharakteryzować Ci tutejsze sfery dziennikarskie, literackie i artystyczne.

LIST SZÓSTY.

Cenzura i dziennikarstwo.

TREŚĆ: Spotkanie u wód. — Moje kłopoty. — Dwa systemata cenzuralne. — System Mikołajewski. — Przykłady i anegdoty. — Kurator Muchanow. — Jak dawniej wyglądały dzienniki? — System Aleksandrowski. — Porównanie. — Cenzura teatralna. — Warunki dziennikarskie. — *Gazeta Warszawska.* — Józef Kenig. — Wacław Szymanowski. — Władysław Bogusławski. — Bolesław Prus — Edward Leo. — Aleksander Rembowski. — Dyonizy Henkiel. — M. Gawalewicz. — Henryk Sienkiewicz.— Jego charakterystyka. — Rozmowa z Brandesem. — *Słowo.* — Ed. Lubowski. — *Kłosy.* — Adam Pług. — *Biesiada literacka.* — Piotr Jaxa Bykowski. — *Rola.* — *Bluszcz.* — *Kronika Rodzinna.* — *Niwa* i jej znaczenie. — *Biblioteka Warszawska.* — *Ateneum.* — Prasa postępowa. — Obóz pozytywistyczny i jego rozbicie. — Adam Wiślicki. — Aleksander Świętochowski. — Co zrobili pozytywiści?

Przed paru laty bawiłam u pewnych wód zagranicznych. Jak zwykle, Polaków było mnóstwo, i jak zwykle, z Warszawy najwięcej, a wśród nich wielu takich, o których nikt nie wiedział, co zacz i co za jedni. Przyjmowano ich do towarzystwa i dopuszczano nawet do pewnej poufałości, bo zwyczajem naszym nie bardzośmy przebierały wśród rodaków, zapędzonych chorobą lub chęcią wypoczynku do owego *Kurortu,* żądając tylko od nich jakiej takiej ogłady i łatwej rozmowy. Tą drogą właśnie wcisnął się do owego kółka pewien jegomość,

który niebawem zwrócił szczególniejszą moją uwagę. Niski, szczupły, łysy, o sumiastym polskim wąsie, wyglądał jakby szlachcic jaki z pod Łęczycy lub Sieradza. Rozmownym był i gadatliwym wielce, a co właśnie mnie uderzyło, to niezmierna swoboda, z jaką głośno i publicznie wypowiadał swe sądy o Rosyi, o położeniu Królestwa Polskiego, o naszych wielkorządcach i wielkorządczyniach. Jak na prostego szlachcica było to trochę za śmiałem i niezwykłem, bo nie wiem, czy zauważyłaś ten fakt charakterystyczny, że system, pod jakim żyjemy, wyrobił we wszystkich prawie taką trwożliwość, ostrożność i rachowanie się ze słowem, taką obawę długich uszów, nawet zagranicą, że niczem nieraz p. Strachajło z waszego dowcipnego *Szczutka*. Otóż jegomość ten nie krępował się wcale.... Mówił o Hurce, Maryi Andrejewnie, Apuchtinie, nie tak nawet, jakby rozsądnie mówić należało, ale jakby deklamował tuzinkowy wasz tromtadrata.

Ten patryotyzm eksportowy uderzył mnie do tego stopnia, że nie omieszkałam coprędzej zaglądnąć do *Kurlisty,* aby się przekonać, co zacz jest ów ognisty patryota. — I wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedym wyczytała, że to ni mniej, ni więcej, tylko *S. Excellenz kais. russ. wirklicher Staatsrath ...stein.* Nie wiedziałam jeszcze wówczas, jaki ta „excellencya“ urząd w Warszawie sprawuje, ale deklamacye tromtadratyczne „rzeczywistego radcy stanu“ o nazwisku brzmiącem nie po polsku zainteresowały mnie do tego stopnia, że postanowi-

łam bliższą zawiązać z nim znajomość i choćby dla ostrożności swojej i drugich dociec, do jakiego celu ta zastawiona na łatwowiernych łapka patryotyczna prowadzi. Przyszło mi to bardzo łatwo; „excellencyi" pochlebiały wielce moje zachody. W parę dni byliśmy z sobą doskonale, a ciekawość moja otrzymała sowitą nagrodę, skoro w owym nieprzejednanym patryocie, który od morza Czarnego aż do Bałtyku nie chciał piędzi ziemi polskiej odstąpić, poznałam jednę z pierwszych i najbardziej wpływowych figur — zgadnij czego? — „warszawskiego komitetu cenzury", osobistości, o której różne dochodziły mnie słuchy w Warszawie...

Nosząc się już wówczas z myślą listów niniejszych, byłam w prawdziwym kłopocie, co poczne, kiedy przyjdzie mi z kolei mówić o dziennikach i dziennikarzach tutejszych. Z gazetami i gazeciarzami dałabym sobie jeszcze jako tako radę, bo przecież i z nich wielu można w świecie i po salonach spotkać, wszystko co piszą i drukują czytać, a dowiedzieć się reszty z łatwością, zwłaszcza w tak plotkarskiem jak Warszawa mieście... Ale jak tu mówić o prasie warszawskiej, nie określiwszy wpierw warunków, wśród których owa prasa istnieje; nie dawszy dokładnego obrazu tego, czem jest, co znaczy i jak działa owa maszyna, która ostatecznie reguluje wszystko, a zowie się: cenzura. Przypadkowa więc moja znajomość i zażyłość była istotnie *une eminente trouvaille.* Dzięki jej poznałam się z różnemi kółkami i trybami owej skomplikowanej maszyny,

lepiej może, aniżeli niejeden z tych, co z nią codziennie mają do czynienia, a w każdym razie więcej, aniżelibym mogła przy pomocy wysilonej nawet dyplomacyi kobiecej dowiedzieć się od którego z naszych pp. redaktorów i dziennikarzy. Ci panowie bowiem unikają bardzo starannie tego przedmiotu rozmowy i dowiesz się od nich o cenzurze mniej, aniżeli od pierwszego lepszego roznosiciela gazet lub woźnego z redakcyi. Jeśli to z zasady: *qu'il faut laver son linge sale en famille*, to przyznam się, że nie bardzo pojmuję tego oportunistycznego podciągania cenzury i jej komitetu pod własną rodzinę. . . .

Nie myślę bynajmniej opowiadać historyi cenzury, ani tem bardziej porywać się na jej definicyę. Jesteś moją rówieśniczką, a zatem możesz jeszcze pamiętać te czasy, kiedy to i u was przed laty pięćdziesięciu błogość systemu cenzuralnego ogarniała wszystkich i wszystko, i kiedy w lwowskim teatrze, w znanej piosnce o ptaszku, co do wolności wzdycha i wolnością żyje, na żądanie cenzora słowo „wolność“ zastąpiono cesarzem, i biedna ptaszyna przez kilka wieczorów „wzdychała do cesarza“ i „cesarzem żyła“. Zresztą jeśli pragniesz zapoznać się bliżej z tym zabytkiem archeologicznym w Niemczech i w Austryi, weź pisma zbiorowe Börnego i przeczytaj w nich artykuł: *Denkwürdigkeiten der Frankfurter Censur*. Znajdziesz tam anegdot i przykładów mnóstwo, a porównywując je z tem, co w dalszym ciągu tego listu spotkasz, przekonasz

się, że choć cenzura nie jest specyficznie rosyjskim wynalazkiem, to jednak na gruncie i w rękach rosyjskich nabiera odrębnych a ciekawych cech charakterystycznych. Przekonasz się dalej, że chociaż iskrząca dowcipem i werwą satyryczną rozprawa Börnego pisaną była w roku 1819, a zatem lat temu 70, to jednak w porównaniu z tem, co się u nas dzieje, podane w niej fakta bledną i wyglądają na niewinne dziwactwa, więcej śmieszne, aniżeli szkodliwe.

W naszych stosunkach odróżnić należy przedewszystkiem dwa główne systemata cenzuralne: jeden nazwałabym Mikołajewskim, drugi nowoczesnym Aleksandrowskim. System pierwszy w Petersburgu zaginął już podobno doszczętnie; w komitecie warszawskim miał on jeszcze do niedawna kilku epigonów, a wogóle odznacza się śmiesznością, połączoną z zupełną bezmyślnością; drugi jest bardziej wytrawny, ogładzony, na racyonalniejszych oparty podstawach. Tamten miał cel jasno określony: gnębienie wszelkiej myśli, słowa i pisma; ten zaś twierdzi, że chodzi mu nie o doszczętne zniszczenie piśmiennictwa, ale o rządową nad nim kontrolę. Mikołajewski opierał się na uświęconych formułkach i zasadach urzędowych, wykreślających raz na zawsze z druku używanie pewnych wyrażeń, zwrotów, porównań, nawet nazwisk i przymiotników. Czepiał się on nietyle myśli, ile raczej słów. Według niego „rewolucya“ nie mogła być używaną w druku, nawet w znaczeniu przewrotu sił przy-

rody; rząd powinien się był pisać zawsze przez duże R i z predykatem „opiekuńczy“, a o wszelkiej głowie koronowanej nie wolno było inaczej, jak z najgłębszym odzywać się szacunkiem i z dodatkiem wszystkich należnych jej tytułów, a to zarówno o cesarzu Wszechrosyi, jak i o królowej Madagaskaru i królu wysp Honolulu. Cenzor Mikołajewski nie puszczał nigdy żadnej wiadomości o zamachu przeciw władzy w jakimkolwiek kraju, o detronizacyi lub zmianie formy rządu, choćby na wyspach Haiti lub w królestwie Zanzibaru...

Kiedy w r. 1848 upadł Ludwik Filip, ówczesna cenzura warszawska pozwoliła na ogłoszenie tej wiadomości dopiero w kilka tygodni po rewolucyi lipcowej, skoro gabinet petersburski uznał już urzędownie Rzeczpospolitę. Nazwisko człowieka politycznie podejrzanego, emigranta, spiskowca, słowem każdego, który nie miał patentu „prawomyślności“, nie mogło się pod żadnym pozorem ukazać w druku. W wiadomościach miejscowych wszystko, co odnosiło się do jakiejkolwiek władzy, musiało być wprzód jej komunikowanem i dopiero po raz wtóry szło do cenzury.

Tak n. p. kiedy słynny jenerał Abramowicz był oberpolicmajstrem i zarazem prezesem teatrów, każda recenzya z przedstawienia i sztuki szła do jego aprobaty; i jeśli mu przypadła do gustu, ukazywała się w druku, w razie przeciwnym ginęła w koszu. Nie wszyscy mieli odwagę wdawać się wogóle w jakiekolwiek sądy o teatrze. Pierwszą próbę t. zw.

„rozumowanych“ recenzyj zrobił za Abramowicza J. Kenig, dzięki faworom, jakie wszechpotężny oberpolicmajster okazywał Antoniemu Lesznowskiemu, właścicielowi i redaktorowi *Gazety Warszawskiej*. Wpierw taż *Gazeta* i *Kuryer* ograniczały swe sprawozdania teatralne do krótkich notatek w tym n. p. rodzaju: „Wczoraj grano w Teatrze wielkim po raz szósty *Ritę Hiszpankę*. Imcipana Żółkowskiego wywoływano po akcie I-szym 3 razy, po akcie II-gim 5 razy, po III-cim 6 razy; Imćp. Królikowskiego po akcie I-szym 4 razy, po II-gim 5 razy“ i t. d Oto wszystko.

Najlepiej charakteryzuje ówczesny system cenzuralny następujący fakt: ks. Paskiewicz dawał bal; *Kuryer* podając opis tego balu wspomniał, że na schodach zamkowych stał rząd przepysznych drzew pomarańczowych z oranżeryj łazienkowskich. Cenzor czytając tę wiadomość, w słowie „rząd“ poprawił *r* na wielką literę i dopisał przed nim „opiekuńczy“. Czytaliśmy więc nazajutrz w *Kuryerze*, że „na schodach zamkowych, u wejścia do sali balowej, stał Opiekuńczy Rząd wspaniałych drzew pomarańczowych“... Z tych także czasów datuje się drugi wiekopomny wypadek cenzuralny, Kiedy w r. 1847 stany lombardzkie podały do cesarza austryackiego prośbę o nadanie konstytucyi, *Gazeta Warszawska* umieściła ten fakt w formie jak najsuchszej i z zacytowaniem urzędowego źródła wiedeńskiego. Cenzor nietylko przekreślił ową wiadomość, ale do-

pisał na marginesie: „Żądania te jako nielegalne nie mogą być drukiem ogłaszane“.

Słowo „niewolnik“ nie kwalifikowało się wówczas pod żadnym pozorem do druku. Kiedy ktoś napisał: „niewolnik swoich namiętności“, cenzor przemienił mu owego niewolnika na murzyna i słynny „murzyn swoich namiętności“ figuruje dotychczas w starem wydaniu pewnej głośnej i dziś jeszcze powieści. W jakiemś dziele chemicznem cenzor wymazał „kwas pruski“, motywując swój ostracyzm tem, że dwór król. pruski jest spokrewniony z dworem rosyjskim, a więc nie wypada, aby trucizna tak silna, jak ów kwas, nosiła nazwę „pruskiej“.

Podobnych anegdot mogłabym przytoczyć jeszcze tysiące, ale wspominam o tych czasach dlatego jedynie, aby Ci wskazać, jakie to były podstawy Mikołajewskiego systemu cenzury, który przetrwał długi czas zmianę panowania i powstanie 1863 r.

Do wielkiej reformy administracyjnej, cenzura podlegała wprost namiestnikowi i przyłączoną była do okręgu naukowego. Na czele tego okręgu stał słynny kurator Paweł Muchanow, który najsrożej może ze wszystkich dał się we znaki ówczesnej prasie. On to przyjmując raz redaktorów uskarżających się, że cenzorowie tak wymazują, iż nie wiedzą literalnie, o czem pisać, wyrzekł łamaną polszczyzną owe pamiętne słowa, które obiegały całe miasto: *Piszitie Panowie o więżu morskim, to bardzo interesnyj przedmiot.*

Od tej pory ten „więż morskij“ stał się historycznym, a we wszystkich redakcyach, kiedy przychodziły czasy formalnej *razzii* cenzuralnej, powtarzano go sobie jako znamię chwilowego prądu. Bardzo też ciekawie wyglądały ówczesne gazety. Małe, nikłe, puste, z konieczności zajmowały się tylko i to w bardzo skromnej mierze kwestyami literackiemi; główną ich podstawę stanowił fejleton, zapełniony powieściami, przeważnie tłumaczonemi. Ukazanie się powieści oryginalnej było wielkim ewenementem i robiło szalone wrażenie, a podobne wypadki zaczęły się dopiero częściej powtarzać, kiedy na niwie beletrystycznej zajaśniał Kraszewski, a później Korzeniowski. Wiadomości polityczne pojawiały się w homeopatycznych dozach. Redakcyi nie wolno było nietylko podawać jakichkolwiek własnych uwag i rozumowań, ale nawet zamieszczać choćby najdrobniejszego faktu bez zacytowania źródła. Co więcej — i tych źródeł, uznanych przez cenzurę za kompetentne, było bardzo nie wiele. Stanowił je głównie *Journal de St. Petersbourg* i rzecz charakterystyczna, ówczesny pruski *Staatsanzeiger,* czasami *Debaty,* bardzo rzadko *Gazeta Kolońska.*

Dowcipniejszym i przebieglejszym redaktorom i „politykom“, jak np. Kenigowi, udawało się czasem obejść ten surowy przepis i o wypadkach w Lombardyi lub w Anglii albo Szwecyi dać własny sąd i „rozumowany“ artykuł, ale to tylko sztuczką pod nagłówkiem np.: „Czytamy w *Gazecie Kolońskiej* lub w *Debatach* i t. d.“. Wprawdzie ani

Gazeta Kolońska, ani *Debaty* nic właśnie w tym przedmiocie nie pisały, a wszystko, co podawano jako mniemany z nich wyciąg, wyszło świeżo z pod pióra Keniga, ale cenzor nie miał czasu na sprawdzenie, więc puszczał, i przepis był zachowany... Kiedy tenże Kenig zdołał nareszcie po długich zachodach i latach wielu odtworzyć w *Gazecie Warszawskiej,* rubrykę „Ostatnich wiadomości“, w których własnemi słowami a nie w wiernym przekładzie podawał *resumé* z ostatniej poczty zagranicznej, co to był za postęp, co za szalony efekt dziennikarski! Artykuły wstępne od redakcyi, naturalnie o sprawach polityki zagranicznej, w żadnej z interesami Rosyi nie stojącej styczności, ukazały się dopiero znacznie później, w latach 60-tych, jeśli się nie mylę. Były one bardzo ważnym krokiem w rozwoju dziennikarstwa warszawskiego, a jak w wielu rzeczach, tak i w tej zasługa i inicyatywa przypada głównie w udziale Antoniemu Lesznowskiemu i Kenigowi.

Przypominam sobie dziś jeszcze dokładnie, jak to przed 40-tu laty wyglądał n. p. *Kuryerek Warszawski,* ten sam *Kuryer,* który naśladując wielkie pisma wiedeńskie, wychodzi obecnie w podwójnej edycyi: rannej i wieczornej. Na szarym, bibułowatym świstku, po wyliczeniu wszystkich nabożeństw i odpustów następowały wiadomości miejscowe a na ich czele takie najważniejsze, jak n. p. „Dziś flaki u Resslera“, potem szła rubryka: „przyjechali i wyjechali“, dalej wiadomości teatralne, a raczej staty-

styka wywoływań aktorów, potem nareszcie „dział polityczny“, a w nich rubryka „Anglia“. Londyn: „Bal u królowej. Roznoszono chłodniki“. „Austrya“. Wiedeń: „Pod Schönbrunnem odbyły się wielkie manewra, na których raczył być obecny Najjaśniejszy Cesarz austryacki“ i t. p. — Korespondencye, telegramy — wszystko to było jeszcze nieznane i niepraktykowane. Pierwsze ewolucye telegraficzne zaczął wyprawiać L. Kronenberg, nabywszy *Gazetę Codzienną* i przemieniwszy na dzisiejszą *Polską*. Przedtem nikt o niczem podobnem nietylko nie marzył, ale nawet nie słyszał. Żywiły się te biedne gazety i kuryery przedrukami z dzienników zagranicznych, komunikatami urzędowemi, a główną ich podstawą była powieść, zajmująca większą połowę wydawnictwa i stanowiąca jedyną prawie *great attraction* dla prenumeratorów. W tem to najważniejsza może przyczyna ówczesnego rozwielmożnienia się beletrystyki, w tem powód przeważnego jej wpływu i znaczenia, jakie w rozwoju intelektualnym społeczeństwa zdobyła. Wszystko, czego nie można było wprost i otwarcie powiedzieć, cała moralizatorska i pedagogiczna strona dziennikarstwa, musiało przyoblekać powieściową formę. Romans zastępował wiele rzeczy; znaczenie też i jego wpływ wzrosły do niebywałych gdzieindziej rozmiarów.

Nie piszę tu historyi dziennikarstwa warszawskiego, lecz przesyłam Ci luźne tylko o niem notatki, a że jak we wszystkiem w tych listach, tak i w tem zajmuje mnie głównie nietyle przeszłość,

jak teraźniejszość, więc tych kilka szczegółów ma jedynie posłużyć jako rys charakterystyczny owego systemu, który nazwałam Mikołajewskim, a z którego rozwinął się w dalszym ciągu ten, co dziś panuje nad naszą prasą, warunkując jej byt, rozwój i znaczenie. Łączył się on, był wynikiem i wyrazem ogólnego systemu rządowego, mającego na celu niedopuszczenie do mas jakiejkolwiek oświaty. Wówczas nie szło o to, w jakim języku oświata ta będzie niesioną, ale o to, aby nie istniała wcale. Nie ścieśniano zatem prasy, ale ją tępiono. Była więc w tem pewna konsekwencya, a ówczesny system cenzuralny umiał wynaleść sobie i wśród naszego społeczeństwa podatne narzędzia — siepaczy, którzy z zamiłowaniem, a nawet z pewną służalczą rozkoszą korzystali z nadanej im władzy, aby nakazaną przez rząd szykanę jeszcze ostrzejszą i dokuczliwszą uczynić, rozwinąć ją i udoskonalić. Czepiano się więc każdego słówka, każdej najniewinniejszej myśli, każdego wyrazu, położonego na indeksie.... Wszystko, co się w owej porze drukowało, wtłaczano w pewne stałe formułki, wybijając na nich piętno idyotyzmu, a pisarz, który chciał cokolwiekbądź w Warszawie ogłaszać, musiał przedewszystkiem pogodzić się z myślą, iż rozporządza mniejszym daleko zasobem wyrazów, i że tysiące jest takich, których pod żadnym pozorem używać nie wolno. Do czego to prowadziło z punktu widzenia państwowego, tego nikt jeszcze nigdy nie wytłumaczył i nie wyrozumiał, nawet moja „excellencya“....

Po zniesieniu namiestnictwa w Królestwie Polskiem, warszawski komitet cenzury przyłączono bezpośrednio do ministeryum spraw wewnętrznych i oddano go pod zarząd osobnego „departamentu prasy“, istniejącego przy temże ministeryum. Składa się ten komitet obecnie z prezesa, dwóch kategoryj cenzorów, starszych i młodszych, oraz ze sporego zastępu urzędników manipulacyjnych. Starsi cenzorowie zasiadają na sesyach i tworzą właściwy komitet cenzury, rezydujący obecnie w prawem skrzydle pałacu arcybiskupiego na ulicy Miodowej. Dawniej droga apelacyi była następująca: od cenzora do kuratora okręgu naukowego, a od tegoż do namiestnika, jako do najwyższej i ostatniej instancyi. Teraz, jak mnie poinformowała moja „excellencya“, od cenzora apelować można do komitetu, od komitetu do departamentu prasy, a ztamtąd wprost do ministra spraw wewnętrznych. Właściwie komitet cenzury powinien być li tylko od tego ministra zależnym. Wszystkie też nominacye przychodzą od niego za pośrednictwem departamentu prasy, ale drugą jakąś nieokreśloną władzą dla komitetu jest także jenerał-gubernator. Co tydzień prezes lub jego zastępca chodzi do Zamku z „dokładami“, a co się tyczy skarg na prasę i umieszczane w niej wiadomości, to właściwie nie ma ani jednej władzy, którąby się nie czuła upoważnioną do nagabywania niemi bezpośrednio komitetu cenzury i jej prezesa. Odbiera on więc najpierw cyrkularze od departamentu prasy w Petersburgu, tyczące się ogólnych spraw dzienni-

karskich w Rosyi; to znów specyalne „bumagi“ z biura jenerał-gubernatora, zabraniające pisać o tej lub owej kwestyi; skargi od kuratora okręgu naukowego, od oberpolicmajstra i t. d. Słowem, wszyscy tę cenzurę cenzurują i roszczą do niej pretensye. Jakiś *Kuryerek* napisze, mówiąc o pewnem zajściu, że to gust „prawdziwie p o m a r a ń c z o w y“ (brukowe wyrażenie warszawskie), wnet p. oberpolicmajster będzie się skarżyć, że cenzura puściła wyraźną aluzyę do policyi, bo ta nosi pomarańczowe wyłogi na kołnierzach mundurów. Ale po nad wszystkiemi skargami i kontrolami stoi jedna najwyższa i najgroźniejsza: żandarmi. Tych komitet cenzury boi się więcej, aniżeli wszystkich jenerał-gubernatorów, oberpolicmajstrów i Apuchtinów. Ci bowiem są właściwie obercenzorami wszystkich pism i samego komitetu i przed ich bacznem okiem nic się ukryć nie zdoła.

Stałych zasad i regulaminu nie ma, chociaż jest osobna ustawa cenzuralna. Ta mówi tylko w punkcie pierwszym, że nie wolno jest żadnemu dziennikowi, wychodzącemu w państwie rosyjskiem, podawać czegokolwiek o cesarzu i członkach domu panującego inaczej, niż w cytacyi z *Gońca urzędowego;* następnie, że nie wolno krytykować postępowania władz rządowych, występować nieprzyjaźnie przeciw religii prawosławnej, a w końcu nie wolno zamieszczać szczegółów spraw sądowych przed ukończeniem śledztwa i w jakiejkolwiek formie krytykować wyroków sądowych.

Oto wszystko, o czem mówi ustawa. W te zaś cztery punkta każdy cenzor wtłacza według własnego przekonania i widzimisię wszystko, co mu się żywnie podoba i co za stosowne uzna. Zasadniczo więc cenzura w Rosyi jest władzą nawskróś dyskrecyonalną, żadnemi przepisami nie ujętą, żadnym prawom niepodlegającą. Cenzorowi wolno jest wszystkiego się domyślać i we wszystkiem dopatrywać się uchybienia względem przytoczonych powyżej czterech punktów kardynalnych. Jeśli więc cenzor zechce, może wymazać: „Dziś deszcz pada, a na jutro zapowiada się pogoda“, i motywować swój rygor tem, że to aluzya polityczna do zmiany położenia kraju, które jest dziś złem, a jutro może być dobrem. Bywały wypadki, że wymazywano jeszcze niewinniejsze rzeczy, a mój towarzysz z wód opowiadał mi wiele bardzo ciekawych szczegółów o jakimś panu Kitycow czy Kitycynow, który przed paru laty był tu cenzorem, i ten w opisie balu: „cudownie wyglądała sala, przystrojona egzotycznemi kwiatami“, wymazał wyraz c u d o w n i e, wychodząc z zasady, że *cudow niet* (cudów nie ma), a zatem nie należy o nich pisać.. Inny znów cenzor w zdaniu, w którem następowało wyliczanie: Polacy, Hiszpanie, Niemcy, wielkie *P* przemienił na małe, a w nekrologu oficera z r. 1831, gdzie było powiedzianem, że czas taki a taki p r z e s i e d z i a ł w w i ę z i e n i u — trzy te wyrazy przemienił na: p r z e w a ł ę s a ł.

Ta zasadnicza dyskrecyonalność cenzury wytwarza jej niejednostajność; to, co puszczą w jednem

piśmie, równocześnie w drugiem wymażą; to, co wczoraj uległo wykreśleniu, może za parę dni zyskać aprobatę tegoż samego cenzora. Zależy to wyłącznie od chwilowego humoru danej osobistości i jej subjektywnych zapatrywań. System i zasada nie ma z tem nic wspólnego. Ztąd też w takiej władzy, jak cenzura, wszystko znaczy: dobór jednostek i osobistość bezpośredniego zwierzchnika, prezesa. Jedynie praktykowana apelacya jest od cenzora do prezesa komitetu; prezes ów jest więc niejako regulatorem ich wszystkich i tą pieczęcią, która wybija ostateczny stempel. Prezes zaś ten tak samo nie kieruje się żadnemi zasadami i przepisami, ale zdaniem indywidualnem, czerpanem najczęściej w zrozumiałem zresztą z jego stanowiska życzeniu, aby wszystko szło cicho i spokojnie, aby uniknąć wszelkich skarg oraz „bumag“.

Duchów pokutujących pierwszego systemu jest jeszcze w warszawskim komitecie cenzury paru. Cenzura teatralna jest owiana zupełnie dawnemi zasadami. Według nich nazwisko Słowackiego nie może się ukazać na afiszu, bo autor *Balladyny* był „politycznie skompromitowany“ i żadna amnestya plamy tej z jego imienia nie zdjęła. Kiedy więc przed kilkunastu laty pani Modrzejewska wprowadziła na naszą scenę *Mazepę* — na afiszu pod tytułem stało: „Tragedya w 5 aktach wierszem przez J. S.“ — a króla przemieniono na „księcia“, i p. Rapacki deklamując cały wieczór wspaniały wiersz Juliusza, wszędzie gdzie jest „korona“, mówi „m i t r a“... Te

nieśmiertelne *J. S.* figurują wciąż jeszcze na afiszach teatralnych, skoro dają *Mazepę*, a autor owej „finezyi cenzuralnej“ szczyci się wielce swym pomysłem, chociaż wie doskonale, że w całym teatrze nie ma ani jednego, któryby nie wiedział, że ów J. S., to po prostu Juliusz Słowacki a „książę“, to Jan Kazimierz. W operze *Bal maskowy* księcia Ricardo zrobiono „hrabią“ — byłoby to bowiem zgorszeniem, aby panujący ginął z rąk spiskowców na scenie...

Wszystkie te kombinacye i finezye cenzuralne dadzą się chyba porównać do łamigłówek średniowiecznych pseudofilozofów, ośmieszanych i powtarzanych tylokrotnie. Bo co państwu rosyjskiemu pomoże lub zaszkodzi, jeżeli na afiszu będzie zamiast J. S. — Słowacki, król — zamiast książę, a Ricardo zginie pod sztyletami nie jako hrabia, lecz jako książę; co to pomoże, jeśli ten sam cenzor ze sztuki, w której jedna figura mówi: powróciłam wczoraj ze Lwowa, wymaże „ze Lwowa“, a wstawi „zdaleka“ i t. d. Niech mi kto pożytek podobnych śmieszności wykaże, a dam mu konia z rzędem. Ośmieszają się tylko ci, na rachunek których dokonywa się podobnych operacyj, a ośmieszanie takie jest iście niedźwiedzią usługą, za którą nie nagroda, lecz najsurowsza kara spotykać powinna. Kiedy w r. 1860 był zjazd w Warszawie cesarza Aleksandra II i rejenta pruskiego ks. Wilhelma, a dnia tego dawano w teatrze znany balet *Robert i Bertrand* czyli *Dwaj Złodzieje*, ówczesna cenzura wymazała na ów dzień z afisza *Dwaj*

Złodzieje, aby tego nie uważano za aluzyę do przybyłych. I za podobną gorliwość nie pozbawiono owego „pełnego finezyi“ cenzora posady i nie zesłano go na Sybir, jako winnego obrazy majestatu...

Lecz dość już tych przykładów, pilno mi bowiem przystąpić do charakterystyki tego dzisiejszego systemu cenzuralnego, który nazwałam postępowym. a powinnam była właściwie nazwać zreformowanym, stosownie do nowego panowania i nowej mody. Ażeby użyć trochę zbyt plastycznego porównania, system cenzuralny dzisiejszy wobec dawniejszego wygląda tak, jak żołnierz przybrany w narodową ruską rubaszkę i czapkę barankową wobec Mikołajewskiego sołdata w opiętym fraczku, w łosiowych spodniach i bermycy na głowie. Sołdat pozostał sołdatem, zmieniono mu tylko strój. Dawniejszy był okropnie ciasny, sztywny i straszliwie niewygodny. Dzisiejsza „rubaszka“ swobodniejsza, szarawary wolniejsze i szersze, pierś nie tak ściśnięta jak w żelaznym gorsecie, ale za to zapach juchtu i dziegciu nieodłączny od nowej formy i kręcący w nosie od rana do wieczora. Tamten system gonił tylko za słowami, ten czepia się więcej myśli; tamtemu można było podać odezwę rewolucyjną, ułożoną tylko zgrabnie i umiejętnie, a przeszłaby niezawodnie, ten przestrzega jeno, aby w niczem nie objawiały się potępione przez państwo dążności, i aby nie wyszło z druku nic jaskrawego, nic takiego, co pod jakimkolwiek względem mogłoby zwrócić uwagę i sprowadzić nawałnicę skarg oraz „bumag“. Wynikałoby z tego,

że system obecny jest łagodniejszy i znośniejszy, aniżeli dawniejszy. Zapewne, w wielu razach tak, a ogólnie biorąc, cenzura dzisiejsza różni się od Mikołajewskiej olbrzymio, tylko znowu zależy to wszystko od indywidualności cenzora, od jego osobistego zapatrywania i uprzedzenia, od stosunku, w jakim pozostaje do pisma i jego redaktora, oraz od stopnia zaufania, jakie posiada u swego prezesa. I znowu jak we wszystkiem u nas, tak i tutaj kwestya osób wychodzi po nad kwestyę systemu — i szykana lub względność osobista zajmuje miejsce zasady i prawa.

Już to samo wystarczy Ci na dowód, że miał wielką słuszność Blackstone, kiedy mówił: „Podciągnąć prasę pod ścieśniającą kontrolę cenzury, znaczy rzucać wszelką swobodę opinii na pastwę uprzedzeń jednego człowieka, który się staje sędzią arbitralnym i nieomylnym we wszystkich kwestyach spornych.“ Od samowoli jednostki zależy tu u nas byt pisma, jego rozwój, postęp, a zatem w głównej części i powodzenie. Ilu cenzorów, tyle metod cenzurowania, a co więcej, ile pism, tyle norm cenzuralnych. Inna zupełnie miara przykładana bywa do pism brukowych, poczytnych i popularnych; inna do dzienników politycznych; inna znowu do tygodników illustrowanych, miesięczników i prac naukowych, a przedewszyskiem inna dla teatru i prelekcyj publicznych. Mógłby morze wypić ten, coby chciał wszystkie te odcienia cenzuralne rozsegregować w jakąś ogólną zasadę ująć i pewne granice postawić. Ani się to wszystko określić, ani zreasumować, nie

da. Ażeby zaś z pomiędzy tylu Scyll i Charybd wypłynąć, ażeby wszystkie te podwodne skały ominąć i wydostać się w końcu na pełne morze, trzeba mieć zaiste bezdenną cierpliwość, doświadczenie i znajomość wszystkich tych kółek miejscowych, a sztuka redaktorska nabywa na naszym gruncie mnóstwo odrębnych zupełnie cech, tajemnic i właściwości, o których kierownicy waszych dzienników nie mogą mieć wyobrażenia, a które rzeczywiście trudnością istnienia i warunkami bytu podnoszą o wiele znaczenie i względną wartość prasy warszawskiej.

Kiedy się ma o tej prasie mówić, kiedy się ma jej dobre strony podnosić, a ujemne wskazywać, to nie godzi się przedewszystkiem o tym najważniejszym aksyomacie zapominać, że w tak ciężkich warunkach jak nasze, w takiem położeniu jak obecne, wśród tylu trudności, przeszkód i zawad, sam fakt istnienia i rozwoju tej prasy dowodzi o wielkiej jej żywotności i istotnych zasług tych, co się podobnie uciążliwej i niewdzięcznej roboty chwytają, nie zakładając rąk i nie zrażając się przeciwnościami. Nie łatwą jest w ogóle egzystencya pism polskich, zwłaszcza tych, co z drogi uczciwej nie schodzą i w spekulacyjnym brudzie nie toną; nie łatwą także i u was, wiem o tem doskonale, ale bądź co bądź warunki, na jakich wszystko, co mieni się być dziennikarstwem i literaturą, tutaj polega, ów rygor cenzuralny, owa zapora rządowa, jeśli błędów i wad nie umniejsza i winy nie łagodzi, to w każdym razie

zaletom i zasługom większego blasku dodaje i tem cenniejszemi je czyni.

To powiedziawszy, mogę teraz spokojnie przejść do bardziej szczegółowych uwag nad prasą warszawską i różnemi jej odcieniami, a wierna metodzie, stosowanej w poprzednich listach, starać się będę zapoznać Cię moja droga przedewszystkiem z głównemi osobistościami naszego dziennikarskiego i literackiego świata, dodając przy każdej z nich charakterystykę dziennika lub wydawnictwa, na którem wybijają swe piętno i któremi kierują.

Zaczynam od najstarszej w Polsce *Gazety Warszawskiej*. Redaktorem jej, duszą, głównym a prawie jedynym współpracownikiem jest Józef Kenig. Właściwie *Gazeta* to on, a on to *Gazeta*. Nieodłączne to od siebie pojęcia. Jak nie ma Keniga bez *Gazety* lub po za nią, tak również chyba nie byłoby *Gazety* bez niego. Dobre to może dla redaktora, ale złe dla dziennika, który nie powinien się nigdy koncentrować w jednym człowieku. Całe życie stał on sam, sił młodych około siebie nie skupiał, następców nie kształcił. Zejdzie też z czasem (oby jak najpóźniej) ze stanowiska, jak ów król bezdzietny, co zamyka dynastyę. A szkoda, bo dynastya to dzielna i jędrna, i dobrego w niej wiele. Wysoki, o pięknej siwej brodzie, majestatycznością przypominający poważnego biskupa ze Wschodu, pomimo wieku dziwnie jeszcze rześki, tęgi i pracowity, Józef Kenig jest jedną z najpopularniejszych postaci Warszawy. Popularność ta jednak jest nietylko lokalna. Kenig

nigdy artykułów swoich nie podpisywał, a jednak zna go kraj cały. Dawniej, kiedy społeczeństwo nasze było bardziej rozpolitykowane i od wielkich zawikłań europejskich oczekiwało ratunku i wybawienia, *Gazeta* była istną wyrocznią polityczną przeciętnego mieszkańca Królestwa. Skoro Kenig napisał, że będzie wojna, wierzono w nią niezbicie; wszystkie jego proroctwa brano za dobrą monetę, a sądom nieograniczonego udzielano kredytu. *Gazeta* miewała i 7.000 prenumeratorów, a Kenig był przez nią prawdziwym potentatem opinii. Później zmieniło się to znacznie. Do dziś jednak zachował Kenig, w starszej zwłaszcza generacyi, pewien wyjątkowy urok, kredytu ma jeszcze dużo, a nie brak mu i fanatycznych admiratorów, tylko że ci admiratorowie i abonenci wymierają, nowych nie przybywa już wielu. Zmieniły się stosunki i potrzeby czytelników. Politykowanie *in partibus* przestało być jedyną strawą społeczeństwa. Kenig pozostał trochę w tyle... Niemniej jednak nie przestał być pierwszorzędną w naszej prasie postacią.

Jeden z najwytworniejszych u nas znawców teatru powiedział kiedyś o Żółkowskim, że „byłby to rzeczywiście wielki aktor, gdyby grywał wielki repertoar". Zdanie to da się doskonale zastosować do Józefa Keniga. Byłby on istotnie znakomitym dziennikarzem politycznym, gdyby dziennikarstwo polityczne w wielkim stylu u nas istniało. Niema go, być nie mogło i nie może, więc i Kenig jest wybornym sprawozdawcą politycznym, ale dzien-

nikarzem istotnym, tym, co nietylko pisze, lecz działa, nie jest, bo być nim nie mógł ani on, ani żaden choćby najgienialniejszy w naszych warunkach. Łatwość pisania i pracy wielka, język poprawny, piękny, styl barwny, umysł żywy, oryentujący się dobrze i prędko — nie wolny jednak od uprzedzeń, zdań powziętych *a priori* i pewnej dozy doktryneryzmu; oczytanie wielkie i prowadzone systematycznie w jednym kierunku; wykształcenie polityczne czysto teoretyczne, książkowe, polegające nie na żywej obserwacyi i praktyce, ale na pilnej, choć jednostronnej lekturze. Żadnego z tych społeczeństw, które od lat tylu sądzi, dokładnie nie zna, zbliska mu się nie przypatrzył, rozwoju jego politycznego na gorącym uczynku nie studyował. Wszystko więc, co nam daje, jest świetną często przeróbką, przetrawioną długiem doświadczeniem i wyrobieniem — ale zawsze tylko przeróbką. Ze znakomitą istotnie intuicyą, zręcznością i talentem umiał się zastosować do warunków cenzuralnych i dojść w nich do idealnej niemal wprawy i jasnego wypowiadania swych myśli i oddziaływania na czytelników. Główna to jego cecha i pod tym względem może on służyć już nie za wzór, ale za typ. Jest to zapewne wiele, w naszych stosunkach bardzo wiele, ale nie wystarcza jeszcze do tytułu pierwszorzędnego dziennikarza i publicysty. Jak w Żółkowskim, tak i w nim wina to raczej repertoaru, do którego okoliczności go ograniczyły, aniżeli skali talentu. Skala to obszerna, ale całe życie talent Keniga musiał łamać się więcej

z tem, j a k napisać, aniżeli c o napisać. Forma zajęła pierwsze miejsce, przewaga też jej jest charakterystyczną. Odcięty od wielkiego świata politycznego, ograniczony do przeżuwania gazet, z bezpośrednią informacyą nigdy chyba styczności nie mając, Kenig o każdej sprawie musiał pisać nie ze stanowiska abstrakcyjnego, ale bacząc zawsze na to, o ile ten lub ów przedmiot nastręcza analogiczne do naszego położenia punkta. Ztąd też z artykułów jego wieją zawsze pewne sympatye dla pewnych kierunków, ztąd ten jego liberalizm, zrozumiały u człowieka starej daty, co prawdziwych jeszcze liberałów widział, ztąd te jego predylekcye do różnych trybunów Gambettów, Garibaldich, u których widzi jedno tylko: ich hasło, ale na to, jak się to hasło w praktyce stosuje, zamyka oczy. Więcej literat polityczny, aniżeli polityczny umysł, był on zawsze i jest dziś jeszcze doktrynerem, a późniejsze doświadczenia i zawody nie zdołały go z różnych dawniejszych predylekcyj wyleczyć. Ta miłość młodzieńczych ideałów, sama w sobie wzięta, szlachetna i ładna, zaćmiewa jednak bystry zkądinąd wzrok i sądy jego bezprawia pewnym zdawkowym liberalizmem, dziś już zupełnie przestarzałym, który obniża wartość jego politycznych sprawozdań, wykrzywia je i paczy.

Tu także geneza zasadniczej niekonsekwencyi Keniga. W sprawach wewnętrznych krajowych on i *Gazeta* były i są pismem konserwatywnem, jeśli pod konserwatyzmem mamy rozumieć poszanowanie

dla przeszłości, połączone z rozumnem uwzględnieniem teraźniejszości. Kenig nie skalał nigdy swego pióra napaściami na Kościół i Stolicę Apostolską, odzywał się zawsze z wielkim szacunkiem o religii katolickiej i jej przedstawicielach, a z wyjątkiem korespondencyj rzymskich, płynących z znanego wam dobrze, a osławionego źródła, nie spotykałam w *Gazecie* nigdy (a znam ją od lat przeszło czterdziestu) niczego, coby bezpośrednio miało być antikatolickiem. Prawda, że afirmacyi szczerej i jawnej nie było nigdy, ale nie było też i negacyi. Pod tym względem Kenig jest zapewne katolikiem więcej z poczucia interesu narodowego, aniżeli z dogmatycznego przekonania. Stanowisko jego i *Gazety* nie płynęło nigdy, jak to ma miejsce z pewnemi dziennikami, z jakichś względów na popularność i prenumeratę — broń Boże — ale z głębokiego poczucia, że taka droga jest jedynie zdrową, pewną i naszemu położeniu odpowiednią. Ale kiedy idzie o Francyę lub Włochy, kiedy przychodzi mu z kolei pisać n. p. o terorystycznych zapędach rzeczypospolitej francuskiej i jej z Kościołem walce, naówczas zapomina o swem domowem wyznaniu wiary i przybiera ton, przypominający najskrajniejsze nieraz dzienniki liberalne z nad Sekwany i z nad Dunaju. Ginie wówczas jego miara, niknie bystrość sądu, młodzieńcza predylekcya bierze górę i Kenig, który zawsze po nad szablon wychodzi, traci swą oryginalność i wydobywa z zapasu swych, więcej może wspomnień, niż przekonań politycznych zużytą

już i wypłowiałą miarę doktrynerskich 1848 roku frazesów liberalnych. To wszystko zaś składa się na brak konsekwencyi w Kenigu i w *Gazecie*, na dwulicowość polityki, innej *intra muros*, a innej *extra*, na wielką luźność w korespondencyach, które najwięcej w *Gazecie* broją, a z których często szkodliwemi, z gruntu i z umysłu (naturalnie bez wiedzy redaktora) błędnemi są listy z Galicyi. Umieszczanie takich listów i w ogóle całe nieraz bardzo bałamutne stanowisko *Gazety* wobec spraw galicyjskich pochodzi ztąd właśnie, że Kenig boi się jak ognia podejrzenia o stronną życzliwość dla t. z. u was Stańczyków i wskutek tego wpada w pułapkę różnych swych korespondentów i staje się nieraz mimowoli poplecznikiem i sojusznikiem tych żywiołów waszych, które w gruncie lekceważy i *praeter propter* warcholstwo ich potępia. I to właśnie mam mu za złe, bo niepodobna, aby wykształcenie rozumu, a wreszcie zdrowy zmysł dziennikarski nie ciągnęły go raczej w przeciwną stronę i nie pozwalały widzieć istotnej prawdy, tylko uprzedzenie wzrok ten doświadczony i wytrawny zaćmiewa, a obawa afirmacyi po stronie ludzi, których przezwano arystokratami i oligarchami, w drugą ostateczność rzuca. Są tacy, którzy wskutek tego właśnie zarzucają Kenigowi brak zmysłu politycznego. Może to za surowo. On ten zmysł ma, tylko niedość wyrobiony i zahartowany, a przedewszystkiem skrępowany długoletnią do zapałów dla opozycyi nawyczką oraz obawą utraty tego, co mniema być samodzielnością

i niezależnością zdania, a co rzuca nieraz sąd jego na pastwę chwilowych rozdrażnień, niechęci i uprzedzeń i wiecznej troski o to, aby nie być posądzonym, iż coś lub głównie ktoś zaimponować mu zdołał.

W sprawach krajowych, lokalnych rzadko osobiście głos zabiera, ale czyni to zawsze w sposób bardzo gruntowny, istotnie poważny, nie dyletancki, a więc przez to samo niepospolity. O najsuchszych kwestyach pisać zwykł barwnie, zajmująco i z tą czystością oraz lekkością stylu, która najbardziej nawet specyalnym jego studyom jak n. p. przed paru laty „o budżecie miasta Warszawy“, lub „administracyi finansowej teatru“ nadaje tę przejrzystość, jaka cechowała dawniejsze referaty urzędowe Królestwa za t. z. polskich rządów. Drugą specyalnością Keniga obok polityki jest — teatr. Najstarszy to z naszych krytyków teatralnych, a oni sami przyznają mu jednogłośnie palmę pierwszeństwa. Barwność i lekkość pióra łączy ze znajomością teatru, ale głównie sceny warszawskiej, na którą patrzy od lat tylu tak, iż się nieco w nią zapatrzył, co czuć nieraz w jego recenzyach; łączyły go z nią węzły osobiste, miał bowiem za żonę znaną artystkę Palińską. Recenzye jego bywają wolne od tonu mentorskiego, a względnie sprawiedliwe dla autorów i aktorów. Zażywają też one wielkiej powagi w Warszawie, nietyle jednak może u publiczności, jak w świecie artystycznym i literackim.

W jednej z komedyj Barriéra, jakaś figura pyta bohatera:

— Co robisz? czem jesteś?

— *Je ne fais rien, je fais les autres: je suis journaliste.*

Zdanie to bardzo prawdziwe, nie da się jednak do Keniga zastosować. Nikogo on nie zrobił, do przyznania talentu, a nawet zdolności drugim trudnym był zawsze, nietyle przecież, aby istotnych i uznanych ocenić nie umiał, zawsze jednak raczej po za *Gazetą*, aniżeli w niej. Małostkowym nie jest i pod tym względem przerasta innych o całą głowę. Zarozumiały, ale nie pyszałkowaty, ma swój bardzo zabawny, a odrębny sposób wyrażania się o ludziach i rzeczach. W pożyciu łatwy, *bon camarade,* lubi dużo mówić, a mało słuchać, a jeżeli za młodu używał na salonach tutejszych opinii bardzo miłego *causeur*, to teraz stał się raczej tem, czem jakiś dowcipny feiletonista francuski nazwał w ogóle dziennik dzisiejszy: *un Gargantua de la causerie.* Bardzo światowy i dziś jeszcze towarzystwa pięknych pań nie unika, w kołach koleżeńskich używa wielkiej powagi i zachowania, ale dla bezwzględności, z jaką nieraz sądy swe wydaje, dużo niechętnych miewa.

Cytowano niejedną charakteryzującą go doskonale anegdotę. Ktoś napisał bezimiennie książkę, która wiele narobiła wrzawy. Kenig spotkawszy owego domniemanego w opinii publicznej autora, zaczepia go:

— Wiesz, wpadła mi w ręce owa broszura.

— No i cóż, pyta tamten, chciwy pochwał takiej jak Kenig powagi...

— Przerzuciłem początek, uważasz, powiem ci, bardzo głupi, środka nie czytałem, *a comme de raison* i końca także — ale powiadają, żeś to ty napisał...

Możesz sobie wyobrazić, jak gorąco delinkwent wypierał się swego autorstwa.

Nie sądź jednak, aby Kenig w ten sposób prowadził dziennikarską polemikę. Owszem w piśmie jest on bardzo wytwornym, o ton przyzwoity niezmiernie dbałym, a do polemiki w ogóle ma wstręt zasadniczy. W głośnej swego czasu walce z pozytywistami osobistego udziału nie brał, więcej może przez lekceważenie, niż oziębłość. Do technicznych reform dziennikarskich nie skory, za efektami gonić nie lubi, w telegramy jeszcze nie bardzo wierzy, o błyskawiczny pośpiech nie dba. Jego *Gazeta* wygląda też zewnętrznie, jak dama ubrana jeszcze w krynolinę i mantylę. W razie wojny lubi Kenig bardzo strategiczne kombinacye i wywody i pod tym względem nieraz zbyt seryo bierze swą rolę i od komicznych rad, udzielanych jenerałom i ustawicznego do swoich przepowiedni odwoływania się powstrzymać się nie potrafi. Umysł to raczej bystry i lotny niż przemyślany i głębiej w rzeczy wglądający. Jeśli przyczynił się niewątpliwie do rozpowszechnienia w publiczności zasad dość powierzchownego liberalizmu, cechującego i dziś jeszcze ogromną większość

naszego społeczeństwa, to z drugiej strony umiał utrzymać interes dla rzeczy publicznej i zachować w lepszem dziennikarstwie poczucie uczciwości i uszanowania samego siebie. Sam pod tym względem był i jest on i pismo jego — nieskazitelnym.

Jakim byłby Kenig na wielkiej arenie życia politycznego, trudno przesądzać. Zdaje mi się jednak, że należałby chyba w ciągłej obawie o niezależność swego zdania do „dzikich“ i szedłby sam w pojedynkę, chociaż przyznają mu, że ilekroć razy stawały na porządku dziennym kwestye ogólne istotnej wagi, solidarnie się trzymał i cudzą inicyatywą nie gardził. Namiętnym nie jest i do opozycyi *quand même* nakłonićby się nigdy nie dał. O popularność nie dba, uznania nie łaknie, rozgłosu i reklamy nie żąda. W usposobieniu jego i naturze są punkta tak żywe, gorące i ukochane, że oneby, ostatecznie w każdej sprawie krajowej stanowisko jego regulowały i wszystkie nawyknienia oraz uprzedzenia przezwyciężały, a jeżeli prawdziwem jest wielce to, co powiedział jakiś Francuz, że *le journalisme est le plus vil des métiers quand'il n'en est pas le plus honorable,* to Kenig może sobie powinszować, że obrał najzaszczytniejszy z zawodów.

Prócz Keniga najwybitniejszą siłą przywiązaną do *Gazety Warsz.* jest Wincenty Korotyński, przyjaciel Syrokomli i wydawca dzieł jego, stary brodaty Litwin, jeden z najlepiej piszących u nas po polsku, literatury ojczystej wielki znawca. Niedość to może uznany i oceniony człowiek, cichej pracy,

licznych zasług, wielkich zdolności, zmarnowanych i zagrzebanych w codziennym deptaku dziennikarskim, który go coraz bardziej zażywa, a do którego i do *Gazety* przyrósł całą duszą. Szkoda zaś wielka i dziś już zapewne niepowrotna, że Moloch gazeciarski pochłonął zdolność istotną, która właściwie temperamentu dziennikarskiego nie miała nigdy, ale która na poważniejszej literackiej niwie mogłaby pozostawić już nie dorywcze, porozrzucane po rozmaitych pismach i tygodnikach szkice, ale studya literackie nieposledniej wartości.

Wydawcą i właścicielem *Gazety Warsz.* jest p. Stanisław Lesznowski, syn Ludwika a synowiec Antoniego, głośnego niegdyś redaktora, a właściwego twórcy i organizatora dzisiejszej *Gazety*.

Rok już przeszło minął od śmierci b. redaktora *Kuryera Warszawskiego* — Wacława Szymanowskiego. Od tego czasu i w *Kuryerze*, i w ogóle w całem dziennikarstwie warszawskiem zmieniło się wiele. Nie piszę nekrologii, więc właściwie powinnam tym razem o Szymanowskim zamilczeć. Zbyt to jednak typowa postać warszawska, tak znana i popularna, że go najczęściej nie inaczej, jak „Wackiem“ nazywano. Nietylko wyrósł on na naszym bruku, ale zrósł się z nim tak, że można było sobie wyobrazić Szymanowskiego bez *Kuryera* i Warszawy, ale Warszawy, literackiej oczywiście, bez niego — nie. Niski, szpakowaty, o wyrazie twarzy trochę sardonicznym, ale miłym i pociągającym, Szymanowski nie chodził po Warszawie, ale raczej

w niej celebrował. Gdzie tylko odbywało się jakieś liczniejsze zebranie publiczne, tam musiał być koniecznie, nie z potrzeby lub amatorstwa, lecz w przekonaniu, że to jego obowiązek. W angielskim *makintoszu,* z laską Paracelsa, fioletową wstążeczką Akademii francuskiej w dziurce od guzika, otoczony jakby akolitami całym sztabem reporterów kuryerowych, celebrował w teatrze, na koncertach, odczytach, obiadach składkowych, fetach literackich, jubileuszach, pogrzebach, dawniej nawet przy pożarach. Każdy oswoił się z tą postacią i każdy jej szukał. Nikt go się nie bał, ale wszyscy potrzebowali. Opiewany wierszem, prozą, rysowany setkami razy po rozmaitych pismach humorystycznych, mógł był jak to czyni podobno ks. Bismark, utworzyć sobie kolekcyę własnych karykatur i sylwetek. Anegdot o nim kursowało setki, dowcipów tysiące, każdą jego oryginalność i typowość podniesiono do potęgi, z much powstawały wielbłądy, z plotek legendy. Wszyscy wiedzieli, jak się ubierał, jak grywał w szachy, jak śpiewał, pisał, mówił — słowem, żył on tu pod kloszem. I sam słynął z opowiadania anegdot, a historyczną stała się często przez niego przytaczana o rękawiczkach Bartoszewicza, na którą zawsze wyciągał go, ile razy się tu zjawił, wasz tak dowcipny i wesoły Anczyc.

Nie sądź jednak, aby ta popularność była ujemną lub uzurpowaną. Broń Boże! Jak go wszyscy znali, tak go i wszyscy kochali i szanowali. Zacny to był człowiek, jak łza czysty, jak kryształ przejrzysty,

serca złotego, a uczynności wielkiej. Na stanowisku swojem wiele bardzo zasług położył, a w tutejszym świecie dziennikarskim był niewątpliwie jedną z najdodatniejszych postaci.

Redaktor więcej *de nomine* niż *de facto*, dziennikarzem bynajmniej z zawodu i powołania nie był nigdy. Wacław Szymanowski, to przedewszystkiem i jedynie — literat! Pracował on zawsze na najrozmaitszych polach, żadnego za swą specyalność nie obierając. Poeta więcej może kunsztowny, niż oryginalny i dramaturg starego, Ponsardowskiego pokroju, przez lat wiele pisywał feiletony w *Tygodniku illustrowanym*, żywe, barwne, lekkością swą francuską nowe i oryginalne; w przerwach wydawał książki dla dzieci, opowiadania, szkice historyczne, nawet przedmowy do „Przewodników po Warszawie“, aż nareszcie przed kilku laty został redaktorem i zawód ten najbardziej ukochał.

Kiedy Chateaubrianda zawezwano raz jako świadka do sądu, zapytany o stan swój i powołanie odpowiedział:

— *Journaliste.*

Poszła w kąt *Atala* i *René*, poszła cała karyera polityczna i sława poetycka, został tylko — dziennikarz.

Podobnie stało się i z Wacławem Szymanowskim. Ogół zna go nie jako poetę, którego rodzaj talentu był przecież wybitnym i wdzięcznym; nie jako dramaturga, nie jako jednego z najbieglejszych znawców tajemnic języka naszego, ale jako redaktora *Kuryerka*

i pod tym względem wielka działa mu się krzywda. Istniało bowiem pole, na którem jest on istotnie znakomitym. Polem tem jego przekłady wierszem. Te stawiają go obok Odyńca, a nawet Siemieńskiego. Towarzysz za młodu Henryka Rzewuskiego w *Dzienniku Warsz.*, młodość swą spędził wśród najpierwszych salonów literackich i w wirze ówczesnej cyganeryi warszawskiej. Po pierwszych została mu wielka znajomość epoki i świata, druga dała mu ten zapał starej szkoły, cześć dla poezyi i miłość ideału, której ani wiek nie stępił, ani przeciwności nie zmroziły. Stan jego literackiej służby był zaszczytny i wzorowy, a w dziennikarskiej złożył bądź co bądź dowody wielkiej zawsze u redaktorów cnoty: umiejętnego skupienia około siebie sił nowych, młodych i zdolnych. Nie wiem, czy wielu jest w Warszawie piszących, którzyby od czasu redaktorstwa Szymanowskiego przez łamy *Kuryera* nie przeszli.

Tendencyę miał zawsze uczciwą i zacną, poczytności swego dziennika na złe nigdy nie nadużył, osobistym celom, interesom, względom, nie wysługiwał się. Miał śmieszności dużo, ale ostatecznie nie były one szkodliwemi, jeno zabawnemi tak samo, jak zabawną tylko była owa włóczęga Szymanowskiego po kongresach międzynarodowych i w dobrej wierze podjęta reprezentacya literatury polskiej. Oburzano się na nią wielce w swoim czasie, ale ja osobiście nie mam mu tego za złe, jak nie mam i owego upojenia powodzeniami, branego przez zło-

śliwych za zarozumiałość, nie zawsze przechodzącą w arogancyę. Wolno każdemu wierzyć, że jest wielkim, tylko nie wolno tej wielkości swojej sztucznie i podstępnie narzucać, a tego Szymanowski nie robił nigdy. Pozował, ale przed tymi tylko, którzy chcieli dobrowolnie i bezpłatnie patrzeć. Patrzyli zaś najczęściej dlatego, że Szymanowski zawsze i wszędzie był sympatycznym. Najlepiej zaś charakteryzuje to nieszkodliwe upojenie się niezwykłem rzeczywiście u nas powodzeniem fakt, który mi przed kilku opowiadano laty. Ktoś z Krakowian zapraszał go bardzo, aby przybył do podwawelskiego grodu.

— Dobrze, odrzekł na pół żartem nasz „Wacek,“ ale zupełnie *incognito*, żadnych owacyj, boby to mnie mogło skompromitować.

Czasami to samo powodzenie kazało mu mniemać, że *Kuryer*, to kraj cały i publiczna opinia. Kiedy raz spotkał go konsul niemiecki Rechemberg w ogrodzie Saskim i dłuższy czas o najpotoczniejszych rozmawiał z nim rzeczach, Szymanowski wpadł do redakcyi i pod sekretem wyznał swym zaufanym:

— Musi się zanosić na coś wielkiego, Rechemberg był dla mnie bardzo grzecznym....

W walce z pozytywistami brał bardzo gorący udział i osobiście wiele za to wycierpiał — i był przez dłuższy czas istny *bête noire* młodej prasy. Nie wpłynęło to jednak bynajmniej ani na jego odwagę, ani na gotowość do dalszej walki. Przodował jej zawsze z młodzieńczym zapałem.

Polityczny umysł żaden, w ogóle powierzchowny i płytki, o miernym talencie — że uczciwy i nie skrajny, że miał poczucie uszanowania dla religii, więc w ogóle uniknął wiele zboczeń, będących wadą dzisiejszego „Kuryera“, który na śmierci Szymanowskiego i braku jego wytrawnego dozoru ogromnie stracił.

Od tego czasu zmienił „Kuryer“ nie tylko redaktora, ale i po części właściciela. Wystąpiła ze spółki znana firma księgarska pp. Gebethnera i Wolffa a na jej miejsce wszedł wydawca „Kłosów“, p. Lewental. Dostał się więc w ten sposób ten najpoczytniejszy dawniej dziennik warszawski w ręce semickie, żadnej rękojmi i kierunku nie dające. Cała prawie dawna redakcya przeniosła się zaraz z pp. Gebethnerem i Wolffem do „Kuryera Codziennego“, a w „Warszawskim“ utworzyło się zgoła nowe grono, którem niby dozoruje z ramienia pana Lewentala Adam Pług, ale które zbyt jest młode jeszcze i niedość wyrobione, aby dysponując tak obosieczną bronią, jaką jest „Kuryer“, nie miało jej, pomimo wszelkiego ze względu na konkurencyę i prenumeratorów wystrzegania się, jeśli nie źle, to w każdym razie lekkomyślnie użyć.

W skład tej nowej redakcyi wchodzi z zięciem nieboszczyka Szymanowskiego (p. Olszewskim) na czele, dużo młodych i początkujących reporterów i dziennikarzy, a z bardziej znanych Teodor Jeske Choiński i Wiktor Gomulicki. Pierwszy należy do najpłodniejszych pisarzy warszawskich, ma łatwość

i swadę pióra, dużo śmiałości w walce z pozytywistami, a literackie jego sprawozdania pisane są żywo i choć powierzchowne, dość jednak zajmujące. Drugi to zdolny poeta formy, zrazu za często, a teraz za rzadko w „Kuryerze“ odzywający się, a w ogóle zdolność zbyt duża, by nie żałować marnowania się jej na przygodne artykuliki Kuryerka.

Jednym z tych współpracowników *Kuryera* dawniej *Warszawskiego* a dziś *Codziennego, à qui il ne faut pas déplaire* — jak mawiał Saint-Simon o faworytach Ludwika XIV. — jest Władysław Bogusławski. Dzierży on berło krytyki teatralnej i artystycznej. Najwięcej ze wszystkich recenzentów czytany, jest też i najbardziej słuchanym. Od niego zależy los autorów i artystów i o nim to właśnie daleko słuszniej, aniżeli o Kenigu powiedzieć można: *qu'il fait les autres*, a chyba nie jego, lecz zawodu recenzenta wina, że często *il en a defait plus qu'il n'en a fait.* Wnuk Wojciecha, syn Stanisława, żartobliwie Bogusławskim III nazwany, ma dla teatru dziedziczny zapał i zamiłowanie, przechodzące często w fanatyzm, skutkiem którego traci nieraz perspektywę i miarę co do ważności i znaczenia teru w ogóle. Wychowaniec Heidelberskiego uniwersytetu, autor bardzo cennego i poważnego o *Fauście* studyum, napisał przed paru laty obszerną, a wcale niepospolitą o scenie warszawskiej książkę. Scenę zna, ale doskonale tylko warszawską, choć zna wszystkie wybitniejsze europejskie, smak ma bardzo wydelikacony, poczucia estetyczne czułe, styl

barwny, język piękny, a jeśli nie mogę mu przyznać absolutnej bezstronności i najsprawiedliwszym z krytyków nie nazwę, to dla tej prostej przyczyny, że w ogóle w bezstronność krytyki teatralnej zwłaszcza w Warszawie nie wierzę. Zarzucają mu, że drapuje się nieraz w katońską togę, że przykłada za wielką miarę do naszych małych rzeczy, staje się niepotrzebnie drobiazgowym i nie od predylekcyi, ale raczej od uprzedzeń wolnym nie jest — wreszcie, że — *journaliste il est quelquefois journalier*.

Temu ostatniemu jednak nie dziwię się zupełnie, lecz przeciwnie podziwiam raczej człowieka, który jest w stanie tyle lat o teatrze pisać, mieć z nim stosunki, w atmosferze jego żyć i pomimo tego wszelkich illuzyj nie stracić i — wytrzymać. Dowodzi to wielkiego hartu nerwów i wytrwałości. Pisarz to zdolny i poważny, człowiek mający wśród krytykowanych i krytykujących niechęci i zawiści dużo i więcej osobistego szacunku, aniżeli uznania.

Wraz z Bogusławskim i innymi przeszedł także z „Warszawskiego“ do „Codziennego“ Bolesław Prus (Aleksander Głowacki). Był on w swoim czasie bardzo popularnym. Jego kroniki odznaczały się humorem często trywialnym, ale nigdy dotkliwym i osobistym. Drwił on z rzeczy, nie z ludzi, nad osobistościami się nie pastwił, pod tym względem stał wyżej od Lama. Werwą jednak satyryczną i ostrością dowcipu nigdy mu nie dorównywał, a przedewszystkiem tem, iż tamten miał bądź co bądź dużo zdrowego rozsądku i trzeźwości, skoro musiał

choć na chwilę powstrzymać się od stronniczości. Pięknego poranku jednak powodzenie humorysty zaczęło się przykrzyć Prusowi, postanowił więc zostać ekonomistą, socyologiem, lekarzem społecznym i przemienił feileton *Kuryera* w katedrę, a raczej na kazalnicę. Odtąd stał się wprawdzie bardzo oryginalnym, ale za to i bardzo nudnym, a kroniki jego zaczęły tracić na poczytności a zatem i wpływie. Nie zraża go to jednak i brnie dalej. Dyletantyzm, oto główna jego jako publicysty cecha. Zacietrzewiony w swych szczerze i uczciwie demokratycznych teoryach, z własnego więcej może dziwacznego, niż oryginalnego punktu widzenia sądzi wszystko: ekonomię, sztuki piękne, poezyę, teatr, kwestye społeczne, przemysł, a przedewszystkiem — rolnictwo. Powiedział on sobie, że będzie reformatorem i moralistą naszych ziemian, pali też co tydzień kazania, które z początku bawiły naiwną nieznajomością wsi i elementarnych warunków gospodarstwa, później zaczęły monotonnością nudzić, a w końcu pretensyonalnością drażnić. Dziś ani bawią, ani drażnią, ani nudzą — zobojętniały zupełnie. Jako kronikarz, Prus zeszedł na drugi plan, żyje resztkami dawnego wzięcia.

Oryginalny to typ, w gruncie bardzo sympatyczny, skromny, nie goniący za reklamą, osobiście przysłowiowo zacny i wiary najlepszej, ma wiele śmiałości i niezależności, które przy umyśle oryginalnym byłyby nawet bardzo użytecznemi, gdyby towarzyszyły im zawsze rozsądek prawdziwy i rze-

czy znajomość. Zwłaszcza w sądach religijnych, mianowicie w ostatnich czasach wiele mu bardzo zarzucić trzeba.

Dzieje się z nim to, co z pewnym znanym u nas skrzypkiem. Znakomity artysta, ale tuzinkowy literat, o sławę wirtuozowską nie dbał, ale do literackiej miał wielką pretensyę. Tak samo z Prusem. Z zawodu jest on właściwie nowelistą, talent ma, jeżeli nie znakomity, to w każdym razie wybitny i oryginalny, stokroć wyższy, aniżeli wszystkie pp. Marrenowe, Hajoty, Kościałkowskie, Ostoje i t. d., we własnem jednak przekonaniu, jest daleko większym ekonomistą, aniżeli powieściopisarzem. Zamiast poświęcić się wyłącznie beletrystyce, debiutuje wciąż na polu najfantastyczniejszych projektów i najniepraktyczniejszych rad. I rzecz dziwna, ten sam człowiek, który w nowelkach ma i zmysł spostrzegawczy, i poezyi dużo, i poczucia piękna sporo — w krytycznych swych ćwiczeniach mija się z tem wszystkiem i staje się nie oryginalnym, ale oryginałem. Wygląda to czasem tak monstrualnie, że ma się ochotę posądzić go o umyślną na oryginała pozę. Tak jednak nie jest. W gołębiej swej naiwności Prus wszystko, cokolwiek robi, robi szczerze i z głębokiego przekonania. To go po części usprawiedliwia, ale niemniej czyni niebezpiecznym, a często nawet szkodliwym. Zdaje mu się, że jest rzecznikiem praktycznego rozsądku, a właśnie tej praktyczności wszystkim jego projektom i radom brak; lubi opierać się na cyfrach, ale najfałszywsze z tych

cyfr wyciąga wnioski, chwyta szczegóły, ale całości ogarnąć nie potrafi. Impresyonista, samouk, bez wykształcenia literackiego, a tembardziej ekonomicznego i politycznego z doktryneryzmem, który przechodzi coraz częściej w manię, Prus pozostaje zawsze pod wpływem ostatniej przeczytanej książki. Niech w tej książce uderzy go coś, co odpowiada jego formułkom, wnet ogłasza to światu jako wynalazek i jako generalne na wszystko *panacaeum,* nie bacząc i nie wiedząc, że *schon alles da gewesen,* a nie mając na tyle nawet w sobie fałszu, aby ową niewiadomość zręcznie pokryć i z nią się tak naiwnie nie zdradzać. Osobiście niezmiernie sympatyczny, w kołach koleżeńskich wielkiego zażywa miru i należy, jak mnie zapewniają jego znajomi, do tych, na których można się gniewać, zżymać, nawet potępiać — ale trzeba koniecznie szanować kochać.

Stałym współpracownikiem *Kuryera Codziennego* jest także Maryan Gawalewicz. Korzystam z tej okazyi, aby go choć w kilku słowach scharakteryzować. Komedyopisarz, nowelista, dziennikarz, poeta, prelegent, feiletonista, deklamator, monologista, Gawalewicz ma rodzaj talentu, do którego doskonale da się zastosować przymiotnik: miły. Jego komedyjki, nowelki, obrazki, wiersze — wszystko to bardzo wdzięczne i miłe, a on sam jest tak miłym, jak na autora „Milusińskich“ przystało. Pisuje bardzo wiele i w rozlicznych pismach. Do stanowiska publicysty nie ma pretensyi; napisał kilka pra-

cowitych bardzo i poważnych studyów literackich, był redaktorem zwiniętego przed kilku laty *Tygodnika powszechnego*, recenzentem teatralnym jest karmelkowym, a mimo tego nastroił się jakby z musu do batuty głównego kapelmistrza — Bogusławskiego i cieszy się sympatyą i powodzeniem, którego mu wielu zazdrości. Ztąd też ma dużo zawistnych, ale tych podobno nikomu nie brakuje. Skory do uznania talentu i zasług w drugich, admirator łatwo zapalny, słodki zawsze i uprzejmy, Gawalewicz jako dziennikarz należy do tych, o których zwykli mawiać Francuzi *notre aimable confrére.*

Redaktorem tylko odpowiedzialnym *Codziennego* jest Dr Józef Wolff, a sekretarzem b. współpracownik *Kuryera Warszawskiego*, pan Tadeusz Czapelski, dziennikarz bardzo ruchliwy i pomysłowy, który w swoim czasie przyczynił się wielce do wzrostu i powodzenia *Kur. Warsz.* za redakcyi Szymanowskiego. Od chwili przejścia w nowe ręce, liczba prenumeratorów *Codziennego* wzrosła w trójnasób i dziś stoi on w rozpowszechnieniu na równi z *Warszawskim.*

Na czele *Gazety Polskiej* stoi Edward Leo, prawnik z zawodu, jeden z tych mecenasów, którzy po reformie sądowej podali się do dymisyi. Edward Leo, choć od lat najmłodszych na niwę dziennikarską zaglądał, dziennikarzem nie jest. Sam pisuje mało i to w kwestyach bardzo specyalnych, suchych; ma jednak wielki dar jednoczenia około siebie talentów i ludzi — i większe jeszcze do nich

szczęście. On to pierwszy umiał się poznać na Sienkiewiczu i właściwie go zużytkować, a zbyt to ciekawy ze względu na autora „Ogniem i mieczem“ szczegół, abym go nie miała przy tej okazyi opowiedzieć.

Lat kilkanaście temu, kiedy losami *Gazety Polskiej* władał ówczesny jej redaktor p. Sikorski, w gronie współpracowników był także młody chłopak, który świeżo ukończył wydział filologiczny w „Szkole głównej“ i debiutował w *Tygodniku Illustrowanym* z rozprawą o Sępie Szarzyńskim. Polecono mu w *Gazecie* pisywanie feiletonów tygodniowych. Młodzieniec zabrał się do tej pracy z zapałem, a ówczesne jego kroniki zwróciły odrazu uwagę wszystkich na nowo objawiający się talent. P. Sikorskiemu jednak bardzo się nie podobały owe feiletony, pełne młodzieńczej werwy, młodzieńczego zapału i poezyi. Autorowi ich odmawiał zupełnie talentu, a co więcej zarzucał mu niesumienność dlatego, że za wiele było w jego kronikach poezyi, a za mało faktów.

— Ja chcę faktów! proszę o fakta!... powtarzał ustawicznie biednemu Litwosowi, kreśląc mu wszystko, co było tylko żywszem, oryginalniejszem i po nad szablon wyskakiwało. Z feiletonu leciały też co tydzień strzępki, a zostawał tylko suchy szkielet. Taka była jednak potęga tego talentu, że i ten szkielet zdradzał jeszcze niepospolitą zdolność. Pewnego razu ktoś z współpracowników *Gazety* winszował Sikorskiemu feiletonisty.

— Wielka sztuka! — odpowiedział surowy Argus — patrz pan, ile tu musiałem wyrzucić i jakem się napracował!

I pokazywał rękopism cały pokreślony, a w nim powymazywane najpiękniejsze ustępy, istne perełki poezyi. Chcąc też wyrobić „niesumiennego młodzieńca“ powierzał mu najsuchsze i najpospolitsze roboty reporterskie. Nic też dziwnego, że pod takim redaktorem biedny Litwos czuł się skrępowanym i tracił wszelką do pisania ochotę. Odżył on dopiero, kiedy Edward Leo objął redakcyę *Gazety*. Ten poznał się odrazu na wielkim talencie, otworzył mu łamy *Gazety* i przez parę lat miała ona kronikarza *hors ligne,* a feiletony jej „Z chwili bieżącej“ godneby były zaiste osobnego w książce wydania.

Talent Sienkiewicza zaczął się w nich po raz pierwszy rozwijać i powszechną na siebie zwracać uwagę, a Litwos stał się odtąd Benjaminkiem *Gazety* i jej ukochanem dzieckiem. W jej łamach ukazywały się wszystkie prawie początkowe powieści i nowele Litwosa. Ona to miała szczęście drukować pierwsza „Szkice węglem“, „Przez stepy“, „Hanię“.... Była to najświetniejsza epoka *Gazety.* Obok Sienkiewicza ukazywały się w feiletonie powieści i utwory najznakomitszych w Polsce piór, a pod względem literackim należała niewątpliwie do najlepiej i najświetniej redagowanych u nas pism.

Słynny ze swego dowcipu Edward Leo — dowcip ten odziedziczył po ojcu, wziętym bardzo w swoim czasie lekarzu warszawskim. Pamiętam

doskonale, jak przed laty 40 bawiły nas kursujące po całem mieście anegdotki i kalambury Dra Leo ojca. Wezwany kiedyś do Ostendy przez jednego z bankierów warszawskich, Dr Leo wracał z nim później do kraju. Na jakimś noclegu pyszny ów bankier zapisał się w książce hotelowej: *Banquier X. aus Warschau mit seinem Arzt Dr Leo.* Korciło to wesołego lekarza, więc na następnym noclegu spieszy pierwszy do biura hotelu i pisze w rejestrze gości: *Dr Leo aus Warschau mit seinem Banquier Herrn X.*

Z licznych kalamburów Edwarda Leo przytoczę Ci na próbkę parę. Pewien *meches* warszawski chciał się koniecznie podszywać pod starą polską szlachtę i wmawiał w ludzi, że jeden z przodków jego był konfederatem barskim.

— Konfederatem nie, odpowiedział na to Edw. Leo, ale konfederatnikiem, a to różnica wielka.

Istotnie zaś dziad owego *mechesa*, będąc z zawodu czapnikiem, mógł robić konfederatom rogatywki.

Innym znów razem przy wykwintnym artystyczno-literackim obiedzie wypadło Ed. Leo miejsce obok słynnej artystki teatru warszawskiego, czarującej zarówno talentem, jak i wdziękami. Wyciętą w „karo“ sukienkę spinała przepyszna agrafka, bizantyńskiej roboty, a umieszczona z wielką kokieteryą, jakby rogatka zamykająca ogród Hesperyd.

— To dar cesarza Aleksandra II, odrzekła artystka, widząc z jaką ciekawością przypatruje się Leo owej agrafce.

— Tak, tak, oto nowa zapora, jaką nam rząd stawia....

Najmilszy towarzysz i najlepszy kolega, Edward Leo nie będąc dziennikarzem stał się jednak osią, około której zgrupował się znaczny bardzo odłam najwybitniejszych sił literackich, nietylko z *Gazety*, ale i z kilku innych dzienników. Dowodzi to najlepiej siły atrakcyjnej tego człowieka, oraz niezwyczajnego podobno w kołach gazeciarskich fenomenu, że po za wzajemną konkurencyą, po za sprzecznością nietylko zdań i przekonań, ale i interesów, może istnieć punkt styczny i łączny, który wszystkich jednoczy. Takim właśnie punktem jest Edward Leo. Jedyny to niewątpliwie u nas redaktor, którego wpływ sięga nietylko po za *Gazetę* i współpracowników, ale oddziaływa także na tych, co nietylko w innych dziennikach pracują, ale i niemi kierują. Dojść zaś mógł do niego nietylko człowiek niezmiernej zacności osobistej, ale i redaktor pojmujący swe stanowisko publiczne ofiarnie i szlachetnie, od wszelkich osobistych względów wolny, sprawę ogólną na pierwszem stawiający miejscu.

Être admiré n'est rien, le toût est d'être aimé, powiedział kiedyś Musset, a zdanie to musi się chyba często przypominać Edwardowi Leo. Miłość, jaką zażywa w kołach koleżeńskich, równa się szacunkowi, jakim obdarzają go w całym świecie.

Czynny w rozmaitych instytucyach i towarzystwach, do stanowiska redaktorskiego przywiązuje wielką wagę i o nie dba najwięcej. Troskliwy o dobór i niepokalaność ludzi, których wciąga do swej redakcyi, pod tym względem niemal przysłowiowo czuły, Edward Leo potrafił wyrobić *Gazecie* to niezmiernie zaszczytne stanowisko, że jak żona Cezara jest ona od wszelkich podejrzeń wolną i po nad niemi stoi. Zawsze najlepszej wiary i woli, bez krzty zarozumiałości i impozycyi, chętnie rad dobrych słucha i im ulega, w kwestyach zaś ogólnych, krajowych, zasadę solidarności posuwa niemal aż do drobiazgów. O *Gazetę* można też być spokojnym, że „dziką“ nigdy nie będzie i w pojedynkę nie pójdzie, że ambicye osobiste stanowiskiem jej nie pokierują i na sprawy publiczne nie wpłyną. Konserwatywna na wzór i modłę Keniga, ma, a raczej miała dawniej też same co *Gazeta Warszawska* wady, uprzedzenia i zastarzałe liberalistyczne predylekcye. Przez długi czas specyalnością jej były ciągle przewidywania i zapowiedzi wojny. Równie jak tamta i ona zajmuje się przeważnie polityką zagraniczną; kwestyom wewnętrznym i ekonomicznym mało poświęca miejsca. Dawniej interesowała się dużo literaturą i pomieszczała wiele sprawozdań i recenzyj; dziś dział krytyczny ogranicza się w niej prawie wyłącznie do teatru, *Gazeta* jak tyle innych rzeczy u nas oparła się o Leopolda Kronenberga, który ją przekazał swojemu domowi z tym charakterystycznym jednak rysem, że dom ten najmniejszego wpływu

ani przywłaszcza sobie, ani wywiera. Ciekawym jest zaś fakt, że p. Stanisław Kronenberg przed paru laty nabył dawne pozytywistyczne *Nowiny* z myślą utworzenia z nich swego *Leiborganu* i stał się przez to konkurentem swej własnej *Gazety*. *Nowiny* kosztowały go przez pół roku przeszło 40,000 rs., a ostatecznie p. S. Kronenberg nie zlał ich z *Gazetą*, ale zamknął.

W ostatnich czasach *Gazeta Polska* ożywiła się bardzo, zmodernizowała swój układ, siły ma dobre i liczne, a grono współpracowników wyborowe. Między współpracownikami tymi muszę wymienić dwóch: Aleksandra Rembowskiego i Dyonizego Henkiela.

Rembowski, to przedewszystkiem człowiek nauki. Dziennikarstwo traktuje jako rzecz poboczną i nie ma do niego ani temperamentu, ani pociągu. — Autor licznych a bardzo cennych prac z dziedziny prawnopolitycznej, redaktor *Biblioteki umiejętności prawnych*, jest jedną z pierwszych naszych powag naukowych. Główne jego miejsce nie w *Gazecie*, ale w *Niwie*. Do *Gazety* pisuje artykuły polityczne, poważne, gruntowne, a oparte zawsze na naukowym podkładzie. W *Niwie* umieszcza specyalniejsze rozprawy, a przed paru laty wydał tam bardzo ciekawą i doniosłą rozprawę o czynszownikach w kraju południowo-zachodnim, która równocześnie wyszła także w Petersburgu w języku rosyjskim. Pierwszorzędna siła i zdolność, Rembowski jest filarem *Niwy*, a ozdobą *Gazety* i w ogóle jednym z najwybitniejszych reprezentantów poważnej, bezinteresownej

i gruntownej nauki w młodszem pokoleniu naszem; więcej na profesora uniwersytetu, aniżeli na dziennikarza i publicystę stworzony, został nim dla tej prostej przyczyny, że do właściwego jego nauce i zdolnościom stanowiska droga u nas zamknięta.

Dyonizy Henkiel ma dużo w sobie temperamentu i zdolności dziennikarskich. — Jego polemiki z prasą rosyjską zwracają zwykle powszechną uwagę. Trzyma on w *Gazecie* pierwsze skrzypce: jest pomocnikiem, a często nawet i zastępcą redaktora. Pióro ma łatwe, talent pisarski niepospolity, zmysł krytyczny, wykształcenie historyczne niepoślednie; czasami uprawia także poezyę, a dawniej był przez długi czas z mniejszem powołaniem recenzentem teatralnym — w ogóle publicysta to niepośledni, siła wybitna, cenna i pożyteczna. Zażywa on w ściślejszem kółku koleżeńskiem dużej powagi i uchodzi za krytyczną wyrocznię. Po za *Gazetą* nie pisuje nigdzie, a w niej zajmuje się wiele kwestyą rusińską, którą zna dobrze, ale sądzi nieraz zbyt platonicznie, oraz sprawami wschodniemi i słowiańskiemi. Pisze w ogóle mało, bardzo szlachetny i niepodległy, w ogóle mniej politycznie wyrobiony.

Wiek uchodzi za organ konserwatywny i jest nim istotnie w wielu wypadkach. Założony przez Lewestama, a nabyty od niego przez znanego komedyopisarza Kazimierza Zalewskiego, rozwinął się głównie i nabrał wyraźnej barwy dzięki zabiegom i energii ś. p. Zygmunta Sumińskiego, który przez długi czas był jego filarem. On to go ustalił, a p.

Zalewski spuściznę tę po Sumińskim utrzymać się stara. Prowadzi on swój dziennik dosyć ostrożnie i w kwestyach zasadniczych nie pozwala mu wypaść z równowagi. Konserwatyzm ten jednak jest raczej biernym, niż czynnym. Od czasu do czasu zamanifestuje go w jakimś szczególe, później cichnie, lecz baczy, aby nie ściągnąć na siebie nagany *Przeglądu Katolickiego*. Afirmacyi jasnej, wyraźnej tam nie znajdziesz. W walce z prasą pozytywistyczną np. *Wiek* zajmuje obojętne stanowisko. Ignoruje ją i w polemikę nigdy się nie wdaje. Za to w kwestyi semickiej np. jest bardzo jaskrawym. Idzie tu solidarnie ręka w rękę z *Rolą* p. Jeleńskiego i jest też gorliwie przez nią popieranym. Szkodliwym nie jest, owszem dużo w nim artykułów dobrych i zachowawczych, tylko wybitnym nie jest, a to niestety odpowiada nieraz usposobieniu ujemnemu naszego społeczeństwa, które nie lubi ani tego co jest wybitnem, ani zwłaszcza zdań wybitnych. Jest to zatem czasem sposób przemówienia do jego przekonania i wygodny środek osiągnięcia tuzinkowego powodzenia.

Zanim z kolei przyjdzie mi wspomnieć o *Słowie*, muszę skorzystać ze sposobności i pomówić o dawnym pisma tego redaktorze, Henryku Sienkiewiczu, o którego tak się natarczywie dopytujesz. Ciekawość twą doskonale pojmuję, ale wątpię, czy sprostać jej zdołam. Sienkiewicz nie należy do tych, co sami rzucają się w oczy; raczej od ludzi stroni, aniżeli ich szuka. Próżnemi były od lat kilku moje zabiegi,

osobiście poznać go nie zdołałam, aczkolwiek spotykaliśmy się nieraz. Muszę więc kreślić tę sylwetkę zapożyczonemi barwami, więcej niestety z opowiadań drugich, aniżeli z własnej obserwacyi. Tobie zaś, skoro tak gorąco prosisz, abym Ci wskazała drogę poznania tyle głośnego dziś pisarza, jednej tylko udzielić mogę rady. Bawiąc w Krakowie, zapukaj do pp. Janczewskich, szwagrów H. Sienkiewicza; tam go jeszcze najłatwiej spotkasz i tam znajdziesz go najmniej do mizantropii skłonnym, bo w atmosferze stosunków rodzinnych ożywia go nadto specyalna z gospodarzami tego domu przyjaźń.

Wszystko w tym człowieku jest jakoś dziwnie równe. harmonijne, artystycznie pełne. Weź samą jego postać. Twarz piękna, ale nie banalnie przystojna, rysy ostre, wyraziste, męskie, w spojrzeniu jakiś odcień zadumania, które nie jest bynajmniej rozmarzeniem. W zachowaniu się spokój, miara, prostota. Nigdy żadnej pozy, nigdy udawania czegoś lub kogoś. Raczej apatyczny, aniżeli nieśmiały, nie znosi towarzystwa ludzi mało sobie znanych. Nowa znajomość jest dla niego istnem poświęceniem. Skorym też do niego nie bywa, a odczułam to, jak widzisz, na samej sobie. Za to w gronie bliższych przyjaciół staje się swobodnym, wesołym, dowcipnym czasami, dawniej zwłaszcza, nawet swawolnym jak żak. Bez fałszywej skromnosci, obojętnym jest jednak na pochwały i uznanie, o tyle naturalnie, o ile człowiek śmiertelny, który zawsze woli, aby go spotkało dobre, ani złe, obojętnym być może

Powodzeniem nie gardzi — byłoby to bowiem pozą — ale gdyby go zabrakło, sądzę, że nie uskarżałby się wcale i nie kiwnąłby nawet palcem, aby je sztuczną posiąść drogą.

W rezultacie wszystko, co o nim i na niego piszą, zarówno dobrze jak źle, mało go obchodzi, nie dlatego, aby był tak bezdennie zarozumiałym, ale skutkiem pewnej w tym kierunku apatyi i znieczulenia nerwów. Trzeba jakiejś bardzo wybitnej i istotnej powagi, aby zdanie, które o nim wygłosiła, mogło go zainteresować. W całem powodzeniu „Ogniem i mieczem“ oraz „Potopu“ jedno mu tylko zrobiło zadowolenie, to mianowicie, że dochód, jaki mu te powieści przyniosły, umożliwił troskliwą kuracyę chorej żony. Po za tem, jak napaści nie robiły żadnego wrażenia, tak i pochwały sprawiały względne tylko zadowolenie, o tyle tylko, że mógł je pokazać żonie i tem jej sprawić przyjemność. Czuje dobrze wartość swego talentu i dzieł, niemniej jednak zarozumiałym nie jest i nie był nigdy. Przeciwnie, nikt chyba z piszących równie łatwo nie przyjmuje wszelkich rad i wskazówek, aniżeli on. Powolność w tym kierunku posuwa często aż do przesady, słuchając takich nawet, którzy prócz życzliwości osobistej, żadnej innej kompetencyi nie przedstawiają. Jest jednym z tych rzadkich, co nie cierpią o sobie samym rozmowy. To go głównie odstręczyło od bywania w świecie, gdzie salonowych komplementów i zdawkowych pochwał znieść nie mógł, tak go one nużyły, a co gorzej, nudziły. Nie

należy zaś do tych, coby nudę jak sport uprawiali. Owszem, boi się jej straszliwie i starannie unika, choćby z narażeniem swej popularności kosztem zdobycia przydomku: mizantropa.

W sądach o drugich czasem aż do słabości wyrozumiały; czyni to zapewne głównie z obawy, aby go kto o małostkową zazdrość nie posądził. Natura to na wskróś estetyczna, która wielu rzeczy nie popełnia głównie dlatego, że się niemi brzydzi i że jest zanadto na to wykwintną. Z sztuk pięknych najwięcej lubi malarstwo, zna się na niem i zawsze żałuje, że malarzem nie jest. Zamiłowany podróżnik i namiętny myśliwy, gdyby się nie był ożenił, spędzałby niewątpliwie całe życie na koczowniczych wędrówkach. Skoro znuży go czczość i szablonowość naszego codziennego życia, wówczas przychodzi mu na myśl Ameryka i wybiera się do Meksyku, to znów do Kalifornii, gotów szukać przygód, rzucać się z oszczepem na niedźwiedzia, polować na jaguary... Jedną z najulubieńszych jego lektur są też opisy podróży: Stanley, Liwingston i t. p. Z powieściopisarzy lubi może najwięcej starego Dumasa. Od ławy studenckiej ma wielkie zamiłowanie do Szekspira, ciągle go czytuje, głównie „Burzę“, „Hamleta“ i seryę „Henryków“. Do Falstaffa ma specyalną predylekcyę, którą znać w panu Zagłobie... Z książek polskich najulubieńszym chyba przekład „Odyssei“ Siemieńskiego, z którym się prawie nigdy nie rozstaje.

Niezawsze był Sienkiewicz takim jak jest dzisiaj, ale grunt, podstawa jego natury i usposobienie były zawsze te same. Wielki wpływ na rozwój, a raczej na skondenzowanie się jego talentu miała zmarła w roku zeszłym żona (Marya z Szetkiewiczów). Ona go przykuła do miejsca, ona dała mu to szczęście, które sił przysparza, ufność w siebie samego budzi, imożność pracy podwaja. Bez niej nie mielibyśmy może ani „Ogniem i mieczem“, ani „Potopu“, bo ich autorowi, przyzwyczajonemu dotychczas do kilkunastu feiletonowych nowelek, zabrakłoby wytrwałości do napisania obszerniejszych rozmiarów powieści. Ona przytłumiła w nim tę pesymistyczną nutę, która dźwięczała zawsze trochę rozpaczliwie we wszystkich jego poprzednich utworach; ona rozpogodziła ten umysł, co zbyt czarno zaczął już na świat patrzeć; ona była największem jego na ziemi uczuciem, przyjaciółką, powiernicą, doradczynią, krytykiem i jedyną osobą, o której sąd i zadowolenie dbał istotnie. Nosił się kiedyś Sienkiewicz z myślą napisania powieści, której przeznaczał tytuł: „Kronika szczęścia“. Było to wkrótce po jego ślubie. Nietrudno zgadnąć, czyjego szczęścia miała to być kronika.... Przyszło ono i znikło jak cień, pozostawiając tylko po sobie rzewne zawsze wspomnienie osoby gruntownie, choć niepretensyonalnie wykształconej, dziwnie miłej, zacnej i dobrej, która w życiu takiego jak Henryk Sienkiewicz człowieka odegrała ważną i zwrotniczą niemal rolę.

Henryk Sienkiewicz ma swój odrębny, charakterystyczny sposób tworzenia. Nie pisywał on nigdy inaczej jak urywkami, z feiletonu na feileton. W ten sposób powstawała niegdyś w *Gazecie Polskiej* pierwsza jego obszerniejsza powieść: „Hania“, tak samo w *Słowie* i *Czasie* „Ogniem i mieczem“ i „Potop“. Niektóre tylko drobniejsze nowelki przyszły na świat za jednym zamachem; inne pisane były z dnia na dzień. Cały plan układa w myśli, żadnych notatek nie robi, nie wie, co to brulion — pisze odrazu do druku. Dopiero w ciągu roboty rozmiary powieści i figur rosną mu pod piórem. — Kiedy zaczynał „Ogniem i mieczem“, sądził, że powieść ta będzie miała dwa tomy — zrobiło się cztery. „Potop“ miał mieć cztery, a powstało sześć. Skoro raz zasiędzie do pisania, skoro się do roboty wciągnie, idzie mu ona niezmiernie łatwo i prędko. — Wpierw jednak przygotowuje się bardzo długo, mozolnie i pracowicie. Studya historyczne do „Ogniem i mieczem“ trwały przeszło rok, do „Potopu“ trochę mniej. Czyta on bardzo dużo, wertuje całą prawie literaturę historyczną danego przedmiotu, głównie pamiętniki współczesne, rękopisma, kroniki, *Silva rerum,* wżywa się w ten sposób w epokę, zaznajamia się z nią w najdrobniejszych szczegółach, i dopiero kiedy postacie historyczne stoją przed jego oczyma żywe, z krwi i kości — zaczyna pisać. Mylą się też ci, co zarzucają Sienkiewiczowi odtwarzanie figur historycznych z fantazyi *à la Dumas* (ojciec). Kolosalna między sposobem tworzenia jednego i drugiego zachodzi różnica, a opo-

wiadano mi niedawno ciekawą pod tym względem dyskusyę między Sienkiewiczem i Brandesem za pobytem tego ostatniego w Warszawie.

Brandes powziął odrazu wielką dla talentu Sienkiewicza sympatyę i z niezmiernemi odzywał się pochwałami. Znał on naturalnie drobne tylko jego nowelki z przekładów francuskich i niemieckich, ani „Ogniem i mieczem“, ani „Potopu“ nie czytał — wychodząc jednak ze swej doktrynerskiej zasady, zarzucał mu, że zamiast pisać powieści współczesne, kreślić to życie, które zna i na które patrzy, rzucił się na temata historyczne i tworzy nie z obserwacyi, ale z fantazyi. Odpowiedź Sienkiewicza na ten zarzut była bardzo prosta. Realistyczna metoda nigdzie właśnie nie da się lepiej stosować, aniżeli w historycznej powieści. Tu bowiem autor rozporządza w całej pełni tem, co realiści nazywają: „dokumentami ludzkiemi“. Ma on cały zasób tych dokumentów i wie nietylko, jak się taki np. Bogusław Radziwiłł ubierał, jak wyglądał, ale zna najtajniejsze jego plany i zamysły, zna jego listy, pamiętniki, korespondencye prywatne i urzędowe, wyznania wyrwane z głębi duszy, myśli skrzętnie ukrywane przed całym światem. Może go więc obserwować w najrozmaitszych położeniach i wypadkach życia, może te dokumenta segregować i rozróżniać, jakim był wtenczas, kiedy pozował przed drugimi, a jakim wówczas, gdy występował przed powiernikami w całej swej nagości. A nadto obserwator ma tu przed sobą postać całą, skończoną, życie zamknięte; wie nietylko,

czego chciało, ale czego dokonało; ma fakta niezbite, historyczne, bardzo łatwo skontrolować się dające. Nie potrzebuje więc tworzyć, ale odtwarzać z systematyczną prawie ścisłością daną postać. Fantazya odgrywa tu artystyczną tylko rolę, daje formę, treści zaś dostarczają owe najpewniejsze, najbardziej skrupulatne i niezawodne „dokumenta ludzkie“. Nie obserwuje on tu sam jeden, ale zlewa obserwacye tysięcy ludzi i pokoleń. Po czyjej więc stronie istotna prawda i istotny realizm? Zresztą cóż go obchodzić może ta szara, mgława codzienność nasza. Tam rozgrywają się wielkie wypadki i występują wielcy ludzie. Tam jest się do czego i czem się zapalać — są wielkie charaktery, wielkie zbrodnie i wielkie poświęcenia. Czyż może go do tyla obchodzić jakiś współczesny pan *X* lub pani *Y*, aby miał obserwować, badać życie i cierpienia jego odtwarzać? Oni go przedewszystkiem nudzą. Jeśli zaś idzie o tendencye i oportunizm powieściopisarski, to czyż nie lepiej i zdrowiej zamiast malować dzisiejszy stan umysłów i ludzi, dzisiejszą ich nędzę, sprzeczność z samymi sobą, bezsilność i szamotanie się — pokazać swemu społeczeństwu, że były chwile jeszcze gorsze, straszniejsze i bardziej rozpaczliwe, i że pomimo tego ratunek i odrodzenie przyszło. Tamto może do reszty zniechęcić i zrozpaczyć — to sił dodaje, nadzieję wlewa, ochotę do życia zagrzewa.

I oto, co go głównie skłoniło do przerzucenia się na pole historycznej powieści. Długo nosił się z tą myślą, zacządek jej znać już w „Niewoli tatar-

skiej", ale kto wie, czy ostateczny przełom nie nastąpił skutkiem obrzydzenia, jakie mu sprawiła cała rzesza naśladowników i naśladowniczek, te legiony „Janków muzykantów", które nagle zaczęły się pokazywać w każdem piśmie, codzień niemal. Znienawidził biednego „Janka" za to, że tak liczną miał progeniturę, a istotnie mogła mu go ona obrzydzić. Pojawiały się tu bowiem monstrualne w tym kierunku rzeczy, rozpoczęło się powszechne na tę nutę kwilenie. Każdy tworzył swojego „Janka", każdy kazał mu kraść, nawet zegarki [1]) i powstał chór, który mógł istotnie zdenerwować i zniechęcić tego, co pierwszy właściwie poddał mu nutę. Sprzykrzyło się więc Sienkiewiczowi wygrywanie na „wyciągniętej kwincie uczucia" i postanowił z innego zagrać tonu.

W początkach r. 1880 nosił się on z myślą napisania powieści, której bohaterem miał być Władysław Warneńczyk. Temat podsuwała mu wzmianka kroniki o jakiejś bardzo romantycznej przygodzie miłosnej króla na Węgrzech. Zaniechał jednak niebawem tego zamiaru dla „Bartka zwycięzcy". A kiedy wyszły „Szkice" Kubali, pod ich wpływem wziął się do studyów nad Kozaczyzną. I oto geneza „Ogniem i mieczem". Zrazu miała się ta powieść

---

[1]) „Złoty zegarek", nowela p. Chomińskiego, drukowana w *Kuryerze Warszawskim*, w której bohater z zapałem do mechaniki, jak Janko do muzyki, kradnie . . . . złoty zegarek, widziany na wystawie sklepowej.

nazywać „Wilcze gniazdo“ i skupiać się głównie około rodziny kniaziów Kurcewiczów. „Wilcze gniazdo“, to rodzina Heleny. Pod piórem dopiero rozwinął się obraz, wzrosły postacie, powieść przybrała obecne rozmiary. W różnych miejscach pisaną była ta powieść, z początku w Warszawie, później w Nałęczowie, potem w Zell am See, w Arcachon, w Mentonie w miarę, jak choroba żony przerzucała ich obojga z jednej stacyi klimatycznej do drugiej. W podobnych, tylko w cięższych jeszcze warunkach powstał i „Potop“. Niektóre jego rozdziały pisane były wśród najstraszniejszych cierpień i rozpaczy, w chwili, kiedy wszelka nadzieja ratunku biednej pani Henrykowej nikła i kiedy jedynym środkiem oderwania myśli od przewidywań rychłej katastrofy była właśnie przymusowa i forsowna nad tą powieścią praca.

Jak każdy prawdziwy talent, tak i Sienkiewicz nie wszystkie utwory swej fantazyi równem obdarza sercem. Wspomniałam już, że nienawidzi „Janka“. Tak samo dzieje się z wielu innemi. Z dawniejszych najwięcej może lubi „Przez stepy“, a kocha się zawsze jeszcze w „Lilianie“, specyalnym zaś faworem obdarza pana Zagłobę i nieboszczyka pana Podbipiętę. Z kobiecych jego postaci ulubioną chyba Oleńka; kniaziówna Helena, choć taka ładna, stoi daleko niżej w afekcie autora.

Zamiłowany w Dickensie i w ogóle w Anglikach, z współczesnej beletrystyki francuskiej ceni najbardziej, a może nawet jedynie Alfonsa Daudeta i sam kilka drobnych jego nowelek tłumaczył, a był

czas, że zamierzał nawet przełożyć *Tartarin sur les Alpes*, bo dla Tartarina ma taką niemal jak dla pana Zagłoby słabość. Nie cierpi zaś Feuilleta, Ohneta i wszystkich salonowych romansistów, zarzucając im ckliwość i szablonowość. O Zoli i całej szkole naturalistycznej wypowiedział swe zdanie w dwóch odczytach, mianych przed paru laty w ratuszu, a drukowanych później w *Niwie*. Po powrocie z Ameryki pisywał w *Niwie*, a poźniej czas jakiś i w *Słowie*: „Mięszaniny artystyczno-literackie“, rodzaj przeglądów bardzo ciekawych i zajmujących, o książkach, obrazach i teatrze. Kto go chce dobrze poznać, ten powinien do tych „Mięszanin“ zaglądnąć, a znajdzie w nich niejedno estetyczne wyznanie wiary, niejeden do jego literackich poglądów komentarz.

Powieściom Sienkiewicza zawdzięcza głównie *Słowo* swój wzrost i powodzenie, na szczęście bowiem publiczność nasza nie nauczyła się jeszcze od waszej zachwytów swych platonicznie tylko wyrażać. Pierwsze wydanie „Ogniem i mieczem“ rozeszło się w parę miesięcy w 3000 egzemplarzy, z których, rzecz charakterystyczna, nie wiem, czy i 200 przypadło na Galicyę, u was bowiem uwielbiają powieści, urządzają na ich tle bale kostiumowe i żywe obrazy, u nas kupują je i czytają. Drugie poszło równie szybko, a trzecie jest na wyczerpaniu.... To samo stało się z „Potopem“, a w ogóle jedynemi dziełami, które teraz w handlu księgarskim idą, są po-

wieści Sienkiewicza. Na tych powszechny zastój nie odbił się wcale....

Byłabym jednak niesprawiedliwą, gdybym nie przyznała, że na wzrost i powodzenie *Słowa* składają się nie same tylko powieści Sienkiewicza. Owszem, dziennik ten, założony przed siedmiu laty, wyrabia się coraz bardziej, a już z tego tytułu posiada całą moją sympatyę, że ostatecznie jest to jedyny u nas organ codzienny, naprawdę, szczerze i konsekwentnie zachowawczy i katolicki; pismo, którego właściciele i redakcya dają rękojmię, że innym nigdy nie będzie i żadnemi względami z drogi swej zepchnąć się nie da.

Ma to pismo zaletę, że jedyne z naszych grupuje obok siebie grono wybitnych, wpływowych i znaczących osobistości i nie jest tylko dziennikiem, ale i do pewnego stopnia organem. Redakcya zaś jego składa się z ludzi, którzy właściwie z dziennikarstwa nie żyją i więcej pracują dla zasady, aniżeli z potrzeby. Złączeni wspólnością przekonań z właścicielami pisma, dążą oni do wytworzenia organu, który nie będąc skrajnym byłby jednak konsekwentnie zachowawczym i katolickim, zarówno w sprawach wewnętrznych jak i zagranicznych. Kierunek ten zaznacza *Słowo* bardzo wyraźnie w każdej kwestyi i przy każdej sposobności. Z góry można przewidzieć, jakie w tej lub owej sprawie zajmie stanowisko i stanowiska tego można być pewnym.

Stanowisko to nie pozostało bez wpływu na pewne tony umiarkowania w innych pismach, zwła-

szcza tych, które również za zachowawcze uchodzić pragną. Przez samą konkurencyę owe pisma na półkonserwatywne widząc względne powodzenie tego kierunku, pragną się doń nagiąć i w zachowawczości nie pozostać w tyle. Godnem podniesienia jest zachowanie się *Słowa* w sprawie żydowskiej. Odznaczało się ono zawsze wielkiem umiarkowaniem, roztropnością i zrozumieniem istotnego interesu krajowego, którego nie poświęciło nigdy dla popularności w tej właśnie kwestyi, tak łatwej do zdobycia i tyle popłatnej.

Z t. z. postępową prasą prowadzi walkę otwartą i z podniesioną przyłbicą. Sprawami ekonomicznemi i socyalnemi bardzo zajęte, poświęca im *Słowo* stosunkowo najwięcej ze wszystkich naszych dzienników miejsca, traktuje je poważnie, ale gruntownie, a między współpracownikami tego działu ma wiele sił fachowych i pierwszorzędnych zdolności. Zarzucić mu zaś głównie trzeba nie dość ścisłą kontrolę językową i pewną ociężałość redakcyi, która grzeszy nieraz szablonowością i zaniedbaniem działu krytyczno-literackiego, przyznać zaś należy staranie o informacye czerpane z poważnych i pierwszorzędnych źródeł, korespondencye oryginalne pisane przez ludzi świadomych położenia i nie tuzinkowych, oraz to, iż chyba pierwsze zaczęło poruszać kwestye społeczne ze stanowiska katolickiego i zachowawczego.

Redaktorem *Słowa* jest obecnie dawny kierownik *Niwy,* Mścisław Godlewski, człowiek poważny i poważania w kraju zażywający (radca Dyrekcyi głównej

Tow. Kredyt. Ziemsk.) a do głównych pisma tego współpracowników należą: ks. Zygmunt Chełmicki, publicysta zdolny, obfity, umiarkowany i dużym sprytem obdarzony; Dr Antoni Donimirski, bardzo z kwestyami ekonomicznemi obeznany; Władysław Olendzki (Jacek Soplica) zamaszysty, żywy i zawsze chętnie czytany, oraz Antoni Zaleski, który podpisuje ten dziennik jako wydawca, a jest raczej jego przygodnym niż stałym współpracownikiem. Dział literacki i feileton pozostał jak dawniej wyłączną H. Sienkiewicza dziedziną.

Tyle o naszem dziennikarstwie. Rzecz prosta, że jako codzienne i najbardziej wpływowe najwięcej mi też ono zajęło miejsca i czasu.

Z kolei muszę teraz przystąpić do innych wydawnictw peryodycznych, sądzę jednak, że nie będziesz odemnie wymagała dokładnego i szczegółowego przeglądu, któryby rozszerzył i tak już zbyt wielkie rozmiary niniejszego listu.... Postaram się więc być zwięźlejszą, mówiąc zawsze więcej o ludziach, aniżeli o pismach, te bowiem z natury rzeczy bardziej aniżeli dzienniki są u was znane i czytane.

Najstarszym z naszych pism illustrowanych jest *Tygodnik*. Przez lat dwadzieścia pięć pozostawał on pod kierunkiem Ludwika Jenikego. Starego to autoramentu literat, tłómacz Goethego, więcej w dosłowności, aniżeli w kolorycie wierny, języka polskiego wielki znawca, drobiazgowy, systematyczny, suchy, ale zasłużony i baczny redaktor, który potrafił *Tygodnikowi* bardzo poważne wyrobić stanowisko i uczy-

nić go na wskróś krajową illustracyą, zbiornikiem pamiątek naszej przeszłości, rodzajem zabytkowego muzeum. Pod tym względem zasług ma wiele i istotnych, a chcąc je ocenić, trzeba do niej inną niż dzisiejsza przykładać miarę; trzeba nie zapominać, że ten *Tygodnik* musiał u nas bardzo wiele rzeczy zastępować i najrozmaitsze działy uprawiać. Dawniej własność Ungra, należy obecnie do znanej firmy Gebethnera i Wolffa. W ostatnich czasach przeszedł pod redakcyę Wincentego Korotyńskiego, ożywił się bardzo, wzmocnił swe siły redakcyjne, zmienił kierunek artystyczny, a połączywszy się z *Tygodnikiem Powszechnym* wzrósł do imponującej cyfry 7,000 abonentów. Jako pismo obrazkowe stanął też obecnie na wysokości zagranicznych tego rodzaju wydawnictw. Illustracyj daje dużo i dobrych, a przeważnie oryginalnych; ruchliwym jest wielce, a jak dawniej, tak i teraz kierunek ma rozsądny i umiarkowany, zachowawczy, a odznaczał się zawsze wielkiem poszanowaniem religii katolickiej i bacznem unikaniem wszelkich w tym kierunku jaskrawości.

Korzystam z tego, że Edward Lubowski jest recenzentem teatralnym *Tygodnika*, aby choć w kilku słowach dać Ci charakterystykę tej postaci, bardzo znanej i popularnej na naszym bruku, a w gruncie rzeczy niezmiernie sympatycznej. Komedyopisarz, Lubowski uprawia wszystkie niemal możliwe działy dziennikarstwa i publicystyki, pisuje powieści i nowele, studya historyczne, krytyki i kompendya filozoficzne, obserwuje przywary ludzkie, wydaje nawet

„kodeks przepisów światowych", a przez parę lat bierze czynny udział w pewnem bardzo poważnem i ścisłem dziele statystycznem. Dawniej współpracownik *Biblioteki Warszawskiej,* później feiletonista *Kłosów,* recenzent *Tygodnika,* należał za Lewestama do redakcyi *Wieku,* potem jakiś czas do redakcyi *Słowa,* pisywał w *Bluszczu* — słowem z wyjątkiem *Prawdy* i *Przegl. Tygod.* no i... *Przeglądu Katolickiego* niema prawie pisma w Warszawie, w którem by nie ukazywały się prace i artykuły Lubowskiego ze wszystkich prawie dziedzin — z wyjątkiem chyba... teologii. Tej jednej jeszcze nie uprawiał. Sądzę jednak, że przyjdzie czas i na nią. Płodny bardzo — książek, studyów, artykułów, szkiców ma więcej za sobą, aniżeli włosów na głowie. Jako komedyopisarz odznacza się głównie doskonałą charakterystyką figur i wybornym zmysłem obserwacyjnym, w budowie sztuk jest słabszy, zaprawia je jednak zawsze szerszą społeczną tendencyą, zacną i czystą. Ten zawodu swego do kramarstwa nigdy nie poniżył i nie poniży... w paszkwilach rozgłosu nie poszuka, krętą drogą za powodzeniem nie pogoni. On to powodzenie lubi bardzo i do tego stopnia, że radby mieć pewną na nie wyłączność; on je niechętnie u drugich widzi, nie dlatego, aby był zazdrosnym, ale że z natury niezmiernie podejrzliwy, posądza zaraz, że sukces tej lub owej komedyi p. X. albo p. Y. jest z góry urządzonym przeciw niemu zamachem. Wszystko to jednak wypływa raczej z temperamentu, a nie — broń Boże — ze złej

i złośliwej z gruntu natury. Zresztą słabości te i słabostki mają platoniczne tylko objawy. Szkodzą oni zdrowiu i humorowi jego tylko — nigdy drugich: owszem stają się raczej źródłem wesołości tych drugich. Ztąd też wypływa ta ogólna sympatya, jakiej w kołach koleżeńskich i po za niemi tutaj zażywa; ztąd ta jego popularność, której spory dział przechodzi i na komedye Lubowskiego, cieszące się na naszej scenie specyalnem powodzeniem i istotnie powodzenia tego warte. On w tę sympatyę może nie wierzy i przekonany o swym „pechu“ sądzi, iż w całem mieście ma samych tylko spiskujących skrycie przeciw niemu wrogów, ale takie już jego szczęście, że właśnie dzieje się wprost przeciwnie, na przekór jego własnemu mniemaniu i przekonaniu.

Na pozór trudny w pożyciu, jest w niem jednak najłatwiejszy; charakter to zacny, czysty, pisarz zdolny i oczytany, a chociaż subjektywista typowy, subjektywizm ten zostawia zawsze *intra muros,* w piśmie zaś i druku zapomina o swych sympatyach, antypatyach i poważnym i względem tych nawet, których mniema swymi nieprzyjaciołmi, bardzo pobłażliwym.

Kłosy podpisuje jako redaktor właściciel ich i wydawca p. Salomon Lewental. Był czas, że opłacały się one świetnie i korzystne stanowiły przedsiębiorstwo. Dziś spadły bardzo, choć redakcya ich złożona z ludzi wytrawnych, poważnych i zasłużonych, na których czele stoi Adam Pług (Antoni

Pietkiewicz). Organiczną wadą *Kłosów* jest ta możliwa jedynie na warszawskim gruncie anomalia, że pismo, które usiłowało zawsze nabrać charakteru zachowawczego, a nawet katolickiego, jest własnością dygnitarza czy prezesa gminy izraelickiej. Tenże sam zaś p. Lewental wydawał i podpisywał również jako redaktor postępowy *Świt*, będący pod względem kierunku i tendencyj przeciwieństwem *Kłosów*. Zagorzały izraelita był więc w jednem piśmie katolikiem, w drugiem bezwyznaniowym, a wskutek tego, jak to mu słusznie w pismach naszych wytykano, w obu nie miał być niczem innem, tylko spekulantem.... To zaś wytwarza ten trudny niezmiernie stan rzeczy, w którym redakcya pragnie wysunąć *Kłosy* z po za sfery wszelkiej spekulacyi, piętno zaś tej spekulacyi ciąży na nich w samej osobie wydawcy.

Nad tym stanem rzeczy można ubolewać, ale nie godzi się zań potępiać tych, którzy w skład redakcyi *Kłosów* wchodzą i ile się tylko da, do zasad swoich nagiąć je pragną. Oni tego stanu nie wytworzyli, lecz tylko z konieczności zaakceptowali, przyznać im zaś trzeba, że się wytrwale, choć często bezskutecznie od następstw jego bronią i *Kłosy* na zachowawczym poziomie utrzymać usiłują.

Główna zaś w tem zasługa Antoniego Pietkiewicza. Rzadkiej to zacności i poświęcenia człowiek, literat z innej, idealniejszej epoki, pełen dawnej wiary, dawnego zapału, skromny, cichy, pracowity niezmiernie, bezinteresowny aż do przesady, a kato-

lik wierzący i gorący, jeden z tych, których się już nietylko szanuje, ale czci. Cały oddany *Kłosom*, w których boryka się ustawicznie — poświęcił dla nich, a raczej dla zasad, którychby w nich bronić pragnął, bardzo wiele, nic prócz przykrości w zamian nie zyskując. Dawną swą powieściopisarską i poetyczną niwę zaniedbał zupełnie, siły swe targa w *Kłosach* na nekrologi i artykuły przygodne; całe życie idealista i łatwowierny, był i jest ciągle wyzyskiwanym i pustelniczy prowadzi żywot.

Bluszcz, tygodnik mód, jest dosyć dobrze redagowanym i niepozbawionym pewnej literackiej wartości, głównie dla dość starannego wyboru oryginalnych i tłumaczonych powieści. Redaguje go pani Ilnicka, poetka, „rozanielona“ wielce, ale przynajmniej cicha, spokojna i nienarzucająca się ze swemi reformatorskiemi zapędami.

Biesiada literacka jest najtańszem z naszych pism illustrowanych, wskutek tego abonentów ma dużo, przeważnie na wsi wśród niższego duchowieństwa, uboższej szlachty, małomieszczan i oficyalistów. Redagowana przez Władysława Maleszewskiego, umie ona doskonale stosować się do przeciętnych wyobrażeń swoich czytelników i trafiać do ich gustu oraz serca. P. Maleszewski zaś (Sęp) używa w swych odezwach redakcyjnych tonu i stylu, który dawno już wyszedł z praktyki i wygląda dziś zanadto sentymentalnie i przesadnie, a nawet śmiesznie; jest bardzo często płaczliwym, moralizującym i pozuje trochę na św. Jana wołającego na puszczy — nie-

mniej jednak pismu jego przyznać trzeba zacność tendencyi i szlachetność kierunku. Rozumu w niem może nie wiele, ale za to uczucia bardzo dużo. Jest ono często ckliwem i kwilącem, ale w gruncie niezmiernie uczciwe, wpływ wywiera dobry i w zdobyciu swej obecnej poczytności nigdy nieszlachetnemi nie posługiwało się środkami.

Pomiędzy te pisma wtrącić muszę choć krótką o Piotrze Jaksie Bykowskim wzmiankę. Dawniej należał on do dziennikarstwa, a dziś drukuje swoje szlacheckie powieści.... Jest więc okazya, abym o nim mówiła. Słynna to była niegdyś na Podolu zwłaszcza postać. Facecyonista starej daty, trochę hulaka, Bykowski długi czas bawił całe Podole swoim humorem nieco rubasznym, czasem nawet swawolnym, zawsze jednak szlacheckim i jowialnym, przez co trafiał do serc panów braci i był wśród nich wielce popularnym. Dotąd jeszcze na Podolu starsza generacya powtarza sobie facecye Bykowskiego, opowiada anegdotki o jego sławnych z Bibikowem zatargach, o gastronomicznych z huzarami w Humaniu zakładach, deklamuje okolicznościowe wierszyki, lokalne satyry.... Jak dotąd we Lwowie Stefanowi Oczosalskiemu, tak tam Bykowskiemu przypisywano wszystkie żarty, dowcipy, facecye, któremi się bawiono i które obiegały z ust do ust. Ten ginący dzisiaj, a bodaj czy niezaginiony już rodzaj jowialności szlacheckiej cechuje też głównie powieści Bykowskiego. Są to raczej dawnego autoramentu gawędy, aniżeli opowiadania, które aby dobrze zro-

zumieć, trzeba mieć w sobie choć trochę owej starej tradycyi szlacheckiej, która poszła już dzisiaj w poniewierkę. Tradycyę tę ma Bykowski w wysokim stopniu i ona to nadaje jego powieściom ową przyprawę, nie dla wszystkich już dzisiaj smaczną. Osiadły od lat trzydziestu w Warszawie, stał się w niej równie prawie jak na Podolu popularną postacią. Anegdot jego i facecyj do niedawna obiegało mnóstwo, a powieści czytywane bywają przez starszą zwłaszcza generacyę z tą lubością, jaką daje zawsze wspomnienie dawnych przeżytych lat, które już się nigdy nie wrócą.

Rola, to wydawnictwo antisemickie, prowadzone z wielkim hałasem przez p. Jeleńskiego. Redagowana bez stylu, a nawet bez gramatyki, z zasobem wiadomości, nawet z dziedziny hebraiki, bardzo szczupłym, a mniej zręczna niż wydawnictwa antisemickie Niemiec, Austryi lub Francyi, grzeszy niesłychaną monotonią, a ton jej jest niesmacznym.

Wszędzie dziś, a tem bardziej u nas popularny kierunek antisemicki dał temu bardzo miernemu pismu wcale pokaźną liczbę czytelników. Żeby kwestyę tę traktowało poważnie, roztropnie i z umiarkowaniem, mogłoby mieć zasługę nawoływania do inicyatywy i pracy żywiołów czysto-polskich, a gromienia surowo, lecz sprawiedliwie zdrożnych poczynań żydowskich, oraz lichwę, szczególnie w małych miasteczkach i na wsi grasującą. Ale p. Jeleński, choć ma ku temu pretensye, ekonomicznych kwestyj nie zna wcale, bodaj żadnego obcego nie zna

języka, z tego też więc powodu pismo jego, traktujące zawsze w koło jedną i tę samą sprawę, w końcu wyczerpać się musiało. Dla ożywienia wyszukuje też skandale, tworzy nieistniejące nadużycia, gra na złych i nizkich namiętnościach, plwa, jątrzy, szkaluje. Pozuje na szlachecki konserwatyzm, a w gruncie ma socyalne i anarchiczne instynkta. Tak samo jak na żydów, krzyczy na Niemców, a właściwie na wszystko, co przedstawia większy u nas kapitał i przemysł, pomimo, iż tego kapitału i przemysłu tak niestety u nas mało. Łatwo krzyczeć na żydów i Niemców — i jest nieraz o co — ale kim ich odrazu zastąpić? Pustka zaś byłaby stokroć gorszą, aniżeli pojedyncze nadużycia. Jak jest obecnie, przemysł ten i kapitał dają bądź co bądź krociom Polaków zarobek. Przy nich wyrabiają się i kształcą ludzie krajowi na wyższych urzędników, techników, dyrektorów, a nieraz na samoistnych przemysłowców i kupców.

Niema wątpliwości, że napływ bezmierny żydów był w przeszłości wielką klęską dla rozwoju kraju. Wina w tem przeważnie nasza. Ale zastępy Niemców, które już w XIV i XV w. licznie osiedlały się w Polsce, byłyby się powoli spolszczyły, jak tego świadkiem stary Kraków do końca XVI w., jak później nawet tylu Niemców, którzy się stali najlepszymi Polakami. To przenarodowienie wydawało się w dawniejszych wiekach tem łatwiejszem, że nie było jeszcze rozdziału religijnego. Żydzi zaś — prócz brzydkich wad plemiennych — nadto nie zlali się jeszcze przeważnie ze społeczeń-

stwem, które ich przed prześladowaniem zagranicznem przytuliło, są w niem wciąż jakby koczowiskiem i lgną nawet do nieprzyjaciół, skoro interes swój widzą i przewagę siły uczują. Mimo to wszystko jednak nie wolno, nie należy jednej szóstej ludności kraju w wrogów zamieniać, tem bardziej, że duży procent inteligencyi, a największy kapitał stanowią, że wielu do polskości i obowiązków względem kraju już się poczuwa. Przeciwnie namacalny interes narodowy każe lepsze tego napływu żywioły asymilować, a samemu cnotą, pracą, godnością i umiejętnością przodować. Tymczasem w wielu razach dzieje się wprost przeciwnie i zamiast żydów do siebie podnosić, raczej sami żydziejemy. Nie daleko szukając tego zżydzenia wymownym przykładem jest właśnie *Rola.* Walczy ona z żydami, a sama po żydowsku spekulacyjna, złe namiętności dla interesu wyzyskująca i przez to samo szkodliwa.

Dwutygodników mamy u nas dwa; jednym jest *Kronika Rodzinna,* drugim *Niwa.*

Kronika, do niedawna jeszcze jedno z najlepiej u nas redagowanych i najużyteczniejszych pism literackich, zostaje pod kierunkiem p. Borkowskiej, a za życia duszą jej był Odyniec. Bardzo to zacne i w najlepszym kierunku prowadzone pismo, a rzeczywiście trudno pojąć, dlaczego więcej się nie rozszerza, chociaż tyle ciekawych drukuje artykułów, podając mnóstwo pierwszorzędnej wartości pamiętników, wspomnień, korespondencyj i tak starannie, po polsku i po katolicku jest redagowana. Wina w tem

może zbytniej skromności pisma i jego redakcyi, która nie umie zewnętrzną formą ściągać czytelników. To, co w innem piśmie zrobiłoby furorę (listy Odyńca, Domejki, Zana, pamiętniki ks. Wirtemberskiej, Korespondencya M. Wiszniewskiego i t. d. i t. d.) w *Kronice* mija bez wrażenia i ma ona więcej znaczenia zbiornika literackiego, aniżeli peryodycznego pisma.

Niwa zajmie niewątpliwie w historyi naszego dziennikarstwa bardzo wybitne miejsce, odegrała ona bowiem w swoim czasie pierwszorzędną rolę. Założona przez pozytywistów, przeszła później na własność Mścisława Godlewskiego, H. Sienkiewicza i J. Ochorowicza. Po wyjściu zaś Ochorowicza a wyjeździe Sienkiewicza, Godlewski zgrupował około *Niwy* bardzo poważne grono ludzi wybitnych stanowiskiem, oraz znaczeniem w społeczeństwie, i przy ich pomocy wytworzył pierwszy u nas właściwie szczerze, konsekwentnie, śmiało i jawnie występujący organ zachowawczy, ale rozumnie postępowy. Skupiło się około *Niwy* grono ludzi młodych, a wśród nich wiele pierwszorzędnych zdolności — wszedł do jej redakcyi Aleksander Rembowski, Z. Sumiński, Władysław Olendzki (Jacek Soplica); ze starszych należał L. Górski, prof. Kasznica, Adam Goltz. Pismo nabrało wielkiego ożywienia, a choć nigdy nie liczyło więcej, aniżeli 800 abonentów, miało jednak wpływ duży, który odbił się nawet na dalszem ukształceniu się naszych grup dziennikarskich. Obok artykułów specyalnych i fachowych celowało polemiką i śmia-

łością wystąpień; z obozem pozytywistycznym prowadziło żywą i zaciętą walkę, w wielu kwestyach występowało z rozumną inicyatywą, zawsze poważnie i rozważnie, chociaż z młodzieńczym zapałem i werwą, jednającą poczytność i zainteresowanie się wszystkich obozów. Wywierała też *Niwa* wpływ pośredni nietylko na swoich czytelników, ale i na inne pokrewne jej zasadami pisma, niemające jednak dość odwagi czy energii do jaskrawszych wystąpień i wydobycia się z ogólnie mdławego à la Kenig i inni konserwatyzmu. Mylnie robią ci, co początek konsekwentnie zachowawczych na naszym gruncie zasad przypisują *Niwie* i powstanie tych zasad od niej datują. Jest to przesada, której ona sama w pewnej mierze ulega. Niewątpliwie jednak do tego, cobym nazwała „skonsolidowaniem“ się owych zasad, *Niwa* przyczyniła się wielce i zasługa jej w tem niezaprzeczona a znaczna. Ożywiła ona obóz zachowawczy, wlała weń gorętszą krew, ze skromnego dwutygodnika ekonomiczno-literackiego stała się organem poważnym i znaczącym, z którego głosem rachowano się i bardzo nań uważano. Dziś znaczenie jej a raczej wpływ zmalał dużo, ale głównie z powodu, który dowodzi właśnie skutecznej *Niwy* działalności. Zasady, które reprezentuje, zyskały więcej rzeczników i więcej organów; nie ma ona dawnej wyłączności, choć ma dawną powagę, ociężała, i jak to zwykle bywa, postarzała się. Spełniła jednak swą rolę dobrze, zasług ma bardzo wiele a pożyteczną i potrzebną być nie przestaje. W ostatnich czasach

zbliżyła się do „Towarzystwa popierania przemysłu i handlu“ i stała się organem „Delegacyi rolnej“ tego Towarzystwa, przez co zamieszcza dużo ciekawych i ważnych prac z dziedziny wewnętrznego gospodarstwa krajowego. Redaktorem jej jest obecnie po przejściu M. Godlewskiego do *Słowa*, dawny *Niwy* wydawca Stanisław Ostrowski. Nietylko, że utrzymuje on ją na dawnem stanowisku, ale wciąż koło współpracowników rozszerza i pismo podnosi. Dziwić się też trzeba, że tak mało ma ono abonentów i że choć organem niemal wyłącznie ziemiańskim na obojętność tych sfer nieraz się słusznie użalać musi. Ale z naszą szlachtą to tak często bywa. Radzą, krzyczą, narzekają, krytykują, czegoś zawsze nowego szukają, a co mają pod ręką zaniedbują. Nie brak jednak na wsiach zamożnych ludzi, którzyby mogli się więcej do ogólnych poczuwać obowiązków.

Biblioteka Warszawska to raczej instytucya naukowa, aniżeli pismo peryodyczne. Zasług niezmiernych, znaczenia bardzo poważnego, *Biblioteka* zastępowała u nas długi czas mnóstwo rzeczy i w chwili najtrudniejszej, w epoce Mikołajewskiej powszechnego marazmu, ożywiała naukowo i literacko cały kraj. Żadne pismo nie posiada też takich zasług, jak ona. Wszystko, co kraj miał naukowo i literacko świetniejszego, grupowało się około niej i drukowało tam swe prace. Dziś *Biblioteka* jest własnością grupy ludzi, podtrzymujących ją nietylko jako zabytek świetnej niegdyś przeszłości, ale jako instytucyę,

która tyle przetrwać zdołała i ostała się jak łącznik między dawnemi a nowemi laty. Redaktorem jej jest b. profesor szkoły głównej, znany a bardzo zdolny historyk J. K. Plebański, który bardzo ją ożywił. Jak zwykle tego rodzaju wydawnictwa abonentów ma mało, ale powagę wielką. W ostatnich czasach dąży ona wytrwale do zmodernizowania się, zajmuje się znacznie więcej aniżeli dawniej kwestyami bieżącemi i zaprowadziła wytrawnie, a bardzo rozumnie pisaną kronikę miesięczną. Dział zaś bibliograficzny polski i ruchu naukowego w kraju, ma z tradycyi zawsze kompletny i ciekawy.

Ateneum jest własnością małej grupy ludzi, złożonej przez Włodzimierza Spasowicza. Redaktorem jego Dr Piotr Chmielowski. Od *Biblioteki* odróżnia ją ton bardziej liberalistowski, z pewnym odcieniem pozytywizmu, który jednak pomimo osoby redaktora nie trzeba brać za pokrewny lub nawet zbliżony do t. z. postępowego obozu. Różnica między tą a tamtą grupą olbrzymia. To są ludzie nauki, poważni, wytrawni, rozumni, ludzie na stanowiskach i ze znaczącym w społeczeństwie głosem; tamci dziennikarscy hecarze. Nie piszę studyum publicystyczno-naukowego, więc nie wdaję się w głębsze zarówno nad *Biblioteką*, jak i nad *Ateneum* uwagi. Pragnęłam tylko w króciutkiej wzmiance kierunek ich i znaczenie u nas zaznaczyć. Ludzie ci, a zwłaszcza p. Chmielowski w swoim „Zarysie“, choć są wielce waszym „Stańczykom“ niechętni, bardzo często przeciw nim występują i to z wielkiem uprze-

dzeniem, a nawet zawziętością, odwołują się jednak niejednokrotnie na pewną wspólność jeżeli nie przekonań, to taktyki obozu pozytywistów w Warszawie, a stronnictwa waszego w Krakowie. Przeciw temu jednak muszę się stanowczo zastrzedz. Nie mówiąc o mnóstwie innych zasadniczych różnic, przytoczę tę najkardynalniejszą, że jeżeli p. Chmielowski żali się, iż to co uszło Stańczykom w Krakowie, nie uszło pozytywistom w Warszawie, to zapomina czy nie chce widzieć, że przedewszystkiem Stańczycy byli wytworem rodzimym, wzrosłym z potrzeby narodu na gruncie krajowym, kiedy przeciwnie pozytywizm, to zawsze bądź co bądź import zagraniczny, to naleciałość obca, która już przez to samo, że jest taką, nie mogła znaleźć u nas gruntu i musiała stać się szkodliwą.

Z umysłu zachowałam sobie na sam koniec niniejszego listu prasę pozytywistyczną, inaczej „postępową", a jeszcze inaczej „młodą" nazywaną. W genezę jej i w historyę powstania na naszym gruncie i określenie wpływu, jaki wywarła, i skutków, które osiągnęła, wdawać się nie myślę. Zbyt to znany temat, o którym pisano już bardzo wiele i różnostronnie. P. Chmielowski w swoim *Zarysie* przecenił wpływ i znaczenie pozytywistów, przypisując im wielki przełom społeczny i reformę nietylko literackich, ale i ogólnych w kraju pojęć. Stało się z nim to, co zwykle się dzieje z ludźmi, co zbyt zaciśnięte mają poglądy. Widział tylko drzewa, a nie dojrzał lasu. Sądził zaś z parafiańsko-warszawskiego

stanowiska, a zapomniał, że po za Warszawą jest jeszcze szmat kraju i ogniska społeczne, naukowe i literackie, trochę ważniejsze i większe od grupy kilkunastu młodzieńców, którzy tłumacząc Comta i Darwina mniemali, iż odkryli Amerykę i zbawili Polskę. Studyum p. Choińskiego z przeciwnego stanowiska pisane, acz w ogóle sumienne, w wielu szczegółach grzeszy przesadą i przecenieniem niektórych działań i ludzi. Zresztą nie idzie mi wcale o reminiscencye historyczne. Porównanie obu powołanych powyżej prac, oraz rozmaitych krytyk ich i uzupełnień, dla ciekawych przeszłości wystarcza. Co do mnie, pragnęłabym tylko skonstatować dzisiejszy stan rzeczy i podać Ci wierną o ile możności charakterystykę ludzi pism tego obozu.

Przedewszystkiem jednak, jeśli mówię „obóz“ to używam tu utartego wyrażenia, które właściwie przestało mieć faktyczną podstawę. Obóz pozytywistyczny w znaczeniu stronnictwa, czy chociażby solidarnej grupy ludzi, wspólnemi złączonej przekonaniami i zasadami, razem walczącej i działającej, dziś już nie istnieje. Są pojedyncze usiłowania, niema działalności zbiorowej, tej, która dawniej główną stanowiła siłę i była tajemnicą wpływu oraz znaczenia. Wśród tych, którzy mienią się być pozytywistami czy tam postępowymi, jest nie dwie, ale kilka już frakcyj, odłamów i grupek. Wszystkie zaś nienawidzą się wzajemnie i tajną, zakulisową między sobą prowadzą walkę, chociaż nibyto wspólne wyznają przekonania. Rozbicie więc zupełne, a powstało ono

nie z zasadniczych, lecz z czysto osobistych powodów. Kiedyś przed laty wszyscy złączyli się w *Przeglądzie tygodniowym* pod egidą p. Adama Wiślickiego. To był ich matecznik. Wtenczas rzeczywiście najwięcej mieli wpływu i ruchliwości, a samą jaskrawością i stosunkami koleżeńskiemi ciągnęli młodych. Solidarność ta trwała tylko parę lat. Wielu przypatrzywszy się bliżej robocie i jej motywom, czmychnęło co prędzej, rozrzucając się po rozmaitych starych pismach. Wreszcie powstała wkrótce schizma. Główny współpracownik p. Wiślickiego, p. Aleksander Świętochowski, uważając, że *Przegląd* zanadto swych kolaboratorów wyzyskuje, wystąpił z jego redakcyi i wraz z kilkoma innymi przeszedł do *Nowin,* a następnie założył *Prawdę.* Schizma odbyła się przy fanfarach sądów honorowych, wzajemnych rekryminacyj i oskarżeń i zredukowała się do kwestyi osób i konkurencyi wydawniczej — a zatem interesu.

Dwa wrogie przeciw sobie stanęły obozy: Świętochowszczycy i Wiśliczani. Walka była głucha i tajona, niemniej jednak zacięta. Nie minęło jednak parę lat, a identyczna słowo w słowo historya powtórzyła się i w *Prawdzie.* Współpracownicy jej osądzili, że ów p. Świętochowski, który oderwał się od p. Wiślickiego, dlatego, że jego i kolegów „eksploatował“ — wyzyskuje ich nad miarę wszelkiej wytrzymałości ludzkiej. Urządzili więc nową schizmę, tak samo przy fanfarach sądów, tylko już nie honorowych, ale kryminalnych (proces Śnieżko-Zapol-

skiej) i przy odgłosie ulicznej bójki (proces Popławski-Wścieklica). P. Świętochowski został teraz prawie sam, jak niegdyś był sam p. Wiślicki po jego z *Przeglądu* wyjściu. Neo-schizma założyła nowe pismo (*Głos)*, powtórzy się w niem zapewne ta sama, co w dwóch poprzednich historya. Po paru latach matka, która ten rój, co z ula p. Świętochowskiego wyleciał, wyhoduje, zacznie *de noviter* wyzyskiwać, wedle ich zdania — swych współpracowników i powstanie na razie najnowsza trzecia schizma, z tej wytworzy się czwarta — z tamtej piąta i t. d., aż nareszcie każdy z nich iść będzie w pojedynkę, każdy będzie miał swoje pismo i dopiero wówczas nastanie ogólne zawieszenie broni, kiedy nikt już nikogo *faute de combattants* nie zdąży wyzyskiwać. Dodaj jeszcze do tego, że wiele poważniejszych z dawnego obozu jednostek, taki np. Chmielowski, Karol Dunin, Władysław Smoleński, dawno już wycofało się i z *Prawdy,* i z *Przeglądu;* że inne znowu podrzędniejsze żywioły, zrażone i do p. Wiślickiego, i do p. Świętochowskiego ich procesami, bójkami i polemiką brutalną, ugrupowały się około *Głosu,* że kilku także odciągnął *Kraj* petersburski, mniej dla nich pod względem zachowawczości wstrętny, aniżeli inne pisma warszawskie — a przekonasz się, że z tego, co się kiedyś mogło nazywać obozem pozytywistycznym, pozostały tylko strzępki, paru ciurów, trochę niedobitków, szczupłe bardzo gronko zaślepionych, którzy jeszcze wierzą w wielkość p. Świętochowskiego. Wśród tej pogoni nie za „pozytywi-

stycznem niebem“, lecz za „chlebem“, obie figury i p. Wiślickiego, i p. Świętochowskiego ogromnie zmalały, obie się obniżyły i resztka uroku, jaki ich do niedawna otaczał, upadła zupełnie. Więcej też może ze względu na ich przeszłość, aniżeli na teraźniejszy wpływ i stanowisko pragnę Ci sylwetki ich przedstawić. Za dużo bowiem około tych dwóch nazwisk było hałasu, abym nie rozumiała Twego niemi zainteresowania się.

P. Wiślicki to przedewszystkiem nie pozytywista i postępowiec, nie ateusz i wróg chrześciaństwa, nie twórca nowej wiary i reformator przekonań społecznych, ale — wydawca. — Rodzaj towaru nie obchodzi go tyle, ile raczej obrót nim. Ten, który na nasz rynek targowy wprowadził, dzięki zręczności kupca poszedł dobrze, znalazł odbyt, więc się go trzyma, a ma doświadczenia za dużo, aby wszelkiej konkurencyi nie przetrwał i nie zmógł. Wniósł on do handlu wiele sprytu, latami wyrobił sobie doświadczenie, zna gusta swoich odbiorców, wie, gdzie najlepiej i najtaniej towaru dostać. Czy w gruncie rzeczy wierzy w to, co sam pisze, nie rozstrzygam. Z faktu bezwzględnej jego przeciw wszystkiemu opozycyi wnosić można, że chyba nie, bo przecież jakiś stary autor francuski powiedział, że: *qui n'a point d'opinions à soi, contredit toujours celles des autres.* Nowością towaru dorobiwszy się powodzenia, za nowością też ciągle goni. Wprowadził on do dziennikarstwa warszawskiego nieznany poprzednio

rodzaj pisania i polemiki, ognisty, bezwzględny, czysto osobisty, pełny zaczepek prywatnych, napaści, insynuacyj, szkalowań, nawet skandalów. Podobało się to jako nowe i dało powodzenie. Więc p. Wiślicki rozpuścił wodze i sobie, i swoim współpracownikom. Były numera *Przeglądu* zapełnione od początku do końca — „wymyślaniami“. Artykuł wstępny „wymyślał“ strupieszałej szlachcie, zgangrenowanemu kapitałowi, sobkowskiemu mieszczaństwu; artykuł historyczny — barbarzyńskiej przeszłości; krytyczny — poezyi; filozoficzny — Panu Bogu; ekonomiczny — pracy organicznej; feileton — wszystkim razem i każdemu z osobna. Rozciągano tam po kolei redaktorów i dziennikarzy, dyrektorów banków i dróg żelaznych, inżynierów, techników, lekarzy i t. d., a przedewszystkiem księży. Nie pytał p. Wiślicki, co kto pisał, tylko jak pisał. Wszystko jedno, co za potrawa, strawna lub nie, zdrowa czy trująca — aby tylko pieprzna. Względu na nic i na nikogo nie miał nigdy. Nie dbał nawet, czy go kto o brak patryotyzmu i pędzenie wody na cudzy młyn posądzi lub nie. To mu było zawsze obojętnem i trzeciorzędnej nie miało w jego oczach wartości. Jeśli nie wychwalał ks. Bismarcka za wydalania i nie podnosił jego wiekopomnych zasług około wytępienia „strupieszałej“ szlachty — to jedynie dlatego, że bał się przeholować i sądził, że nawet jego czytelnicy tego nie strawią. Inaczej nie wahałby się z pewnością. Byłoby to nowem i efektownem. Tak samo nie dbał nigdy o to, czy napaść jego słuszną

była lub nie. Uważał to za taką drobnostkę, że chyba się nigdy nad nią nie zastanawiał. Mniejsza o to, jaka, aby tylko była. Z biegiem czasu potrafił on swoją metodę udoskonalić, a repertoar rozszerzyć. Kiedy spowszedniały już zwłaszcza przy konkurencyi innych organów postępowych wymyślania na Pana Boga, Kościół, wiarę, szlachtę, pracę organiczną, poezyę, przeszłość historyczną, z obawy, aby się nie stać monotonnym, rzucił się na liberalizm zachodni i ten się stał dla niego z kolei „strupieszałym“. — Bił więc Gambettę, zwał go „zbogaconym kosztem ludu mieszczuchem“, rzucił się na kapitalistów, smagał cały obecny ustrój społeczny Europy, Izby francuskie były mu za mało postępowe, Paweł Bert za mało ateuszem.... Za parę lat *Intransingeant* będzie dla niego zanadto serwilistycznym, Rochefort podłym zacofańcem, a Luiza Michel — „starą dewotką“. Nie idzie tu bowiem tyle o zasady, ile o utrzymanie tego ciągłego fermentu „wymyślań“.

On w gruncie z tego wszystkiego się śmieje i w to, co sam pisze, nie zawsze wierzy, ale... aby handel szedł.... Idzie też, chociaż od paru lat znacznie gorzej, aniżeli dawniej. Stara procedura zaczyna zawodzić. P. Wiślicki jest obecnie w fazie przełomu. Niezawodnie łamie sobie głowę nad jakimś nowym sortymentem towaru. Za wielkiego gieniusza siebie nie ma, zbyt jest na to trzeźwym i za dobrze się zna na handlowej wartości ludzi. Do sławy nie ma pretensyi, o opinię ludzką nie dba, nauki, talentów i zdolności dlatego w drugich nie uznaje, że w pro-

cederze swym wcale na nie nie liczy, lada chłystka do swego sposobu pisania zaprawi — i to wystarczy. Osobiście na nic nie pozuje i pod tym względem ma jednę zaletę, że się przedstawia, jakim jest istotnie, szczerze i otwarcie i bez żadnych do jakichś laurów pretensyj. Uznają w nim wszyscy swoi i przeciwnizy sprytnego i zręcznego wydawcę i istotnie wiele jest w jego piśmie ruchu, wiele czujnej baczności na wszystkie objawy życia — ale bez gruntowności, byle skrajne i hałaśliwe. To mu wystarcza, to jedyna jego ambicya, innych niema.

P. Świętochowski to odmienny wcale typ. Nie powiem gorszy albo lepszy — ale inny. O ile tamten żadnej ambicyi nie ma, ten ma ją olbrzymią; o ile tamten w nic nie wierzy i w siebie także nie wierzy, ten jest fanatykiem własnego j a i kolosem zarozumiałości; o ile tamten żadnego uznania nie łaknie, a wie, że materyalne zdobywa się tylko zręcznością i pomysłowością, ten ma pretensye do społeczeństwa, aby jemu, największemu z największych wypłacało moralną i materyalną listę cywilną; o ile tamten jest szczerym i na nic przynajmniej nie pozuje, ten jest pierwszym na świecie p o z e r e m, wspina się na szczudłach i laurami czoło zdobi. Wiślicki jest zdeklarowanym spekulantem, ten spekulacyą nie gardzi, ale pokrywa ją misyonarstwem, wdziewa na siebie Mesyasza szaty, w zanadrzu jednak tych szat tę samą co tamten merkantylną wagę trzyma i za ladą kupiecką siaduje. Wiślicki był mniej zawsze niebezpiecznym, bo wiązał ludzi tylko

interesem, ten oddziaływał na młode umysły fanatyzmem niewiary i nienawiści, przyciągał talentem i powierzchowną nauką, wyhodowywał w nich ślepą w swoją własną wielkość wiarę, a następnie wiarę tę, jak pańszczyznę, na swą korzyść obracał. Rzecz zaś najgłówniejsza: tamten nie miał nigdy talentu, a zdolności li tylko wydawnicze, ten go ma i dosyć duży, jeno samobójczy zrobił z niego użytek, zaprzepaścił go i w usłudze własnego ja zmarnował.

Są ludzie, dla których świat cały zaczyna się i kończy na nich. P. Świętochowski do takich właśnie należy. Ateusz, pragnie on, aby ci, co w Boga nie chcą uwierzyć, w niego wierzyli; sceptyk, o wszystkiem, tylko o sobie nie wątpi; deklamator wolności, jest jednym z najstraszliwszych absolutystów i samodzierżców, demagog, w gruncie największy arystokrata, bo wszystkiem, co sądzi niższem od siebie, gardzi i pomiata. Po za sobą nie widzi nikogo, imponuje mu tylko jego talent, jego wielkość, jego rozum, jego niby nauka — zresztą nic.... On, to alfa i omega; kto weń wierzy, zbawion będzie, a kto nie, potępion. Stoi więc sam i napróżno się rozgląda.... Wszędzie pustka, on jeden tylko, a dokoła szara i mgława rzesza, z której nikt i nic nie wyrasta.... Napróżno wzrok wytęża: nic, nic i nic.... Więc stęskniony staje przed sobą samym, kornie uchyla czoła, i rozdarłszy arcykapłańskie szaty, woła: jam wielki, jedyny, innym być nie mogę — dajcież mi mój haracz.

Na działalność tego człowieka dwa głównie składają się czynniki. Jeden jest natury fizyologicznej: choroba wielkości *(Grössenwahn)*; drugi — psychologiczny: zawiść do społeczeństwa za to, że dało mu mniej niż innym — obraza, że nie chce w nim uznać tego, czem się sam być mieni. Oba te czynniki mają swoją genezę w warunkach, w jakich na świat przyszedł i wśród których działał.

Syn pisarza gminnego czy jakiegoś ubogiego urzędniczka, od dzieciństwa był w niezgodzie z społeczeństwem i jako malec zaprawiał się do zaciskania przeciw niemu pięści. Nie rozumiał on jeszcze, co to jest namiętność polityczna i za co wymierza ona kary, a już pamięć tej kary ciągle mu stała przed oczyma, surowość jej wszczepiała nienawiść do tych, co opinię tworzyli i wyroki wydawali. Podczas kiedy inni starsi od niego szli do lasów i ginęli w szalonych ale bądź co bądź bohaterskich nieraz zapasach, on wskutek swych stosunków rodzinnych, z prawa natury, musiał instynktownie nienawidzić nie ideę, której jeszcze nie rozumiał, lecz ludzi, co za sprzeniewierzanie się tej idei tak srodze karali. To zaś złe, które go spotkało od jednostek, zrzucił na całe społeczeństwo, zrzucił przedewszystkiem na tych, co wówczas główną w tem społeczeństwie odgrywali rolę: na szlachtę.... Ztąd ta jego do niej nienawiść, w której objawach znajdziemy nieraz odgłos, jakby zaprzysiężonej przez Korsykanina *vendetty*....

Za młodu znosił tylko same gorycze, przykrości, może i tortury, a na swoich widział piętno, jeśli nie prześladowania, to — odrazy. Z natury subjektywista, nie dociekał przyczyn złego, co go spotykało, tylko czuł, że cierpi „za cudze winy“, a więc podli ci, co mu te cierpienia zgotowali — nikczemne społeczeństwo, co takie tortury możebnemi czyni — wstrętnemi idee, w których imieniu owe razy zadawano. Instynktownie zatem musiał znaleść się w sprzeczności i z wierzeniami ogółu i z moralnością publiczną, jaką ogół ten przepisywał. Nie ludzi była w tem wina, że to wszystko go spotykało. On to jednak na karb ludzi, ich urządzeń społecznych położył — i wyrobił w sobie jad — który odtąd zawsze z pod pióra jego tryskał. Jadowitość będzie też główną pióra jego cechą, codzienną pisma zaprawą. Dojrzalszy wchodził więc do tego społeczeństwa z olbrzymią dozą nienawiści, z silnem postanowieniem jeśli nie zemsty to odwetu. Bez domowego wychowania, bez tej wiary, którą wszczepia życie rodzinne, bez tradycyi, która łańcuchem miłości z własnym krajem łączy, kiedy zaczął czerpać ze studni nauki zwrócił się przedewszystkiem do tego zdroju, który odpowiadał najwięcej jego ówczesnemu usposobieniu, wytworzonemu przez owe warunki, w jakich wzrósł i dziecinne spędził lata. Dała mu je w całej pełni filozofia pesymizmu, dali mu uczeni, a później uniwersytety niemieckie. Rzucił się więc z lubością w ten prąd, szczęśliwy, że jego subjektywnemu usposobieniu tak odpowiadał. Zdolności

miał bardzo dużo, umysł chwytliwy i żądny odznaczenia się. Pracował też wiele, uczył się, pochłaniał, ale tego wszystkiego nie przetrawiał i w umyśle swym chemicznie nie przerabiał, Świętochowski umie też dużo, ale nie jest człowiekiem nauki. Nauki tej nie posunął on ani o krok naprzód, niczego dla niej nie zrobił, co więcej — zrobić nie mógł pomimo swych zdolności i pomimo niezaprzeczonego talentu pisarskiego. Nie uważał jej bowiem nigdy za cel, lecz tylko za środek, a zbyt był subjektywnym, aby ten subjektywizm na wszystkiem, czego się kiedykolwiek tknął, nie wybijał swego piętna. Stworzył on właśnie z niego polemistę i w tym kierunku całą jego skoncentrował zdolność. Polemistą jest też Świętochowski zawsze i wszędzie zarówno w dramacie jak w nowelli, artykułach politycznych jak i filozoficznych, w pracy naukowej jak w feiletonie dziennikarskim. . . .

Dramata jego, to tylko dyalogowane polemiki. Niema w nich ludzi, jeno idee; niema obserwacyi, jeno frazesa; niema charakterów, jest tylko dyalektyka. To samo w nowelkach. W niektórych z nich („Damian Capeńko", „Krug") znajdziesz wcale wyraźny ślad owych warunków, w jakich przeszła jego młodość. Polemicznym jest nawet jego ateizm. On nie ignoruje Pana Boga, lecz go za osobistego uważa nieprzyjaciela; on nie to, aby zaprzeczał jego istnieniu, ale szuka na nim odwetu. Jeśli o Mierosławskim ktoś powiedział, że nie wierzy w Pana Boga, ale kocha Matkę Boską Częstochowską, jako dobrą pa-

tryotkę, to do Świętochowskiego zastosowaćby tego nie można. Struna polskości dźwięczała w nim zawsze bardzo słabo, a jeśli ożywiła się nieco w ostatnich latach, to jakby wymuszenie, z chęci podniesienia upadającego kredytu.... Do wszelkiej roboty społecznej należałby o tyle, o ile tylko pierwsze miałby w niej miejsce. Innegoby nie zniósł i gdyby go nie otrzymał, gotówby cały gmach podpalić....

Na chorobę wielkości, która coraz straszniejsze przybiera u niego rozmiary, różne składały się przyczyny. Jedną z najważniejszych był temperament dziwnie absolutny i samowładny, drugą jednak otoczenie, w którem żył i które w nim na własną biedę żyłkę tę wyhodowało. W starym *Przeglądzie tygodn.* jedyny prawie istotny talent, z aureolą bezpośrednio z niemieckich autorów przywiezionej nauki, zajmował wyjątkowe stanowisko. Zdolniejszy od innych, ciągnął do siebie młodych, imponował im swym naukowym balastem, nęcił ciętością pióra.... Owa ciętość była ideałem każdego z nowozaciężnych „przeglądowiczów". Świętochowski posiadał ją w najwyższym stopniu, a w lepszym bądź co bądź gatunku od Wiślickiego i innych. Przytem był to fanatyk negacyi, a wiadomo, że fanatyzm zawsze pociąga.... Nic zaś łatwiejszego jak tam, gdzie są naturalne żywioły opozycyjne, zszeregować je i stanąć na ich czele.... W *Przeglądzie* żywiołów tych było dużo. Idealniejszych młodzieńców kramarstwo p. Wiślickiego zaczęło coraz więcej oburzać i zrażać. Skorzystał z tego Świętochowski i urządził schizmę,

urządziwszy zaś ją, *ipso facto* tych, co z nim razem wyszli, pod swą absolutną zagarnął władzę i stał się panem ich życia oraz śmierci. Do *Przeglądu* nie mogli wrócić, innego pisma prócz *Prawdy* nie mieli. Cześć dla mistrza, z początku dobrowolna, stała się później przymusową. Od jej stopnia zależało „być albo nie być“ oderwanego od *Przeglądu* schizmatyka. Wielu też szczerze, drudzy z interesu, inni w poczuciu, że to ostatecznie główna ich frakcyi siła, zaczęli wytwarzać ową atmosferę czołobitności, która dodana do samorodnych Świętochowskiego popędów, musiała trafiwszy na chełpliwe z natury usposobienie, wywołać manię wielkości. Był czas, że chadzał on jak rabin cudotwórca otoczony małamedami, proch z pod jego nóg zmiatano, każde słowo jak wyrocznię powtarzano, szarpnięcie się na jego wielkość za zbrodnię poczytywano, dostrzeżenie choćby najlżejszej skazy mianem odstępstwa piętnowano. Powstało coś w rodzaju sekty Towiańskiego z przeciwnego końca. Jak z tamtej potworzono koła godnych, godniejszych i najgodniejszych braci, a te w miarę stopnia swej u mistrza wiary stały od niego bliżej lub dalej. Do ciągłego z „mistrzem“ obcowania dopuszczani byli tylko najgodniejsi i przygotowani. Reszcie wolno go było uwielbiać zdaleka, wykonywać rozkazy, a w sądy się nie wdawać. Wszystko to zaś było otaczane pewną tajemniczością, pokrywającą wszelkie domowe sprawy solidarnem milczeniem. Organizowano dla niego pamiętną w Ratuszu scenę ofiarowania „od młodzieży“ złotego pióra,

trąbiono na wszystkie strony sławę dzieł i czynów jego, a czyniono to jeszcze wówczas nawet, kiedy laury zaczęły już więdnąć, a purpura arcymistrza płowieć. Wielcy bowiem wikaryusze mistrza sądzili, że wszystkie domowe niesnaski dadzą się zatrzeć i do powszechności nie dojdą. P. Świętochowski jednak postarał się, aby doszły. Kiedy jeden z najgorętszych jego wielbicieli i fanatyków p. Piltz założył *Kraj*, a ten stał się niebezpiecznym dla *Prawdy* konkurentem, p. Świętochowski obrzucił go błotem i najhaniebniejszemi insynuacyami. Przyszło do sądu honorowego, a jego przebieg był tą pierwszą bombą, która dalsze koła zachwiała i rozproszyła. Nawet laik odczuł odrazu, że nie idzie tu o zasadę, ale o interes. Pokazało się więc, jak niegdyś z Towiańskim, że i „mistrz“ ulega ułomnościom ludzkim i kruchą ma naturę. Niewtajemniczeni dotychczas zaczęli przeglądać, ten i ów odstrychnął się, każdy się w swej wierze zachwiał. Wkrótce jednak takich bomb przybyło kilka. Posypały się procesa i sądy, a z nich wszystkich wyszła jak oliwa na wierzch bardzo smutna dla dawnych Świętochowszczyków prawda, że owa wielkość, którą sobie wyhodowali, poczuła się nią istotnie i postawiła kwestyę: *aut-aut*, „albo ze mną i dla mnie, albo odmawiam wam racyi bytu“. „Bezemnie jesteście niczem, boście tylko narzędziami, które gdy odrzucę będą jako cymbał brzmiące i jako miedź brząkające“. W brutalnych polemikach, jakie się z powodu tych wszystkich procesów wywiązały, p. Świętochowski zma-

sakrował dawnych swych wyznawców, co śmieli przeciw niemu sarkać, odsądził ich od czci i wiary, odmówił nietylko zdolności, nauki, ale nawet przekonań. Posypały się *anatemata* — tylko mistrz, rzucając je na wsze strony, nie spostrzegł się, że wyklinając wszystkich sam jeden pozostanie. Cała zaś ta heca wywołała wielkie w opinii najzagorzalszych nawet postępowców rozdrażnienie. Jednym niemal głosem zwróciła się ona przeciwko niemu.... i dawny mistrz pozostał bez obrońców....

Sic transit gloria mundi. Tak kończy *der Fanatiker mit den träumerischen Augen,* jak go nazwał kiedyś Brandes, który choć bezwyznaniowiec, zakwalifikował jednak warszawskiego „Mistrza“ do rzędu: *Mediocritées de province,* tak kończy ten hałaśliwy apostoł negacyi, o którym można z Słowackim powiedzieć, że „mu ambicya serce z pod żeber wyjadła....“ To, co w nim wyhodowali jego dawni wyznawcy i wielbiciele, jego zabiło, a ich rozbiło. Dziś dawny naczelnik sekty jest nie Ojcem Makarym, ale Ojcem Hyacyntem (Loysonem), herezyarchą bez heretyków, i kto wie, czy wkrótce nie będzie musiał jak tamten własnego kościoła zamknąć i u obcych szukać przytułku. Sztuczna wielkość, skoro raz upadnie, podnosi się z trudnością. Czy p. Świętochowski do dawnego znaczenia i wpływu wróci — wątpię. Sądzę, że nie, i pozostanie on czytanym dla swej polemicznej werwy pisarzem, ale ani dawnego wpływu na młodzież, ani dawnego przewodnictwa nie posiędzie. Młodzież pisząca opu-

ściła go zupełnie, młodzież czytająca czyni to samo. Pozostały przy nim najgorsze z całego obozu odpadki, a te skompromitują go i uniemożliwią do reszty. *Prawda* zaś traci coraz bardziej na poczytności, staje się nudną, ciężką i anemiczną, a jeżeli powstanie jak słychać nowe schizmatyków pozytywistycznych pismo, ulegnie niewątpliwie w konkurencyi nietyle może z niem, jak z *Przeglądem,* i rzecz charakterystyczna, w rezultacie p. Wiślicki zrobi na tem wszystkiem — doskonały interes.

O innych dawnego obozu pracownikach rozpisywać się nie będę. Wybitniejszych zdolności wśród nich mało, a ostatecznie zastanawiając się po tylu latach, do czego doprowadził ten przeszczepiony na nasz grunt z takim hałasem pozytywizm, przychodzi przedewszystkiem zapytać: co zrobili? co za sobą zostawiają? jakim jest ich naukowy remanent? I odpowiedź choćby najbezstronniejsza musi przyznać, że nic, zgoła nic. Prócz kilku, często bardzo lichych tłómaczeń dzieł, raczej polemicznych, aniżeli naukowych, niech zacytują choć jednę poważną książkę, niech prócz Chmielowskiego, który ma zresztą więcej wiadomości i skrzętności, aniżeli talentu i jest dziwnie suchym, a nawet ciasnym, wskażą choć jednego z swych szeregów pisarza, coby istotnie coś dla nauki w jakimkolwiek kierunku zrobił. Świętochowskiego chyba nie zacytują, bo przekonali się sami, co wart, i wiedzą doskonale, że więcej w nim blichtru naukowego, aniżeli istotnej nauki, a po za nim kto ostatecznie wśród nich wybitniejszy? — Tro-

chę pozytywizmu do rozbujałej i zromantyzowanej krwi naszego społeczeństwa byłoby się nawet przydało. Lecz nawet tego nie zdołali dokonać. Zajęci tylko polemiką i walką ze wszystkiem, co społeczeństwu temu drogiem i ukochanem, ścisłymi badaczami naukowymi nie byli nigdy. Badacze ci, to nie wśród nich, ale potępianym przez nich obozie; zadanie ich całe ograniczało się na hałasach i krzykach, na tumanieniu siebie i drugich, na sztucznej około haseł wrzawie, na burzliwej i burzącej walce, którą brali za pracę około postępu i przemianie społeczeństwa. W gruncie zadania swego nie zrozumieli zupełnie, nie zdołali zastosować go ani do dzisiejszej chwili, ani do położenia, w jakiem się kraj znajduje. Jeśli komu należy się tytuł zacofańców, to im właśnie; jeśli kto zgrzeszył utopizmem, to oni głównie. Bo czyż nie jest utopią przypuszczać, że teorye pozytywistyczne, opierające się w gruncie na sile brutalnej, mogą być nieszkodliwemi i niezgubnemi w kraju, który od lat tylu przeciw tej sile brutalnej walczyć musi; czy nie jest zacofaniem, nie zdawać sobie sprawy z sytuacyi i nie zastanowić się, że socyalizm państwowy, do którego przerzucili się, jest zasadniczo niemożliwym tam, gdzie wszystkiego od najmniejszej do największej rzeczy trzeba przed państwem bronić i z rąk jego wydzierać.

Zauważył to za krótkim u nas pobytem zagraniczny ich koryfeusz, Brandes, i nie mógł wyjść z podziwienia, jak dalece ludzie ci zapoznają realne położenie swojego kraju, jak nie liczą się z jego wa-

runkami i nie rozumieją, że to, o czem można mówić we Francyi, Anglii i Niemczech, tutaj wymyka się z pod teoretycznej nawet dyskusyi, a w praktyce prowadzi do najstraszniejszych i wprost sprzecznych z interesem narodowym — rezultatów. Widzi to i rozumie cudzoziemiec, ale oni tego zobaczyć ani zrozumieć nie chcą. I niech się też nie dziwią, jeśli tak często spotyka ich zarzut szkodliwego pod względem narodowym oddziaływania; niech się nie dziwią, jeśli trudno w gruncie ich robót dopatrzeć jeśli nie narodowej nuty, bardziej może od pewnego czasu ożywionej, to narodowego celu. Kilkunastoletnia walka z tem, co nazwali „przesądem“ i „stęchłą tradycyą“ znieczuliła w nich ten nerw, pozwoliła mu zgrubieć i stracić przyrodzoną tkliwość. Sami temu winni, sami odcięli się od społeczeństwa, którego ani tradycyi, ani przeszłości uszanować nie umieli. Sami rozpoczęli druzgocącą wszystko i wszystkich walkę, w której ostatecznie rozbili się i rozszarpali, ogółowi żadnej korzyści nie przynosząc, a szkód co niemiara....

Rozproszeni i zdezorganizowani czy zdołają dziś na innych oprzeć się podstawach i w tym przynajmniej kierunku zreformować swoją działalność? Wątpię Nic w nich bowiem niema samorodnego, nic takiego, coby z rodzimego wypływało gruntu. Obca to naleciałość więcej może wschodniego niż zachodniego pochodzenia, podsycana ciągle wpływami zagranicznych prądów, a nie potrzeb miejscowych. Wszystko to szczepy, nic z gruntu nie wyrosło. Nic

też dziwnego, że gruntu trzymać się nie chce, że jak źle przesadzona flanca więdnieje i powoli ginie.... Nie w rdzennie polskiem społeczeństwie znaleźli też oni chwilowy posłuch i adeptów.... Lgną do nich głównie żywioły semickie, zawsze do wszelkiej skrajności i bezwyznaniowości skłonne; lgnie młodzież, zarażona nabytemi w rosyjskiej szkole teoryami, a doskonale pod ich posiew przygotowana zupełnym brakiem religijnego ducha i wykształcenia; lgną ci, co w Rosyi żyjąc tamtejszym przejęli się pesymizmem i wpływom rosyjskiej ulegli literatury; lgną wszyscy, co teoretycznie lub praktycznie od narodowych oderwali się wierzeń; lgnie wreszcie najliczniej rzesza ciekawych a bezmyślnych, których wabi jaskrawość i polemiczna żywość. Z żalem wyznać też muszę, że dużego zastępu nietylko biernych, ale i czynnych młodej prasy propagatorów dostarcza płeć nasza. Miejsce dawnej pani Hoffmannowej, E. Ziemięckiej, Pruszakowej, Deotymy a nawet w niejednym utworze wielkiego talentu Gabryeli, nastały panie Zapolskie, Szeligi, Marrenowe i t. d.

Skoro zaś jednak zapuściłam się w te ogólne nad dawnym pozytywistycznym obozem uwagi, to na jeden jeszcze ciekawy zwłaszcza fenomen muszę zwrócić Twoją uwagę. A mianowicie na tę nienawiść, jaką wszyscy ci ludzie pałają do waszego „stańczykowskiego“ obozu.... Nienawiść ta przechodzi czasem w furyą, o której wy zapewne nie wiecie, a która się objawia w najrozmaitszych formach ro-

dzimych i napływowych. Weź *Prawdę* lub *Przegląd* do ręki, a przekonasz się, co się na „Stańczyków“ nie wypisuje i jakiemi obdarza się ich epitetami.... Najzabawniejsze przytem wytwarzają się sojusze. Ci, co u was w Galicyi pozują na skrajnych szowinistów i są rozsiewaczami tromtadracyi, ci tutaj podają dłonie ludziom pod względem patryotycznym co najmniej chłodnym i powtarzającym wciąż: „my trzeźwi, zimni, od wszelkich porywów wolni....“ Dość jest przeczytać „wskazania polityczne“ p. Świętochowskiego (w *Ognisku* dla Jeża), aby się przekonać, jak pod względem zasad politycznych kierunek *Prawdy* i *Przeglądu* różnym jest od tego, jakim się posługuje cała wasza tromtadracya. Zasadniczo więc powinni być właściwie wrogami. Schodzą się jednak i godzą cudownie na punkcie nienawiści do Stańczyków. Nie idzie tu bowiem o zasady, ale o ludzi. Niedawno mawiał Szujski, że takich godłem nie jest: n i e t o, ale n i e t y....

Kończąc o prasie muszę jeszcze wspomnieć o dwóch tygodnikach, pomimo, iż jeden z nich wychodzi po za granicami Warszawy. Rozpowszechnienie pierwszego *(Kraj)*, a tendencya drugiego *(Głos)* czynią to uzupełnienie koniecznem.

Poczytność swoją, zwłaszcza na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie wielką zawdzięcza zapewne *Kraj* swobodniejszej cenzurze i temu, że wychodzi u źródła wiadomości. Z drugiej jednak strony byłoby niesprawiedliwością zaprzeczyć, iż dziennik ten jest

bardzo żywo i zajmująco redagowanym, że zgromadził liczny zastęp korespondentów (prawda, że bardzo często bez wyboru i dostatecznej kontroli) z całej dawnej Polski i Słowiańszczyzny, że pomieszcza artykuły piór fachowych, poważnych, nieraz pierwszorzędnych, oddaje też usługi i miewa informacye dla Warszawy zgoła niedostępne, broni o ile może, choć naturalnie zwykle bez skutku, interesów kraju, stoi na wysuniętym posterunku i więcejby jeszcze mógł mieć zasług, gdyby stosunki na to pozwalały i gdyby dzienniki rosyjskie chciały z niego uczciwie korzystać. Obok jednak tych dodatnich stron ma i wpływ szkodliwy. Oddalony od ogniska kraju sądzi o nim nieraz dorywczo i powierzchownie, a choć nie godzi się go porównywać z warszawskiemi pozytywistami, trudno jednak nie dostrzedz, iż ma wielką ku temu kierunkowi skłonność, zwłaszcza w dziale literacko-krytycznym. W gruncie bezwyznaniowy lub racyonalizmem protestanckim przesiąknięty *Kraj* szwankuje głównie brakiem zrozumienia doniosłości przechowania (choćby z utylitarnego tylko stanowiska) w narodzie żywszej wiary i czci dla Kościoła. W kwestyach politycznych i socyalnych wyznaje on nie ten piękny i podniosły dawny liberalizm Zachodu, ale nowoczesny na większym i chaotycznym gruncie petersburskim wykwitły. Główni jego współpracownicy i kierownicy znają Zachód nie z doświadczenia i życia, lecz z bardzo jednostronnych książek i pism. Przeszłość kraju a tem bardziej warstwy silniej z nią związane bywają przed-

miotem podejrzeń i co najmniej wielkiej nieżyczliwości. Wierzy za to w postęp idei liberalnych w Rosyi, w możność istnienia Polski tylko w świecie pansławiańskim, z rozwoju idei rosyjskiej powstałym. Jest to program emigrantów petersburskich — jak ich tutaj nazywamy — a mieści on w sobie wiele niebezpiecznych dla nas pierwiastków: brak zasad religijnych, wiarę w teorye pozytywistyczne z grubym realizmem moskiewskim spokrewnione, brak łącznika z przeszłością i poczucia tradycyi, liberalizm i socyologię do krańcowych chylącą doktryn, płytkich, pewnych siebie, naiwnych, na gruncie rosyjskim powszechnych, a w końcu powierzchowną stosunków krajowych znajomość.

Na ten kierunek *Kraju* składa się prawie wyłącznie dwóch ludzi. Włodzimierz Spasowicz jest zbyt znaną i u was postacią, abym potrzebowała wdawać się w bliższe jej określenie. Bardzo zdolny, zacny i osobiście ofiarny — indywidualność zgoła niepospolita — kraj gorąco kocha, ale wychował się i zżył z Rosyą, tam stanowisko sobie wyrobił, z tamtejszymi ludźmi się wykształcił i z ich pojęciami się zrósł. Prawosławny z musu, a ztąd koniecznie bezwyznaniowy, nie ma i nie może mieć tego pełnego oględności i skrupułów poczucia nietylko wyższych interesów religijno-moralnych, ale nawet użyteczności narodowej w sprawach katolicyzmu i Kościoła dotyczących, jakie niezbędnemi się stały w naszem ze wszech miar wyjątkowem położeniu. Drugi, wła-

ściwy redaktor *Kraju,* p. Erazm Piltz, ma niewątpliwie dużo pomysłowości wydawniczej, bystry jest, ruchliwy i wielkim sprytem dziennikarskim obdarzony, umie się w swych pozytywistycznych teoryach bardzo hamować i baczy na to, aby dziennik swój do poziomu młodej prasy warszawskiej nie sprowadzić, niemniej jednak już przez to samo, iż protestant, względem katolicyzmu i Kościoła stara się zająć stanowisko, które w jego oczach uchodzi za bezstronne a jest właściwie płytkiem, często nawet lekkomyślnem i już przez to samo szkodliwem. — O ile też rozum i nauka Spasowicza a pomysłowość i zapobiegliwość Piltza przyczyniają *Krajowi,* zwłaszcza w jego dziale informacyjnym wiele stron dobrych i ciekawych artykułów, o tyle przekonania obu tych ludzi składają się właśnie na te wszystkie zasadnicze tygodnika petersburskiego braki i stają się nieraz szkodliwości jego powodem.

O *Głosie* powiem Ci krótko. Założone przez ten odłam naszych pozytywistów, który oderwał się od *Prawdy* a do *Przeglądu tygodniowego* nie chce wrócić, pismo to, by swą racyę bytu usprawiedliwić, zachowując wszystkie starych pozytywistów miłe przymioty, wymyśliło coś, co nosi u niego nazwę „podporządkowywania interesów wszelkich warstw pod interesa warstwy ludowej“, a co jest po prostu najgrubszą i najpowszedniejszą demagogią. Ale że chcąc tamtych dwóch współzawodników czemś prześcignąć jeszcze gorzej od nich przeciw Kościołowi,

przeszłości, szlachcie i zgoła wszelkiej hierarchii społecznej krzyczy, że najradykalniejsze doktryny szerzy, że na Galicyan za to, iż się Austryi i jej dynastyi trzymają, napada, że duchowieństwo najpospolitszemi szkalowaniami prześladuje i resztek, że tak powiem, narodowej pod tym względem wstydliwości wyzbywa się — więc doczekało się cenzury i prasy rosyjskiej jawnej protekcyi i nie tak dawno *Dniewnik Warszawski* — ten dzisiejszy zażarty w antikatolicyzmie i polakofobii *Dniewnik* — gorąco go i publicznie zalecał jako jedynie rozsądny i „śmiały“ odgłos opinii polskiej. To epigonów Maryi Andrejewny zalecenie powinno było jemu i jego czytelnikom wystarczyć i przynajmniej chwilowo oczy na własną robotę otworzyć. Że nie otworzyło — i że pomimo tego *Głos* ani się pohamował, ani przycichł, lecz wciąż dalej swą destrukcyjną robotę prowadzi — dowodem jak dalece ta najmłodsza naszych pozytywistów frakcya wyzbyła się wszelkiego narodowego poczucia i jak łatwo mogłaby w danej chwili zajść tam, gdzie iż zajdzie zrazu może i nie sądziła. Na tych, co w *Głosie* piszą i nim kierują, najbardziej się może kierunek i tendencya dzisiejszej szkoły rosyjskiej odbijają. Przez nich wychowanie, z niej wyłącznie nietylko swoje wiadomości ale i swoje nienawiści czerpią. Od starych pozytywistów osobiście może czyściejsi, mniej mają od nich samem już doświadczeniem nabywanego poczucia, iż są pewne granice, których nawet w nienawiści i zawziętości nie wolno przekraczać. Oni te granice wciąż prze-

kraczają, a jeśliby co można na ich usprawiedliwienie przytoczyć, to chyba to jedno, iż wszelką przytomność i równowagę straciwszy, raczej na nazwę „opętanych“ niż świadomie i z umysłu szkodliwych zasługują.

Tyle o naszych dziennikach i wydawnictwach peryodycznych. Niepodobna mi jednak rozstać się z tym przedmiotem, nie zrobiwszy kilku jeszcze ogólnych uwag.

Po stokroć nieszczęśliwej i niepotrzebnej katastrofie 1863 r., kiedy wszystko upadło lub stopniowej lecz ciągłej ulegało zagładzie, jedna prasa mnożyła się i mnoży dotąd. Wzrost ten jest nieproporcyonalnym ani do rzeczywistych potrzeb, ani do niedźwigającego się lecz raczej upadającego poziomu kraju pod względem moralnym i umysłowym. Być może, iż ta nadprodukcya drukarska rozszerzyła zastępy czytających w czasach, w których należało koniecznie utrzymać i pielęgnować żywotność lub chociażby nawet ruchliwość społeczeństwa, a przedewszystkiem przechować język, na który ciągle spadały ciosy. Być może, że z czasem lepsze niż dotąd wytworzą się siły dla zasycania i zapełnienia takiej masy pism, któremi Warszawa żywi dziś nietylko Królestwo ale i zabrane prowincye. Być wszakże może, że następnie pisma te podzielą się coraz bardziej i wyraźniej szczegółowemi specyalnościami i należycie zlewając się i skupiając około tych specyalności stworzą nader pożądane, umiejętne, gruntowne i pożyteczne organa naukowe, techniczne,

ekonomiczne, literackie i t. d. dla blisko dwunastomilionowej ludności polskiej w Rosyi. Przyszłość to pokaże. Na teraz nie ulega wątpliwości, że tych pism jest zanadto, że zamiast kojarzyć się wokoło jasnych celów i zadań rozdrabniają się niepotrzebnie i niewielkie zasoby talentów, nauki, pracy, przez to osłabiają a często bezużytecznie nieraz marnieją.

Literatura warszawska w ogóle ilościowo zyskała ale jakościowo straciła. W braku zawodów, które rząd dla Polaków i katolików pozamykał, rzuciła się młodzież do pisania bez należytego przygotowania naukowego, bez doświadczenia i przemyślenia, a zwykle nawet bez talentu i zdolności. Piśmiennictwo stało się dla wielu przemysłem, środkiem do życia — rosło też jak grzyby na śmietniku, przez nowe programy i szkoły rządowe wytworzonym. A że najłatwiej, kiedy się nie posiada zapasu wiedzy, doświadczenia, prawdziwej oryginalności i talentu uprawiać tak zwaną beletrystykę i pożyczać gotowe hasła tuzinkowe nie z gruntownych prac zagranicznych, lecz ze skrajnych piśmideł i broszur tamtejszych — więc z niesłychaną zarozumiałością a niemniejszą płytkością zaczęto uprawiać i szerzyć obok lichej beletrystyki najśmielsze ogólniki radykalnej socyologii, ekonomiki, filozofii i polityki. Nie zastanawiano się przytem wcale, czy te obce hasła przystają do warunków miejscowych, czy raczej nie burzą i nie trują tego właśnie, co wobec wrogów troskliwie pielęgnować należy.

Tym sposobem znaczna część tej ulotnej a młodej pracy spada bezwiednie do poziomu i nastroju

moralnego publicystyki rosyjskiej, która powszechnie prawie nie przeszedłszy przez pośrednie i stopniowe studya cywilizacyi, chwyta bez kontroli należytej nauki i własnego doświadczenia najdalej posunięte pomysły, rubryki i dziwadła Zachodu, bierze częściowe wyniki przekwitu i zepsucia za najwyższy wyraz postępu. Zapomina ona, iż tam na Zachodzie naprzeciw tych wyuzdanych teoryj stoją ogromne zasoby zdrowej, poważnej i ciągłością pracy wyrobionej nauki, że stoją zwarte szeregi społeczne, które koleją wieków, reform i doświadczeń przebytych wytworzyły nietylko silne warstwy socyalne, ale i wielki zapas pojęć, zasad, instytucyj, charakterów, będących wynikiem porządnego i nieprzerwanego rozwoju życia, opartego na tradycyi, na poczuciu i poszanowaniu prawa oraz godności osobistej. Wszystko to hamuje tam i miarkuje krańcowe zapędy, niedołęgłe, albo przelęgłe pomysły oraz zachcenia jednostronnych a gwałtownych reformatorów, myślicieli i rzekomych filozofów. Ze starć tych i przeciwdziałań wytwarzają się czasem transakcye, które przyswajają wprawdzie z nowatorskich doktryn i programów to, co w nich było możliwego i słusznego — ale gruntują je, opierają i nawiązują z zasobami, jakie wieki pracy, myśli, cywilizacyi i społecznego ładu nagromadziły.

Tymczasem u nas młode pokolenie, odepchnięte od wszelkiej służby publicznej, od wszelkiego zetknięcia z praktyką i wymaganiami życia, z bardzo słabym zapasem wiedzy gruntownej, spaczone przez

nędzne szkoły i uniwersytet, w wieku, kiedy trzeba jeszcze dużo pracować, wyrabiać pojęcia i charakter — zamiast uczyć się i przyglądać pracy oraz doświadczeniu starszych, straciwszy świadomość najbliższej nawet przeszłości i jej poczynań, narzuca się na nauczycieli i reformatorów, zrywa z tradycyą, wiarą, warunkami życia swego kraju i lgnie do najśmielszych prądów burzących Wschodu lub przewrotowych Zachodu. Młodzież nie zna historyi, ustroju społecznego i politycznego życia Zachodu, nie zna warunków jego ekonomicznych, często brak jej wstępnych nawet wiadomości, ale odrazu bez przygotowania, uczyć się będzie ekonomii i socyologii — z Marxa i Lassalla — filozofii z Hermanna lub Comta, Littrégo, Büchnera — nauk przyrodzonych z Darwina Huxleya, Vogla — historyi z Bucklea, Drapera i t. d. — i zbrojna pochwytanemi od nich formułami, bardzo jeszcze hipotetycznej wartości, uderzy na starych ludzi, na stary świat, na zbolały i leczący swe rany kraj i t. d., szarpiąc, nurtując i bałamucąc go swemi apodyktycznemi i nieprzetrawionemi doktrynami.

A jednak wobec kraju wyzutego z wszelkiego, nie mówię już politycznego, ale nawet administracyjnego udziału w sprawach ogólnych; wobec narodu wyrzuconego ze szkoły, sądu i urzędu, prześladowanego w wierze, języku i obyczaju, pozbawionego wszelkiego bezpieczeństwa dla człowieka, pracy i własności, wszelkich sposobów zetknięcia się i skojarzenia, oddanego na łup rozmyślnego jątrzenia na

bezprawie i samowolę — wobec takiego, powtarzam, kraju, pióro i literatura stawszy się jedynym jego organem edukacyjnym szczególniejszego nabierały znaczenia i doniosłości, a tem samem i wyjątkowej podległej odpowiedzialności. Sam fakt, że cenzura kneblowała usta prawdzie, religii, tradycyi, poszanowaniu przeszłości i harmonii społecznej, a rozpuszczała pióra dla napaści na nie, dla skandalu, waśni i rozterki obywateli jednej ziemi, dla zmateryalizowania i zepsucia życia oraz obyczajów — winien był ostrzedz tę młodą prasę, żeby sumiennie, gruntownie, ostrożnie i rozważnie, z godnością i umiarkowaniem, z trwogą o czystość i dostojność sumienia i życia narodowego zadanie swe spełniała. Niestety w tym właśnie najkardynalniejszym punkcie zapomniała ona o swem powołaniu i obowiązku.

W Galicyi i Poznańskiem, gdzie inne zupełnie dla prasy, słowa, myśli i życia istnieją warunki, dziennikarstwo nie dopuszcza się ani w drobnej nawet części takiego jak w Królestwie rozzuchwalenia, swawoli, cynizmu, pospolitości i gwałtowności w napadaniu na najważniejsze, najczulsze podstawy bytu narodowego. Każdy, co spokojnie, trzeźwo, beznamiętnie a byle roztropnie zapatruje się na stan rzeczy w Królestwie, musi wiedzieć i uczuć, że religia, Kościół, moralność chrześciańska winny być pielęgnowane, czczone i powagą otaczane nawet przez obojętnych choćby ze stanowiska utylitarnego, dobrej polityki i miłości kraju. One bowiem są najprzedniejszym kitem, łączącym na wspólnym gruncie

wszystkie warstwy narodu; one przenikają całą przeszłość i wszystkie warunki teraźniejszego bytu; one wobec rozkładających pierwiastków, jakie rząd zapuszcza wciąż w organizm narodowy, organizm ten najskuteczniej przechowują i strzegą; one wobec zmateryalizowania, zwątpienia, nieraz rozpaczy, a wielkiej wreszcie prostracyi ducha i materyalnego upadku, jaki stan obecny na kraj sprowadził, najdzielniej, najczulej ducha jego podnoszą i niecą wiarę w ostateczną sprawiedliwość, w prawdę, dobro i cywilizacyę. Jeśli dla Francyi winna być wskazówką troskliwość Bismarka o utrzymanie wewnętrznego rozstroju i radykalno-anarchicznej rzeczypospolitej — to i u nas prowodyrowie młodego piśmiennictwa i wyżej kształcąca się młodzież powinni byli instynktownie odczuć, czyim celom oraz zamiarom bezwiednie a jednak tak skutecznie służą.

To samo powiem o sposobie, w jaki ta prasa traktuje naszą przeszłość i tradycyę. Co innego istotna prawda, trzeźwy sąd i zdrowe tej przeszłości ocenienie; co innego na podstawie gruntownych studyów błędy wyświecać — a zgoła co innego wszystko w czambuł potępiać i wyśmiewać. Prawdy z miłością, wiarą i roztropnością podanej — nigdy za wiele, zarówno w odniesieniu do przeszłości jak i teraźniejszości: Szujski, Kalinka i ich szkoła najlepszemi tego świadkami. Ale oni od tej przeszłości nie odwracali się ze wstrętem, nie zrywali z nią, nie lekceważyli jej; przeciwnie rozumnie i patryotycznie wiązali z nią teraźniejszość, w dziejach na-

prawy tylko i wskazówek na przyszłość szukając. Nasi zaś młodzi i niedouczeni literaci ani tej miary, ani tej roztropności a przedewszystkiem tej nauki, miłości i spójni z minionem życiem nie mają. Lekceważą je, szkalują, zrywają z niem albo dla braku gruntownego przygotowania wykrzywiają lub fałszują prawdę.

Inny jeszcze wzgląd niezmiernie ważny spuścili oni z oczów. Kraj w tak wyjątkowo nieszczęśliwych znajdujący się warunkach, ostać się i dźwigać tylko może przez ścisłą spójnię i harmonię wszystkich warstw społecznych we własnem wnętrzu i wobec wroga. Pracować nad tą zgodą, karcić zboczenia i opieszałość w tym kierunku, zwłaszcza klas oświeconych i zamożniejszych względem ludu wiejskiego i robotników — było zadaniem młodego i gorącego zastępu pisarzy. Postąpiono wprost przeciwnie, siejąc jakby z umysłu waśń, rozterkę, zawiść i pożądliwość jednych względem drugich. Bez żadnej znajomości istotnych stosunków, położenia i właściwych środków zaradczych, najlepsi snuli sielankowe mrzonki, najliczniejsi wymyślali, jątrzyli, kłamali, lżyli lub przesadzali na grunt zgoła inny najśmielsze teorye socyalistyczne z drugiej lub trzeciej powszechnie zaczerpnięte ręki. Byli i są wreszcie tacy, którzy się nie cofnęli nawet przed karcącą między robotnikami propagandą.

A w końcu rzecz jeszcze jedna. Miała ta prasa obowiązek pamiętać, że skoro inne organa życia daleko ważniejsze dla bytu narodu zatrzymane

i zamknięte, na nią spadała tem większa powinność zabierania się do swego zawodu z gruntowną znajomością rzeczy, z myślą wytrawną, bezstronną i beznamiętną, z godnością i poszanowaniem dla swego powołania; nie dla pustego rozgłosu, popularności i frymarki, nie dla interesu i zarobku, ale dla służby krajowi, dla pielęgnowania i krzewienia w nim tego, co w sercu mamy najlepszego i najczystszego, w myśli najmędrszego i najroztropniejszego — w nauce najpewniejszego i wypróbowanego, w duszy i życiu najwznioślejszego i najdzielniejszego.

Wszystkim tym wymaganiom młoda prasa nie uczyniła zadosyć. Przeciwnie rzuciła ona wiele złego posiewu, wiele dawniejszego a lepszego przytłumiła. Nie należę do bezwzględnych t. zw. starej prasy warszawskiej chwalców i na rozmaite jej dawne i teraźniejsze błędy i wady oczów nie zamykam. Sądzę jednak, że każdy, kto kraj nasz i jego piśmiennictwo zna dobrze, a bezstronnie wyrokować zechce — przyznać musi, iż ta przez młodych tak poniewierana „stara prasa“ była i poważniejszą, i miała daleko więcej gruntowności. Wiele i jej zarzucić można, ale nie braku obywatelskiego poczucia i pilnej własnej godności stróży. — To w naszem położeniu dużo, bardzo dużo, tak wiele, iż tem stwierdzeniem tak względem niej sprawiedliwem i prawdzie należnem — te moje ogólne o prasie warszawskiej uwagi kończę.

LIST SIÓDMY.

Teatr i życie artystyczne w Warszawie.

TREŚĆ: Teatromania naszej prasy. — Nadmierne znaczenie teatru w Warszawie. — Gdzie jego źródło. — Teatr rosyjski. — Jego szanse. — Organizacya naszych teatrów. — Trzej prezesowie. — Sergiusz Muchanow. — Pani Muchanow-Kalerdżi. — P. Wsiewołod-Wsiewołożskij. — Senator Gudowski. — Dramat i komedya. — Opera. — Teatr mały. — Życie artystyczne. — Salony literackie.

Kto często bywa w Warszawie, tego wśród innych jedna także rzecz uderzyć musi, oto nieproporcyonalne miejsce, jakie w zajęciu ogółu zajmuje teatr. Znać to przedewszystkiem w prasie. Nigdzie tyle, co u nas, nie piszą o teatrze, nigdzie tyle o nim nie mówią i z tego powodu nie kłócą się. Teatromania jest jedną z chorób naszego dziennikarstwa. Dawniej zwłaszcza podnosiło ono wszystkie, choćby najdrobniejsze sprawy teatralne do nadmiernego znaczenia, zalewało niemi szpalty, dzieliło się na frakcye i stronnictwa. Dziś choć trochę mniej, to samo jeszcze istnieje. Dziennik *X.* proteguje specyalnie tę artystkę, dziennik *Y.* tamtą lub tamtego, dziennik *Z.* wreszcie ma swego faworytalnego autora i reklamuje go niezmordowanie, a potępia współzawodniczących. Wszystkie zaś chwytają w lot każdą o teatrze wiadomostkę, donoszą, że pani A. ma

chrypkę, pan B. dostał kataru, że sztuka pana C. rozdaną została do nauki, to znów, że odbyła się próba czytana, że jutro będzie pamięciowa, że obsada ról jest taką a taką i t. d. w nieskończoność. Latem zwłaszcza, kiedy zjadą do ogródków trupy prowincyonalne, teatr wzbija się niemal na pierwsze miejsce i reporterya teatralna zaczyna dopiero na dobre hulać. Reporterya ta tłumi prawdziwą krytykę i nabiera coraz bardziej większego od niej wpływu. Kilkowierszowe wzmianki, powtarzane codzień przez wszystkie pisma, znaczą u publiczności więcej, aniżeli najpoważniejsze recenzye. Te mogą być jak najgorsze, niech reporta będzie dobrą i zachęcającą, a powodzenie niechybne.... Kiedy nazajutrz po pierwszem przedstawieniu w teatrze jakiejś sztuki weźmie się którekolwiek pismo warszawskie do ręki, to czuć odrazu, że ta wczorajsza „premiera“ jest wypadkiem dnia, że spycha ona na bok wszystkie inne choćby najważniejsze i najbardziej doniosłe.... Cóż dopiero, kiedy następuje zmiana w zarządzie teatru, nominacya pewnego prezesa albo występ jakiejś silnie reklamowanej „gwiazdy“.... Wówczas tyle o niej mówią i tak ją komentują, że nieznający stosunków sądziłby zrazu, iż nastąpił jakiś gwałtowny przewrót systemu, że powrócił do władzy Loris-Melikow, albo hr. Szuwałow został namiestnikiem Królestwa.... Tymczasem to tylko p. Gudowski objął miejsce po p. Wsiewołożskim albo pani Kochańska ogłosiła zanadto wysokie na swe koncerta ceny....

Teatr porusza u nas wszystkie namiętności, które gdzieindziej miewają w szerszem życiu publicznem ujścia. Wytwarza stronnictwa i dzieli ludzi, kłóci między sobą dzienniki i waśni dziennikarzy.... Teatr sprawia, że lada chłystek, co w nim wystawi choćby marną jednoaktówkę, staje się nazajutrz więcej w całem mieście znanym i ciekawszym, aniżeli autor najpoważniejszej pracy naukowej.... Teatr jest przedmiotem ogólnego zainteresowania się i bywają chwile, że trzeba iście nadnaturalnego wysiłku, by uwagę publiczności od niego odciągnąć i na inny zwrócić przedmiot Na całym świecie teatr zajmuje tylko wieczorem w godzinie swoich przedstawień, u nas dzień cały od samego rana.... Niema też lepszego dla teatru aniżeli Warszawa miasta, żadne bowiem nie jest tyle, co ona rozteatrzone.

Pochodzi to jednak w części z bardzo prostej przyczyny. — Nigdzie teatr nie ma tego, co u nas wyjątkowego znaczenia. Wytworzyło je położenie polityczne. Jedyna to instytucya publiczna, w której ostał się jeszcze język polski. Niema go już w urzędach, niema w szkole i w sądach, jest tylko w kościele i w... teatrze. Z tego też powodu interes ogólny wytęża się z taką gorączkowością w stronę ostatniego paladyum żywego słowa rodzinnego, ztąd specyalna w tym kierunku drażliwość nerwów. Nadto ten polski teatr jest własnością rządu i prowadzonym bywa z jego ramienia, więc sprawy jego sądzi się z naturalną podejrzliwością, z chęcią tłumaczenia wszystkiego jako konsekwencyi systemu i oznaki

zamiarów sfer wyższych. Jeśli dyrekcya jest złą i scenę ku upadkowi chyli, to mimowolnie rodzi się przypuszczenie, iż ten upadek nie wypływa z ogólno-teatralnych lub indywidualnych przyczyn, ale jest umyślnym, systematycznym, konsekwentnym... Wytwarza się położenie anormalne i całkiem różne od tych, jakie istnieją w teatrach całego świata. Nigdzie nikt rozsądny nie posądza kierowników jakiejś sceny, aby z zasady chcieli doprowadzić do upadku, aby to było ich interesem i zamiarem. Mogą prowadzić źle, ale nie prowadzą umyślnie źle. U nas takie posądzania bywają częstemi, a mają one aż nadto swe usprawiedliwienie w ogólnym systemie, dążącym do powszechnego obniżenia poziomu umysłowego i zagłady języka.

Kiedy przed trzema laty przybyła do Warszawy trupa rosyjska z Moskwy i dawała przedstawienia w Teatrze Wielkim, fakt ten zrobił nietylko w mieście, ale w całym kraju ogromne a deprymujące wrażenie. Gdzież źródło tego wrażenia? czyż w powszechnej, ciasnej i szczepowej niechęci do wszystkich przedstawień w innym niż polski języku? Wszak byli w Warszawie Meiningeńczycy, był teatr francuski, byli Włosi i to w tym samym co Rosyanie gmachu, a publiczność chodziła na ich przedstawienia i zapełniała je po brzegi. Dlaczegoż od rosyjskich tak stroniła, że literalnie nie znalazł się ani jeden widz Polak? Przyczyna bardzo prosta. Ilu jest Polaków na świecie, żaden nie mógł przypuścić, żeby w sprowadzeniu trupy rosyjskiej do Warszawy

sztuka odgrywała jakąkolwiek rolę. Poszła ona tu w służbę polityki, stała się *diejatielnicą*, a dość przeczytać mowy, które aktorowie moskiewscy wygłaszali na uczcie, dawanej dla nich w ruskim klubie, aby przekonać się, w jak monstrualnym stopniu tak istotnie było. W fakcie tym widziano zamach na byt sceny polskiej w Warszawie, widziano chęć zaboru i tego zakątka języka, widziano zamiar rusyfikacyi teatru, jako ostatniego ogniwa w ogólnym łańcuchu wynarodowienia. A widziano to wszystko dlatego, że widzieć musiano, że to odpowiada i duchowi czasu, i systemowi, pod jakim żyjemy. Widzieli zaś nietylko ludzie inteligentni, ale i ten tłum uliczny, co w dzień pierwszego przedstawienia rosyjskiego stał na skwerze przed Teatrem Wielkim, śledząc, kto tego wieczora do teatru idzie i czy wśród spieszących niema kogo z Polaków.

Nie wchodzę w to, czy istnieje u góry zamiar zniesienia w ogóle rządowego teatru polskiego w Warszawie, a zaprowadzenia rządowego teatru rosyjskiego, lub czy ów eksperyment ma być tylko zapowiedzią corocznych w tym rodzaju prób. Wprawdzie żyjemy wśród ciągłych nieprawdopodobieństw, i to, co wydawało nam się wczoraj wprost niemożliwem, stawało się nazajutrz tylokrotnie już istotnem. Wprawdzie w dzisiejszych czasach i przy dzisiejszych prądach oraz ludziach nic niemożliwego niema, pomimo to jednak, zdaje mi się, że zupełna rusyfikacya rządowych teatrów warszawskich należy do tych życzeń i chęci, które mogą się rodzić w niektórych pustych

głowach i być pieszczoną myślą pewnych wielkorządczyń, w praktyce jednak nigdy urzeczywistnić się nie dadzą. Nawet zaślepienie bowiem i nienawiść muszą się koniecznie pogodzić z tym faktem, że rusyfikacya rządowego teatru w Warszawie równałaby się zupełnemu jego zniesieniu. Miasto zaś liczące blisko pół milionową ludność, bez teatru istniećby nie mogło, a wątpię, aby było w interesie rządu, aby bez rządowego istniało. Skoro zaś teatr rządowy przestanie być polskim, jako rosyjski nie zdoła się utrzymać. To fakt, z którym musi się liczyć nawet Marya Andrejewna. Może ona sobie roić różne plany, ale musi pamiętać, że do wprowadzenia tych planów w życie, trzeba koniecznie pieniędzy. Tegoroczna próba mogła ją przekonać, że przedstawienia rosyjskie winny liczyć tylko na rosyjską publiczność, że z polskiej nie wpłynie do ich kasy ani kopiejka, że nadto są one niezmiernie kosztowne ze względu na bardzo wysoką skalę płac, jakie w ogóle aktorowie rosyjscy pobierają, że wreszcie ta garstka publiczności rosyjskiej w Warszawie, która w czerwcu zapełniła przy nadzwyczajnej forsie, agitacyi i teroryzmie w Zamku 15 przedstawień, nie byłaby nigdy w stanie i nie miałaby poprostu na to pieniędzy, aby zapełniać je stale. Teatr rosyjski w Warszawie, z położenia rzeczy ciągle pusty, kosztowałby więc co najmniej 200.000 rs., a z operą, baletem pół miliona rocznie, a takiej szalonej subwencyi nie wstawi do budżetu żaden minister skarbu w Petersburgu, a tembardziej nie zatwierdzi jej cesarz, znany z swych

oszczędnościowych popędów, ten Aleksander III, który obniżył więcej niż o połowę pensye wszystkich członków swej rodziny. Żeby się zaś nie jedna, ale sto Maryj Andrejewien uwzięło, to nie sprawią tego, aby publiczność polska chodziła na teatr rosyjski. Nie pójdzie, nawet gdyby w całej Warszawie innego tylko ten, teatru nie było; nie pójdzie, choć taka z natury chciwa wrażeń i widowisk, jeśli już nie przez patryotyzm, to skutkiem tego, że nie rozumiejąc dobrze języka i tak nawskróś rodzimego repertoaru, zamiast zabawić, znudzi się. A zresztą, przecież w Wilnie więcej jest Rosyan, aniżeli w Warszawie, przecież żydzi tamtejsi mówią wszyscy po rosyjsku i za Rosyan się uważają, a jednak teatr tamtejszy bankrutuje co rok, pomimo bardzo wysokiej (podobno 40.000 rs. rocznie) subwencyi rządowej.

Może więc sobie pani Hurko roić o rusyfikacyi rządowych teatrów warszawskich, będą to jednak zawsze rojenia. I Napoleon nie mógł bez pieniędzy prowadzić wojny, nie poprowadzi jej Marya Andrejewna i przemyski rysownik, p. pułkownik Palicyn.... Są to *pia desideria,* zbyt kosztowne, aby przy największej nawet ku nam zawziętości o zdwojonej nienawiści mogły stać się kiedykolwiek faktem dokonanym. I niech mi kto powie, że pieniądz nie ma swoich dobrych stron, a pustki w skarbie nie są doskonałem na wiele rzeczy lekarstwem. Na zakończenie dodam, że pierwszy pobyt aktorów rosyjskich w Warszawie nader tragiczny miał epilog. Byli to

aktorowie z Moskwy, z pod dyrekcyi słynnego i istotnie utalentowanego autora dramatycznego rosyjskiego Ostrowskiego. W chwili, gdy na bankiecie pożegnalnym w klubie ruskim jeden z aktorów wnosił jeden z tych tendencyjnych toastów, o których wyżej mówię, przyniesiono z telegrafu depeszę, zwiastującą nagłą śmierć — Ostrowskiego.

Nic zawikłańszego, jak położenie prawne teatru warszawskiego. Wielki gmach teatralny stoi na gruncie, który należał niegdyś do PP. Kanoniczek i zwał się „Marywilem“. Grunt ten dało rządowi pod budowę gmachu miasto, płacąc zań wieczystą dzierżawę Kanoniczkom. Dziś więc położenie jest takie: plac należy do Kanoniczek, czynsz dzierżawny płaci zań magistrat, gmach wystawił rząd i jest jego posiadaczem. Magistrat więc powinien mieć właściwie głos w zarządzie teatru i wpływać nań. Tymczasem płaci on za teatr około 10.000 rs. rocznie, ale dyrekcya teatrów warszawskich jest czysto rządową, opartą na innych zupełnie zasadach, aniżeli zagraniczne intendentury. To nie teatr dworski, ale rządowy, podlega on więc nie ministrowi dworu, lecz ministrowi spraw wewnętrznych, a prezes dyrekcyi na równi z naczelnikami innych dykasteryj musi co tydzień chodzić z raportem do jenerał-gubernatora. Jenerał-gubernator zatwierdza etaty, kontrakta, czasowe z przejezdnymi artystami umowy, nawet tygodniowy repertoar. Od niego zależy pozwolenie na benefisowe dla artystów poranki oraz użyczanie sali na przedstawienia dobroczynne. W biurze naczelnika

kraju jest specyalny do spraw teatralnych referent, a cała zewnętrzna korespondencya prowadzi się naturalnie po rosyjsku. Dyrekcya składa się z prezesa i vice-prezesa, na sesyach zasiadają reżyserowie i dyrektorowie opery. Do niedawna istniała jeszcze posada „towarzysza prezesa", obecnie zniesiona czy chwilowo nieobsadzona tylko, nie wiem tego dokładnie. Urzędników, sekretarzy, kontrolorów i piszczyków mnóstwo, bo aparat biurokratyczny olbrzymi, a pisaniny co niemiara. Na każdy guzik do trzewika trzeba podawać „zapotrzebowanie", pisać asygnacye, kwitować, wciągać do ksiąg i rejestrów, kancelarya zużywa stosy papierów, a manipulacya administracyjna jest niezmiernie skomplikowaną. Teatr rządowy ma monopol i pobiera szóstą część od wszystkich przedstawień w granicach rogatek warszawskich. Subwencyi pobierał teatr dawniej 60.000 rs. rocznie. Nadto zwracano mu straty poniesione wskutek obowiązkowej żałoby dworskiej po śmierci cesarza, cesarzowej lub następcy tronu. Subwencya ta zmalała później do 30.000 rs. tj. do połowy; za ostatnią żałobę (trzy tygodnie teatr był zamknięty) nie zapłacono wcale, a w końcu cofnięto wszelką zapomogę, płacąc tylko jednorazowo długi, jakie zaciągnął teatr za rządów p. Wsiewołożskiego, i przeznaczono 38000 rs. z funduszu użyteczności publicznej *) na odbudowę

*) Fundusz użyteczności publicznej powstał w myśl uchwały sejmowej z kar, płaconych za spóźnienie w ratach przez stowarzyszonych Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Wynosił

Teatru Rozmaitości. Słyszałam, że subwencya ma być znowu przywróconą w wysokości 30,000 rs. O ile ta wiadomość pewną, nie wiem, jest ona jednak prawdopodobną. Prócz szóstej części ze wszystkich widowisk ma jeszcze teatr stały dochód z gmachu i znajdujących się w nim sklepów oraz lokali. Dochód ten mógłby być o wiele znaczniejszym, gdyby zrestaurowano całą połać gmachu od ulicy Wierzbowej i Trębackiej i potworzono w niej sklepy oraz mieszkania. Możnaby tam także wybudować trzecią salę teatralną na pomieszczenie t. zw. „małego teatru“.

Prezesem teatrów warszawskich jest obecnie senator Gudowski. Był nim przedtem p. Wsiewołożski, a jeszcze pierwej Sergiusz Muchanow. Nie zapuszczając się w reminiscencye historyczne, wybieram te trzy rządy jako najważniejsze i konsekwentnie ze sobą złączone.

Sergiusza Muchanowa znasz już trochę z poprzednich listów i wiesz, co to za człowiek. Obejmował on naszą scenę stosunkowo w bardzo pomyślnych warunkach. Zastawał Żółkowskiego, Królikowskiego, Rychtera, Bakałowiczową, Palińską, w operze Filleborna i Dowiakowską, a jen. Hurko przekazywał mu w spuściznie ową „żelazną skrzynię“, tak skrzętnie niegdyś zapełnianą przez jen. Rautenstraucha.

---

on 3.500,000 rs., który to kapitał rząd kazał przelać Towarzystwu do Banku Państwa i nim dysponuje. Ma on być podobno obróconym na założenie Banku włościańskiego.

Muchanow wnosił do teatru dwa wielkie na kierownika przymioty. Lubił teatr niezmiernie i palił się do niego, a bez tego nikt dobrym dyrektorem nie będzie. Miał przytem dużo zimnej krwi i spokoju w traktowaniu spraw i interesów z natury zapalnych i roznamiętniających. Na sztuce znał się doskonale, wykształconym był i oczytanym bardzo, a wszedł z ambicyą i poczuciem, że scena warszawska musi być pierwszorzędną, że ma po temu warunki i że stanowiskiem winna dorastać „Burgowi“ wiedeńskiemu lub francuskiemu *Théatre français.*

Je faisais de l'art, aujourd'hui on fait de l'argent — powiedział kiedyś Muchanow, tłumacząc merkantylizm dzisiejszego zarządu. I rzeczywiście tak było. Jenerał Abramowicz to oberpolicmajster teatru, rządził nim po Mikołajowsku, sadzał aktorów do kozy i walił ich tabakierką w nos; późniejsi jego następcy to administratorowie, spokojni, porządni, regularni, ale niemający o sztuce żadnego pojęcia, kierowali oni teatrem tak, jak się kieruje kancelaryą, spychając całą robotę na podwładnych; p. Wsiewołożski nie rządził wcale, ale był wspaniałomyślnie — rozrzutnym, zaciągał długi, a p. Gudowski zasklepia rany. Pierwiastek i ambicyę artystyczną wnosił do dyrekcyi teatru jeden tylko Muchanow. Ten naprawdę na sztuce się znał i wiedział, czego ona wymaga; ten roił sobie, że poziom naszej sceny podniesie i gust publiczności wykształci.... Przedewszystkiem zaś Muchanow miał szczęśliwą do teatru rękę, objął on go w chwili, kiedy pojawiły się na scenach pol-

skich istotne a pierwszorzędne talenta. Udało mu się niektóre z nich zdobyć i zaraz na wstępie Krakowowi zabrał Modrzejewską, Lwowowi Popielkę, z wszystkich teatrów w Polsce pościągał wybitniejsze niektóre siły (Rapacki, Leszczyński) wśród młodszej generacyi artystów patrzał na rozwój i postępy Ostrowskiego, Tatarkiewicza, Szymanowskiego, Wolskiego. Szczęście to sprzyjało mu zrazu we wszystkiem, czego się tknął, nawet w operze włoskiej, której imprezę powierzył Merellemu. Przez parę lat miała Warszawa takich Włochów, jakich posiadać może tylko Petersburg, Wiedeń lub Paryż. Wszystkie gwiazdy Europy ściągały tu nad Wisłę i za skromne stosunkowo pieniądze słuchaliśmy Artôt i Trebelli, rozkoszowaliśmy się Cotognim, Padillą, Massinim i t. d. W polskiej operze Filleborn był jeszcze w całej pełni głosu, a Dowiakowska w sile wieku.

I to specyalne Muchanowa do „gwiazd" szczęście musiało się odbić na ogólnym jego systemie teatralnym. System ten nie polegał na artystycznej całości, lecz na wirtuozowskich popisach jednostek. Zarówno w dramacie, jak i w operze mieliśmy zawsze szereg występów różnych znakomitości, ale nie stałą, pierwszorzędną scenę. Były sztuki grywane *arte,* bywały i takie, których przedstawienia raziły prowincyę. Cała forsa zwracała się tylko w stronę „gwiazd", reszta stanowiła środek pomocniczy, otoczenie. Wytworzył się więc stosunek anormalny i przez to samo już niezdrowy. Dobierano nie akto-

rów do sztuk, lecz sztuki do aktorów. Do nich naginał się cały repertoar i tworzyła go właściwie nie dyrekcya teatru, lecz „gwiazdy“. To też tłumaczy olbrzymi wpływ, jaki na rozwój sceny warszawskiej wywierała Modrzejewska. Wyjątkowy talent wyjątkowe zajął stanowisko i oddziaływał na repertoar, wyciągając go z dawnej zapleśniałości i marazmu. Od niej zaczyna się właściwie przejście z melodramatu do dramatu, ona wprowadziła Szekspira, Słowackiego, Schillera.... Świetne to były czasy, na mnie jednak robiły one wrażenie onego szczęśliwca, co wygrawszy wielki los na loteryi żył jak magnat i hojny mecenas sztuki, nie bacząc o jutrze i jakby pewny, że w krytycznej chwili nowe zabłyśnie szczęście i nowa przyjdzie wygrana. Tymczasem jak zwykle w grze „passa“ minęła, nowej nie umiano uchwycić i złota epoka nie trwała długo. Kiedy Modrzejewska wyjechała do Ameryki, system „gwiazd“ zachwiał się już przez to samo.... Nadeszła chwila, w której należało zdecydować się odrazu na radykalną zmianę i zmianę tę przeprowadzić za jednym zamachem. P. Muchanow nie zrobił tego. Więcej może mógł, aniżeli nie chciał. Wżył się on zanadto w złotą swego teatru epokę, aby odważył się na gwałtowną przemianę całego artystycznego kierunku, zbyt wreszcie wierzył w szczęście, aby ustawicznie nie miał go brać w rachubę, a przy wszystkich swych zaletach grzeszył niezwykłym uporem, który był nieraz do istotnego rozwoju sceny przeszkodą. Pozostawała mu jeszcze Popielka, wielki

talent, pozostawał Żółkowski, Królikowski, tylu innych drugorzędnych, jedna „gwiazda“ ubyła, oparł się więc na reszcie.... Tylko zaczął go już opuszczać dawny zapał, a miejsce jego zajęło zniechęcenie. Zniechęcenie to zwiększyło się jeszcze, skoro wewnętrzne stosunki teatralne poczęły się psować, a wymagania artystów nieproporcyonalnie wzrastać. Muchanow wchodząc do dyrekcyi podniósł etaty, powiększył uposażenia. Było to bardzo sprawiedliwem, nawet koniecznem, ale poruszyło nader niebezpieczną w teatrze sprawę: kwestyę podwyżek, jednę z tych, co raz wszczęta nie ma właściwie nigdy końca. Nie miała go też ona za rządów Muchanowa, lecz przeszła w sukcesyi na następców, a o mało, że nie podminowała zupełnie teatru za p. Wsiewołożskiego.

Po śmierci żony, która wśród najcięższych chwil podtrzymywała w nim zapał i dodawała wytrwałości, p. Muchanowa zaczęło ogarniać coraz większe zniechęcenie.... Odstrychnął się od dramatu i komedyi, zaniedbał zupełnie prawie operę, a zwrócił się ku baletowi. W ostatnich latach dramat i opera były tylko dodatkiem do.... kultu Terpsychory. Ten wysforował się na pierwsze miejsce i zaczął się rozsiadać. Pochodziło to raczej z zobojętnienia, aniżeli z predylekcyi. Kto wie zresztą, czy nie z nabytego wewnętrznemi zatargami przekonania, że szkoda już zapału, i że nie warto i niema dla kogo tłuc głową o mur.... Talentów ubywało coraz więcej na scenie warszawskiej, nowe nie rodziły się;

te, co starannie gdzieindziej wyłowiono, zrażały pretensyami i wymaganiami, sięgającemi po za wszelką miarę; dalej łowić już p. Muchanow nie potrafił lub wskutek zobojętnienia czy innych przyczyn nie starał się albo nie mógł. Zyskiwały na tem inne sceny polskie, warszawska się obniżała. — Teatr warszawski stał się też dalekim od ideału, o jakim marzył p. Muchanow. Doszedł on więc do mniemania, że gdyby nawet chciał i ożywił się na nowo, to jednak nie mógłby już go na tym co poprzednio utrzymać poziomie. Zamiary stanęły w przeciwieństwie z możnością, a wskutek tego zrodziła się decyzya, że skoro nie można robić dobrze, lepiej nie robić wcale. Abdykował więc, a kiedy w dodatku do tego wszystkiego osobisty stosunek z hr. Kotzebue dalsze jego urzędowanie uczynił niemożliwem, usunął się zupełnie.... Prócz innych zalet wnosił także p. Muchanow rzadki w stosunkach teatralnych żywioł: prawdziwą gentelmaneryą, którą stosował także do innych scen i dyrekcyj polskich. Znany jest wypadek, w którym zakontraktowanemu przez teatr krakowski aktorowi rozkazał dopełnić warunków umowy i dopiero po jej upłynięciu zgodził się na przyjęcie go do teatru warszawskiego. *Rara* zaiste *avis* między dyrektorami polskich teatrów.

Ktokolwiek dotyka się teatru i spraw jego, ten z góry musi być przygotowanym na tysiące zarzutów, krytyk, oskarżeń, hałasów, insynuacyj, a przedewszystkiem nienawiści; uznania zaś czekać dopiero wówczas, kiedy się usunie. Przykładem tego

p. Muchanow. Kiedy był u władzy, narzekano nań niesłusznie i zawzięcie, wołając, że teatr gubi, że chyli go umyślnie ku upadkowi, że go zaprzepaszcza a nawet wyzyskuje. Wśród aktorów mnóstwo miał wrogów, którzy obyczajem teatralnym zaczęli go żałować od chwili, kiedy podpisał dymisyę. Po paru zaś miesiącach rządów Wsiewołożskiego opinia zwróciła się znowu za p. Muchanowem i dała mu zupełne za wszystkie spotykane poprzednio przykrości zadośćuczynienie. Zapomniano o jego błędach, a podnoszono tylko zalety. Sam nigdy nie sądził, że do tyla jest żałowanym, sam nie spodziewał się takiej dozy uznania i pochwał, mogłabym powiedzieć popularności. U nas bowiem zawsze tak w małych i wielkich rzeczach. Aby być sprawiedliwie ocenionym, trzeba usunąć się albo umrzeć. P. Muchanow na szczęście nie umarł, tylko niestety się usunął. Może on teraz przyznać, że społeczeństwo nasze niewdzięcznem z natury nie jest, lecz co ważniejsza, może sam sobie przyznać, że zawsze zacnie postępował i istotne położył około bytu sceny warszawskiej zasługi.

Mówiąc o Sergiuszu Muchanowie niepodobna mi pominąć jego żony. Zbyt wielką odgrywała ona rolę w Warszawie i w życiu artystycznem naszego miasta była jedną z najbardziej interesujących postaci nietylko warszawskich, ale wszystkich prawie stołecznych salonów i słynęła zarówno ze swej piękności jak z dobroci i inteligencyi. Późniejsza pani Marya Muchanow, to dawna pani Kalerdżi, a o tej

słyszałaś już i czytałaś, jeśli nawet nie znałaś jej osobiście.

Córka jenerała Nesselrode, krewnego głośnego kanclerza cesarza Mikołaja — przez matkę tylko miała w swych żyłach krew polską. Wychowana na dworze petersburskim, główna niegdyś ozdoba kanclerskich salonów, młodziutką panienką wyszła za bardzo bogatego Greka p. Kalerdżi, który służył w dyplomacyi. Małżeństwo to jednak z winy brutalnego męża nie odznaczało się szczęśliwem pożyciem. Pani Kalerdżi rozłączyła się też wkrótce z mężem i zamieszkała w Paryżu. Piękną była bardzo, ale ta piękność miała w sobie coś niezwykle inteligentnego, coś, co pociągało i zajmowało. Słynny Lembach robił aż pięć jej portretów z różnych epok, tak twarz ta była pełną wyrazu i ciekawą dla wielkiego artysty. Ja poznałam ją wówczas, kiedy miała już lat 50 i abdykowała zupełnie z powodzeń światowych. Pomimo jednak wieku pełną była jeszcze uroku inteligencyi, wytwornego poczucia artystycznego i uroku w rozmowie oraz obejściu. Jeden z naszych salonowców zwykł był o niej mawiać: „Kiedy wchodzę do salonu, widzę podżyłą już damę, po kwadransie jednak rozmowy zdaje mi się, że mam 20-letnią kobietę przed sobą“. Różne głośne i w politycznym świecie figury składały téj piękności hołdy. Kochał się w niej kiedyś Cavaignac, a równocześnie także jeden z najznakomitszych w Polsce ludzi, a podobno i ówczesny prezydent Rzeczypospolitej a późniejszy cesarz Napoleon. Dowcipna

niezmiernie, miała ten dowcip lekki, salonowy, francuski.... Dwie były wówczas panie Muchanow w Warszawie, ona i bratowa jej męża, żona naczelnika komisyi do spraw duchownych, rezydującego w pałacu arcybiskupim. O ile *la Muchanow théatrale* słynęła z dowcipu i inteligencyi, o tyle tamta nie grzeszyła ani jednym, ani drugim. Zwano ją też w odróżnieniu od dawnej pani Kalerdżi *la Muchanow spirituelle*, robiąc aluzyę do stanowiska „duchownego“ jej męża. Kalambur był dobry i w swoim czasie bardzo się podobał. Nie mogę zaś zapomnieć, że przez swą „duchowną“ bratowę późniejsza teatralna pani Muchanow robiła wiele dobrego w sprawach dotyczących duchowieństwa katolickiego. Sama po matce katoliczka nigdy pomocy swej w tym kierunku nie odmawiała, a wiele dobrego zrobiła. Artystka całą duszą, grała prześlicznie na fortepianie, złączoną była węzłami zażyłości i przyjaźni z mistrzami i wirtuozami całego świata. Ona to właściwie wraz z Lisztem wynalazła Wagnera, a szkoda wielka, że po śmierci kazała całą swą korespondencyę spalić, bo niewątpliwie było w niej wiele cennych materyałów, godnych ogłoszenia drukiem. Kiedy mąż jej został prezesem teatru, pani Muchanow z całym zapałem oddała się protekcyi sceny i jej adeptów. Urządzała u siebie przyjęcia dla artystów, opiekowała się nimi, a bardzo miłosierna i złotego serca świadczyła wiele biedzie teatralnej, wszystko zaś w ten wykwintny sposób, że w sprawy teatralne zewnętrzne i zakulisowe nie mieszała się wcale.

Ogólny zaś wpływ jej na kierunek teatru był i duży, i dodatni. Wykształcona wielce, natury na wskróś artystycznej, miała smak wytworny i niezmiernie wybredny we wszystkiem co dotyczyło sztuki. Protekcya jej wnosiła do teatru ten dobry prawdziwie salonowy ton, który uderzał później na scenie u niejednej z artystek. Nic dziwnego, wzorowały się one wszystkie na pani prezesowej, zawsze łatwej, przystępnej, nieoszczędzającej rad, wskazówek i wszelkiej pomocy.... Jeśli był kiedy w Warszawie prawdziwie artystyczny salon, to u niej właśnie. Przyjmowała mało osób, ale wyborowe grono artystów i ludzi pióra, a obiady i wieczory pani Muchanow należały do najmilszych i najbardziej tentujących zebrań. Czytano tam nowe sztuki, zajmowano się wielce muzyką, rozprawiano z Modrzejewską, Romaną Popielką i Królikowskim o rolach i ich pojęciu, a sama gospodyni domu zaznajamiała swych gości z najnowszemi utworami muzycznemi i raczyła ich Chopinem, którego tak doskonale rozumiała i wykonywała.... Jej także staraniom zawdzięcza Warszawa Towarzystwo Muzyczne. W czasach niezmiernie trudnych wyrobiła ona pozwolenie głównie przez W. ks. Helenę, z którą bliskie łączyły ją stosunki. Interesowała się też Towarzystwem bardzo, zwłaszcza w pierwszych początkach, kiedy prezesem jego był S. Muchanow, a dyrektorem Aleksander Zarzycki, kiedy miało ono najwięcej powodzenia i znaczenia.

Kiedy hr. Kotzebue odjeżdżał z Warszawy, to polecając swemu następcy różne osoby, szczególniejszy nacisk położył na p. Wsiewołożskiego, którego świeżo mianował prezesem teatrów. Uczynił to więcej może z nienawiści do p. Muchanowa, aniżeli z sympatyi do swego protegowanego. Dlaczego właściwie p. Wsiewołożski objął dyrekcyę naszego teatru i jakie miał do tego kwalifikacye, tego nikt nigdy nie wiedział.... Jedną chyba była ta, że brat jego jest od wielu lat intendantem scen dworskich w Petersburgu.... Pełniący obowiązki łowczego Najwyższego Dworu (takim był jego tytuł oficyalny), p. Wsiewołod-Wsiewołożskij miał niewątpliwie dobre chęci, na muzyce znał się trochę i sam komponował różne utwory, wykonywane później na koncertach teatralnych.... Jemu publiczność warszawska zawdzięcza zapoznanie się z waszym Ładnowskim, a zwłaszcza pierwsze zapoznanie się z waszą wielce utalentowaną Hoffmannową, której gra zbliżona tak bardzo do prawdy życiowej, a przecież skończona, swobodna i naturalna, a nieraz niepospolita, była pod pewnym względem dla Warszawy nowością i rewelacyą. Ani o teatrze jednak, ani tem bardziej o zarządzie nim, nie miał ten w gruncie dobry tylko niezmiernie słaby człowiek dostatecznego wyobrażenia.... Nie on rządził, ale w jego imieniu rządziły różne, bardzo liche figury, którym pozwolił się owładnąć i zawładnąć, sam zaś niezawsze wiedział, co się w teatrze dzieje i nie znał nawet aktorów.... Wszedł on do teatru z chęcią i poszano-

waniem reform, które, że były chaotyczne, dorywcze, nieprzemyślane, więc zgubniejsze jedna od drugiej. Kiedy dawniej cała władza spoczywała absolutnie w rękach jednego prezesa, on ją rozdrobił na kilkadziesiąt cząstek. Potworzył najrozmaitsze nowe posady, komitety, vice-prezesów, towarzyszów-prezesów, dyrektorów artystycznych i dyrektorów honorowych i t. d. Słowem spłodził cały szereg dygnitarzy i wywołał istną manię honorów. Kto tam do tego teatru nie należał i kto się doń nie mięszał.... Wszyscy radzili, proponowali, pisali, tylko nikt nie rządził. Co zaś najgorsza, zaczął sypać pieniądzmi na prawo i na lewo. Nastała epoka rozrzutności szalonej, wszystkim prawie podniesiono pensye, angażowano każdego, kto się tylko zgłosił, a właściwie ten jedynie nie wszedł w owym czasie na etat teatrów warszawskich, kto sam nie chciał.... Powstał najniepotrzebniej na świecie trzeci teatr t. z. mały, liczba artystów wzrosła w dwójnasób, jakość ich była coraz gorsza, ale za to ilość coraz większą. Wydatki rosły, intrygi kwitły jak nigdy, poziom sceny coraz bardziej opadał i po paru latach p. Wsiewołożski wtrącił teatr warszawski w dług stutysięczny. Dług ten zaś był tem lekkomyślniejszym i niepojętym, że p. Muchanow opuszczając teatr zostawił przeszło 40.000 rubli w remanencie.... Dzięki rządowi, a raczej nierządowi p. Wsiewołożskiego, egzystencya teatrów warszawskich została nagle zachwianą. Subwencyę cofnięto zupełnie, wszystkie kredyta wyczerpały się, banki odmówiły dalszych. Przyszła chwila, w której

zdawało się, że teatr zbankrutuje zupełnie i ogłosi likwidacyę, a rzeczywiście, gdyby nie vice-prezes dyrekcyi p. Folland, który jeden wśród tego pogromu utrzymywał w ruchu całą machinę teatralną, przestałaby ona funkcyonować i zahaczyłaby się odrazu o ruinę finansową, wywołaną „szeroką naturą“ p. Wsiewołożskiego; natura ta jednak nie była zła, tylko za miękka na teatr i na nasze teatralne stosunki. Zresztą chęci były może niezłe, ale te nigdzie, zwłaszcza w teatrze nie wystarczają. Osobistych widoków lub nawet protekcyj nie było; te, co się pojawiły, pochodziły z dobrego serca lub nieznajomości stosunków.

Niebawem spostrzeżono się u góry, że taki stan rzeczy dłużej trwać nie może. Nie pomogło dodanie p. Wsiewołożskiemu pomocnika i jakby kontrolora, utworzono więc specyalną komisyę, a gdy ta przedstawiła jenerał-gubernatorowi rezultaty swych finansowych badań, p. prezes otrzymał dymisyę, a zarząd teatrów powierzono tajnemu radcy i senatorowi p. Gudowskiemu.

Nastąpiła naturalna w takich razach reakcya. Zadaniem p. Gudowskiego było przedewszystkiem uporządkować finanse, oczyścić teatr z długów, umożliwić dalszą jego egzystencyę. Zadanie to dawało się zaś osiągnąć dwoma drogami: zaprowadzeniem równowagi w wydatkach, oszczędnością i wyrobieniem u rządu jednorazowej przynajmniej na zapłacenie długów zapomogi, skoro o przywróceniu dawnej subwencyi nie było na razie mowy. P. Gu-

dowski chwycił się przedewszystkiem drogi pierwszej jako najbliższej i najnaglejszej. Długoletni administrator i sprężysty urzędnik, ścisły biurokrata, porwał odrazu władzę w swą rękę i w miejsce dawnego bezrządu zaprowadził rząd energiczny, absolutny a drobiazgowy. Niezaprzeczona to jego zasługa. W tym kierunku nawet przesada była na razie konieczną i potrzebną. Dobro i egzystencya teatru jako instytucyi rządowej zależały od tego, aby w pierwszym zaraz dniu zaprowadzić mały stan oblężenia i przekonać umysły teatralne, że dawna anarchia skończyła się niepowrotnie. Z drugiej strony p. Gudowski, doskonale za dawne zasługi u góry postawiony, umiał wykołatać i zapomogę rządową na zapłacenie długów, i 38.000 rubli na odbudowę spalonego Teatru Rozmaitości. To także niewątpliwa jego zasługa i dodatnia działalności jego strona.

Tylko to, co było na razie dobrem, stało się szkodliwem, przeszedłszy w stan chroniczny. Doskonale zrobił p. Gudowski zaprowadzając w miejsce bezrządu i powszechnego w teatrze rozprzężenia ład i porządek, doskonale zastępując lekkomyślną rozrzutność ścisłą oszczędnością, ale z drugiej strony zapomniał on, zwłaszcza w późniejszych latach swego urzędowania, że prócz zmniejszania wydatków jest drugi jeszcze sposób, prowadzący do równowagi budżetowej: powiększenie dochodów; że, jak powiedział kiedyś minister Dunajewski, „wielkie deficyta pokrywają i usuwają radykalnie małe“. Jak w każdym interesie, tak i w tym nakład był niezbędnym, bez

niego zmniejszały się wprawdzie wydatki, ale wraz z niemi i dochody. P. Gudowski jednak zrozumieć tego nie chciał. O ile poprzednik jego posuwał rozrzutność do ostatnich niemal granic, o tyle ten uczynił to samo z oszczędnością. Z jednej ostateczności wpadliśmy w drugą, a reakcya objawiła się nadto w innej jeszcze formie. Dwie strony ma każdy teatr: artystyczną i administracyjną. Zupełna między niemi równowaga i równouprawnienie może tylko zapewnić prawidłowy ruch przedsięwzięcia. Jeśli jedna wzbije się nad drugą, musi to uczynić kosztem tamtej, a ze szkodą instytucyi. Za p. Wsiewołożskiego artystyczna pożarła administracyjną. Za p. Gudowskiego dzieje się odwrotnie. Wszedł on do teatru tylko jako administrator, nie mając ani wykształcenia, ani przygotowania, ani wiadomości, ani nawet gustów artystycznych, wszedł z zadaniem zrównoważenia budżetu i o to jedynie tylko dba i na tem się wyłącznie zna. Nie sztuka wchodzi tu w grę, ale buchhalterya. *Il fait,* jak słusznie powiedział Muchanow, nie *de l'art,* ale *de l'argent.* Usprawiedliwia go w tem okoliczność, że nie mając subwencyi a odziedziczywszy długi, po części tak robić musi, niemniej jednak fakt pozostaje faktem i wzbija się po nad wszystko. I oto źródło wszelkich dzisiejszego zarządu naszych teatrów wad i błędów. Kwestya pieniężna weszła na pierwszy plan i usunęła na bok wszelkie inne. „Robić kasę“ — oto cała tajemnica, cel i sprężyna działania, sztuka poszła w służbę merkantylizmu, kwestya powodzenia za-

ćmiła wszelkie inne. Wszystko oblicza się na kasę; jak dawniej dla „gwiazd“, tak teraz dla niej dobiera się sztuki choćby najgorsze, ale popłatne; dla niej układa się repertoar i scena warszawska nie stara się kształcić gustu publiczności, ale raczej gustowi temu hołduje i przez to samo deprawuje go. A wobec tego czemże są dzisiaj teatra rządowe warszawskie, jeśli nie na większą skalę przedsiębiorstwem, w rodzaju tych, jakie co roku zjeżdżają do naszych ogródków? czemże ich prezes, jeśli nie spotęgowanym Tekslem i Puchniewskim? Większe środki, szersza sfera działania, ale *modus procedendi* ten sam. Artystycznych aspiracyj niema w nim ani śladu, myśli przewodniej żadnej; gdyby nawet chciał, nie mógłby się na nią zdobyć; chęci oddziaływania na publiczność i kształcenia jej gustu również nie ma żadnej. Wszystko obraca się tylko około kasy, ona reguluje repertoar, dobiera artystów, przyjmuje lub odrzuca sztuki, ona stanowi w całym zarządzie teatrów jedyne kryteryum.

Żywioł artystyczny, wygnany z dyrekcyi, musiał się więc schronić pod skrzydła kierowników pojedynczych teatru naszego działów. Od dobrej woli też i usiłowań tych kierowników zależnem się stało z jednej strony materyalne powodzenie, a z drugiej artystyczna wartość układanego przez nich repertoaru i urządzanych przedstawień. O ile oni mają artystyczne aspiracye i jakiś program i o ile umieją je pogodzić z merkantylizmem panującego systemu, o tyle działy ich prosperują lub upadają. W dzisiej-

szym stanie rzeczy od nich właściwie wychodzi inicyatywa i zależnym jest kierunek. Powiększa to ich odpowiedzialność, ale także i zasługi.

Komedyą i dramatem kieruje od lat kilkunastu p. Jan Tatarkiewicz. Był on reżyserem jeszcze za Muchanowa i przetrwał wszystkie trzy systemy, do każdego się naginając. Nie można mu odmówić pracowitości i zapału. W ostatnich zwłaszcza latach, pod naciskiem merkantylizmu, ożywił bardzo repertoar i kiedy dawniej nowa sztuka była *rarissima avis* na naszej scenie i wystawiano ich kilka zaledwie na rok, dziś widzimy ich kilkanaście. Sama wprawa, doświadczenie i zmysł wrodzony czyni go dobrym reżyserem, zawsze jednak reżyserem że tak powiem tylko zewnętrznym, o ile idzie o układ sceniczny, o „wystawienie“ sztuki; informatorem nie był nigdy, a na kierownika repertoaru brak mu czasem wykształcenia literackiego i artystycznego. Jako podwładny reżyser mógłby być nawet doskonałym, zwłaszcza, że od paru lat, od bytności Meiningenczyków, olbrzymie w tym kierunku robił postępy i kilkanaście sztuk doskonale „umontował“. Zostawiony jednak sam sobie, całkiem samoistny, zawsze chromać będzie na brak systemu w układzie repertoaru, na pewną jego chaotyczność i doraźność, a przedewszystkiem nie oddziała niczem na rozwój powierzonych jego kierunkowi artystów, nie wykształci ich i nie wyrobi. I oto główna jego i warszawskiego teatru wada. Każdy z artystów puszczanym tu jest samopas.... Reżyser dba tylko o to,

aby stanął na właściwem miejscu i aby całość zgrabnie się układała. Do tego, jak gra i jak rolę pojmuje, nie męsza się wcale i właściwie męszać się nie może, bo po dawnych „gwiazdach“ została tradycya zupełnej w tym kierunku abdykacyi reżysera, a niezależności aktorów. Przytem na nikim bardziej, jak na nim ciąży klątwa owego nieszczęśliwego *feu* *). Dyrekcya każe mu przestrzegać, aby suma tych *feu* była jak najmniejszą, czyli aby dobierał jak najtańszych, a zatem i najgorszych aktorów, koledzy radziby grać codzień i figurować w obsadzie wszystkich sztuk. Ztąd różne gniewy, dąsy, opozycye i... przeszkody. Ztąd taki nawał zawad i kłopotów, że trzeba iście anielskiej cierpliwości, ażeby z nich wybrnąć. Ztąd wreszcie niemożność dublowania ról i obsadzania ich młodemi siłami, byłoby to bowiem z materyalną krzywdą dla starszych, zasłużeńszych i schodzących z pola.

Dopóki *feu* nie będzie zniesionem, dopóki ręce reżysera będą skrępowane, a swoboda obsady hamowana względami koleżeńskiemi i materyalnemi, dopóty droga dla młodych i nowych sił do teatru

---

*) W teatrze warszawskim każdy aktor, choćby najpodrzędniejszy, prócz stałej pensyi, zwykle niewielkiej, ma osobne wynagrodzenie od każdego występu, zwane właśnie *feu* — w wysokości od 50 kop. do 35 rubli za wieczór. To *feu* wynosi zwykle dwa, a nawet trzy razy tyle co pensya. Łatwo więc zrozumieć, jak wielki ma w tem każdy aktor interes, aby grać jak najczęściej i jak ważną rolę wzgląd ten odgrywa w obsadzie sztuk.

warszawskiego zamknięta. Wytwarza to nadto drugą, inną kardynalną wadę organizacyi: nietykalność ról. To, czego niema nigdzie na świecie, to dzieje się w teatrze naszym. Skoro p. X lub pani Y dostała przed 30 laty jaką rolę, to choć dziś rola ta nie odpowiada zupełnie ani jej wiekowi, ani warunkom fizycznym, zostaje jednak przy niej, bo nie było dotychczas w zwyczaju, aby reżyser śmiał ją odebrać. Ztąd w starych zwłaszcza sztukach obok Żółkowskiego, Rapackiego, Ostrowskiego i Tatarkiewicza grywają większe nawet role ostatniego rzędu aktorowie, ztąd młodziutkie mężateczki reprezentują podtatusiałe damy... ztąd częsta w owych wypadkach pstrokacizna, która przypomina debiut znakomitości w prowincyonalnym teatrze.... P. Tatarkiewicz w ostatnich czasach stara się bardzo o artystyczną całość, kilka sztuk szło pod względem *ensemblu* wzorowo, ale mnóstwo jest jeszcze wad organizacyjnych, które należy koniecznie usunąć, bo one tamują swobodę reżysera.

Jak zawsze tak i teraz dramat i komedya stanowią główną podstawę materyalną naszego teatru. Co one zarobią, to zjadał dawniej balet (dziś bardzo pod względem wydatków zmoderowany), a dziś zjada opera. Ta chroma wielce, pomimo że ma takiego, jak p. Myszuga tenora i jak p. Seidemann basa. I znowu wada organiczna jest tego chromania przyczyną. Opera nasza liczy aż czterech dyrektorów i kapelmistrzów, a nie posiada żadnego kierownika. Ten, co nim się mieni, p. Rzebiczek, zaznaczył do-

tychczas swą działalność niefortunnym doborem sprowadzanych z zagranicy śpiewaków. Skoro on którego wybrał, z pewnością robił *fiasco*, a teatr narażał na zawód i koszta. Powodzenie zaś mają jedynie ci, których sprowadzi — baletmistrz. Zamiast czterech dyrektorów żeby był jeden, a najwięcej dwóch, ale dobrych i istotnie znających się na sztuce — to opera nasza, opierając się głównie na własnych a niesprowadzanych siłach, mogłaby ruchliwością repertoaru jeśli nie zupełnie, to przy małym niedoborze utrzymać się i prosperować.

Dawne anarchiczne rządy p. Wsiewołożskiego ostały się jeszcze w trzecim t. z. „Małym teatrze“, powołanym przez niego do życia i najniepotrzebniej stworzonym. Nikt tym teatrem właściwie nie kieruje, idzie on jakoś sam, wystawia co tydzień sztuki, które natychmiast upadają, repertoar ma jak najgorszy, siły z wyjątkiem paru marne, a reżyseryę niedołężną. Trochę dochodu przysparza mu operetka. Ta ma właściwie racyę bytu i wielki u publiczności popyt. Jest jednak bardzo mierną i potrzebuje koniecznie odświeżenia i troskliwszej opieki.

Takie miasto, jak Warszawa, liczące blisko pół miliona mieszkańców, z tradycyami stolicy, z ruchem żywym, gorączkowym, przyspieszonym, mogłoby mieć właściwie życie artystyczne na szeroką skalę i odpowiednie ku niemu żywioły. Nie ma go jednak, albo raczej ma w dozie niezmiernie małej i nieznaczącej....

O ile dawniej miała Warszawa kilka bardzo ciekawych i wybitnych salonów literackich, o tyle dzisiaj zupełna prawie pod tym względem panuje pustka. Słynne niegdyś wieczory u pani Nakwaskiej, poniedziałki u Niny Łuszczewskiej, piątki Aleksandra Przezdzieckiego, wódki niedzielne Leona Łubieńskiego, należą już do tradycyi i pamiętnikowych wspomnień. Salonu literackiego na dawną modłę i skalę nie mamy obecnie wcale.... Były usiłowania w tym kierunku, ale zabrakło im ciągłości, zabrakło zmysłu organizacyjnego i osobnego do tego rodzaju zebrań daru, któryby umiał jednoczyć, a nie spędzać, zabawiać, a nie nudzić, nie był wyłącznym i koteryjnym, ale nawzajem nie ściągał ludzi ze wszystkich kątów świata, bez wyboru i segregacyi, i salonu nie zamieniał na literacką giełdę. Od czasu do czasu w tym lub owym domu odbędzie się wieczór dla uczczenia jakiejś znakomitości przejezdnej, dlatego literackim zwany, że nań kilku literatów zaproszono, ale to jeszcze nie salon literacki w tym rodzaju, w jakim być powinien i w jakim dawniej bywał. Są to chwilowe gospody literackie, w których mówi się o wszystkiem, tylko nie o sztuce i o literaturze; są to dwory urządzane dla własnej apoteozy, zbiegowiska przygodne a na popis obliczone; są to wreszcie przyjacielskie zebrania, ale nie salony, pretendujące do wpływu i wpływ ten istotnie wywierające. Nie byłam nigdy przyjaciółką tego rodzaju zebrań, a wolę zawsze czytać pamiętniki o salonach literackich, aniżeli na nich figurować, ale przyznać

muszę, że dawniej za młodych lat moich miały one pewien swój urok, choć tak samo jak dzisiejszym nie brakło im różnych śmieszności, wad i usterek. miały swoją cechę, nieraz pretensyonalną, przesadną, często nudną, ale nie tak banalną, szablonową i nieznośną, jak te dzisiejsze, co na dawne pozować pragną. Pretensyonalność tamtych salonów była przynajmniej stylową, tych jest pospolitą i szablonową. Salon literacki dawniejszy odznaczał się zawsze pewnym wykwintem, nie zewnętrznym ale umysłowym — dzisiejszy jest bardzo często targowicą próżności, zwykle zbiorowiskiem ludzi, z których jeden mści się na drugim za to, że się nudzi, i uważa za swój obowiązek nudząc się sam nudzić innych, wszyscy zaś mimowolnie przybierają miny tuzinkowych powag prowincyonalnych. Tamte pozowały na słynne niegdyś salony paryskie, te naśladują z drugiej ręki i starają się ,kopiować już nie z oryginału, ale z trzeciorzędnej kopii.

Typem salonu literackiego Warszawy były głośne w swoim czasie „czwartki“ Deotymy. Dziś tak jak nie istnieją już one, ale dawniej w pierwszych latach po powstaniu miały wielkie powodzenie i ważyły na szali towarzyskiego życia naszego miasta. Bywało tam mnóstwo osób z najrozmaitszych sfer. literatura spotykała się z finansami i arystokracyą. obywatele wiejscy z mieszczanami, lekarze, urzędnicy, inżynierowie z profesorami uniwersytetu i uczonymi. młodzież z artystami wszelkich gałęzi, panny z epuzerami, a więdnące piękności z gronem wielbicieli.

Wszystko, co miała Warszawa w jakimkolwiek kierunku wybitniejszego, przesuwało się przez te salony, a świat modny i elegancki uważał za rzecz szyku bywać na „czwartkach“. Mamy wprowadzały tam panny, młodzież szukała stosunków. Tłoczono się też na schodach, w przedpokoju trzeba było czekać kolei, aby dostać się do drzwi, a w salonie gwarno, huczno, strojno, panie w wielkich toaletach, panowie we frakach i białych krawatach, z miną poważną, uroczystą, jak na recepcyi dworskiej. Przez parę lat salony Deotymy były tak uczęszczane i modne, że aż ówczesny namiestnik hr. Berg zapragnął je zobaczyć, i sama widziałam, jak ta stara mumia o mało nie spadła z krzesła, drzemiąc podczas czytania *Wandy* czy jakiegoś innego poematu gospodyni.

Na końcu długiej sali wisi portret wieszczki pędzla Simmlera, przedstawiający młodziutką panienkę w fantastycznym greckim stroju, gdy w chwili natchnienia improwizuje.... Pod portretem stał na podniesieniu tron poetycki, srebrną i złotą lamą przybrany. Obok stolik, a na nim siedmioramienny świecznik jerozolimski, dar wielbicieli talentu. Gdy nadchodziła chwila czytania, wieszczka w otoczeniu dworu ukazywała się na sali. Najprzód szli marszałkowie, później szambelanowie, w końcu paziowie. Majestatycznym krokiem przechodziła wieszczka salony i zasiadłszy na złotolitym tronie zaczynała czytać.... Dokoła uroczysta cisza. Wszyscy w błogiem

uniesieniu słuchali szmaragdowych wierszy poematu, każdy chwytał wątki losów Wandy....

Po skończonej deklamacyi następował *cercle.* Wieszczka obchodziła kolejno swych gości, starając się od każdego wydobyć o przeczytanym ustępie zdanie. Sypały się więc pochwały i komplementa, prześcigali się w nich literaci i profani; im kto mniej rozumiał, tem więcej chwalił, każdy bał się otwarcie zdanie swe wypowiedzieć, bo byłoby to niegrzecznem względem damy oraz gospodyni, i niebezpiecznem, gdyż marszałkowie i szambelanowie słuchali głosu ludu, a gdyby który z tych głosów śmiał być nieprzychylnym, można było stracić łaskę i nie dostać na drugi czwartek zaproszenia.... Więc pokorna rzesza piała hymny pochwalne i zewsząd rozlegała się woń kadzidła....

Mój Boże! nie takie to dawne czasy, a jak się wszystko zmieniło. Kiedy Deotyma była modną, cały świat tłoczył się na jej salony. Szambelańskie jej klucze nosiło wielu takich, co dziś głośne mają w literaturze nazwiska, a nie sądź, aby te tytuły i urzędy były moim wymysłem. Nie, one istniały na prawdę, a urzędnicy dworu królowej poezyi nosili nawet przy frakach godności swej oznaki.... Była to zabawa zapewne pretensyonalna, ale ostatecznie dla nikogo nieszkodliwa i niezmniejszająca bynajmniej znaczenia, jakie w poezyi i w literaturze polskiej ma Deotyma, która — niech tam co chcą mówią dzisiejszych „postępowych" poetek wielbiciele — pozostanie najpierwszą w Polsce i będzie przerastać o całe niebo wszyst-

kie Ostoje, Marrenowe, Zbigniewy i jak się tam jeszcze te panie nazywają. Powiem więcej nawet, popularność ówczesna jej czwartków była wynikiem nietylko mody, ale czasu, w jakimeśmy żyli.... Po powstaniu wszystkie zabawy ustały, przez parę lat nie tańczono wcale, nie zbierano się nigdzie liczniej i huczniej. Więc tę lukę towarzyską zapełniały wieczory Deotymy. Miały one tradycye salonów jej matki, miały wykwintne towarzystwo, dużo pięknych i wesołych pań, ładne dekoracye, urok głośnego imienia poetki i improwizatorki.... A przedewszystkiem były prawie jedyne, a więc przez to samo niezmiernie ponętne. Po kilku latach jednak moda minęła, „czwartki zaczęły się przerzedzać, odczyty nudzić.... „Czwartki“ Deotymy nie były więc właściwie nigdy salonem literackim, lecz raczej salą prelekcyjną. Ona jedna zabierała w niej głos, jej tylko słyszano tam utwory. Zrazu słuchało tych prelekcyj całe miasto, później tylko pewne jego sfery, potem wierni, a w końcu mała garsteczka najwierniejszych, którzy zdołali wytrwać.

„Czwartki“ jednak przejdą do literatury pamiętnikowej, bo ostatecznie po za wszelką przesadą miały one wiele stron dobrych, zaznajamiały i jednoczyły ludzi, były w chwilach powszechnego rozbicia towarzyskiego, kiedy każdy w domu siedział i od świata stronił, jedynym prawie punktem zbornym i neutralnym.

Innego zupełnie rodzaju zebrania literackie odbywały się w poście przez wiele lat w obszernych

salonach pałacu hr. Stanisława Kossakowskiego. Te miały wyłącznie męzką cechę, a odznaczały się powszechnością. — Spotykało się tam podobno wszystkich, co jakąkolwiek mieli z literaturą i dziennikarstwem styczność. Bywało czasem i po 200 jednego wieczoru osób, a główną rozrywkę stanowiła deklamacya. I te wieczory jednak ustały wskutek żałoby domu, który w życiu towarzyskiem Warszawy wielką dawniej odgrywał rolę i był jednym z najbardziej gościnnych, uprzejmych i otwartych....

LIST ÓSMY.

Epilog.

TREŚĆ: Moje wyznania. — Wieś i prowincya. — Położenie kraju. — Fałszywy cel. — *Delenda Cartago!* — Stan ekonomiczny. — Kwestya włościańska. — Przeciętny Rosyanin. — Wpływ urzędnika rosyjskiego na społeczeństwo polskie. — Wszechwładztwo państwa. — Samodzierżawje i czasy przedpiotrowe. — Rosya dzisiejsza. — Co zrobiono w Królestwie polskiem przez lat dwadzieścia kilka? — Religia i Kościół. — Unia i Unici. — „Zabużje". — Szkoły i uniwersytet. — Sądownictwo. — Bezkarność i jej następstwa. — Administracya i jej organa. — Dawniej i dzisiaj. — Komitet urządzający. — Pierwsi djejatiele. — Ogólne rozprężenie. — Wzrost budżetu i marnotrawstwo dóbr skarbowych. — Samowola urzędników. — Zamożność kraju. — Porównanie czasów Mikołajewskich z dzisiejszemi. — „Z góry na dół". — Teorya samobytników. — Car i lud. — Fałszywa rachuba. — Jakiem jest istotne usposobienie włościan dla rządu? — Braterstwo prześladowania. — Socyalistyczne podmuchy i ich następstwo. — Uwagi ogólne. — Mrzonki przyszłości. — Zakończenie.

I oto dobiegam do końca.... Starałam się, moja droga, przedstawić Ci w tych listach Warszawę i jej życie, nakreślić kilka odręcznych szkiców i sylwetek zarówno napływowych, jak i tuziemczych żywiołów naszego miasta.... Polka z krwi, ale stosunkami rodzinnemi związana z Zachodem i cudzoziemskie nosząc nazwisko, łatwiejszy może od innych miałam wstęp tam nawet, gdzie sądzono, iż żyją w zupeł-

nem odosobnieniu i przed ciekawością oczów ludzkich zakryci są murem chińskim. Mimo to jednak zadanie, któreś mi powierzyła, nie było łatwem.... Pisząc z bezpośredniej obserwacyi wówczas, kiedy kreśliłam sylwetki urzędowe i rosyjskie, potrzebowałam uciekać się do pośrednictwa trzecich a nawet czwartych osób, skoro mi przyszło przedstawić z kolei figury z towarzystwa polskiego lub ze świata dziennikarskiego. A pośrednictwa tego musiałam używać niezmiernie ostrożnie i przezornie, w ciągłej obawie, aby nie skompromitować kogoś lub czegoś i nie narazić drugich, zwłaszcza od chwili, kiedy listy niniejsze wywołały w pewnych sferach takie rozgoryczenie, że aż robiono śmieszne usiłowania celem odkrycia ich źródła, usiłowania tem zabawniejsze, żem bywała często ich i owych oburzeń powiernicą. Współautorowie też moi nie wiedzą sami, kiedy i w jaki sposób byli mi w tej pracy pomocnymi. Niemniej jednak nieznanym nieznana dziękuję na tem miejscu najserdeczniej. Nie sądź atoli, abym nie czuła sama, że szkice te i sylwetki, mające przedstawiać „towarzystwo warszawskie“, nie są pełne i zupełne. Aby takiemi były, musiałabym je kreślić w innych warunkach, aniżeli te, jakie mamy obecnie. Z natury bowiem położenia powinnam była zamilczeć o wielu rzeczach i osobach, uciekać się do jakichś ogólnych typów i zbiorowych portretów, a już przez to samo zamazanych i niewyraźnych, a to wszystko ze względu na otacza-

jące nas okoliczności i stosunki, wśród których żyjemy.

Takie jednak, jakiemi są z konieczności, mniemam, że dają zbliżony przynajmniej obraz miasta, choć nie społeczeństwa, które daleko żywiej i głębiej odzwierciedla się w życiu wiejskiem, ziemiańskiem, aniżeli w Warszawie. Tak zawsze było w Polsce, tak jest i teraz. Już z tego jednak, com powiedzieć mogła, będziesz chyba w stanie złożyć sama obraz miasta, które w ostatnich dwudziestu kilku latach zaludniło się bardzo znacznie, handlowo i przemysłowo wzmogło się wielce, pod względem towarzyskim jednakże i społecznym upadło znacznie w porównaniu z przeszłością. Salony i ludzie w nich, że tak powiem, zmaleli i zesmutnieli, a to zesmutnienie ogólne i powszechne jest bodaj czy nie najwyraźniejszą cechą obecnego życia towarzyskiego. Niemożność udziału w zajęciach i karyerach wyższej i niższej administracyi, w stowarzyszeniach ogólniejszego zakresu, w powołaniach naukowych i uniwersyteckich, ucisk i arbitralność na każdem polu, zubożenie skutkiem wygórowanych podatków rolnych, rozstrój wszelkich organów bezpieczeństwa osób i mienia, powszechne przesilenie rolnicze, słowem wszystkie nasze biedy i codzienne troski musiały się odbić na życiu towarzyskiem, na przedmiotach rozmowy, na umyśle i układzie biorącej w niej udział młodzieży płci obojej. Życie karnawałowe i salonowe stało się zabiciem czasu a nie rozrywką. Zabrakło mu wesołości prawdziwej, ostrzejszego

dowcipu, materyału do ożywionej dyskusyi. Ludzie zrodzeni i wykształceni w szczęśliwszych nieco warunkach kraju, wymierają — młodzi patrzą w przyszłość bez promieni, bez widoku, w rozgoryczeniu, jakie każdy dzień wzmaga, nieczynni i beznadziejni.

Pod tym względem na życiu towarzyskiem Warszawy musiały się odbić losy i przygody całego kraju, mniej może widocznie, aniżeli na życiu prowincyi i wsi, równie jednak dobitnie i dotkliwie. Wzmógł się w niej wprawdzie ruch, powiększył handel i obroty finansowe, ale za to skupił się niezmierny napływ ludzi spadłych z urzędu, szukających zajęcia i zarobku, młodzieży bez pracy i karyery, obywateli ziemskich zniszczonych i wydziedziczonych, zgoła ubóstwo materyalne, a bardzo często i moralne. Na stokilkadziesiąt tysięcy ludności przybyłej do Warszawy trzy czwarte kontyngensu stanowią ludzie ubodzy, bez pracy i zajęcia. To też niema dziś miasta w Europie, któreby jak Warszawa raziło taką ilością wszelkiego rodzaju żebraków, widokiem tylu ludzi wynędzniałych, odartych i głodnych, a przedewszystkiem smutnych i osowiałych. — W żadnem zaś mimo dużej ofiarności prywatnej obojętność rządu i magistratu na biedę i nędzę ludzką nie dochodzi do tego, co u nas stopnia. — W tym kierunku i jeden, i drugi nic zgoła nie czynią. Mimo podwojonej ludności uszczuplono nawet dawniejsze zasiłki dla szpitali — a po za niemi nie zobaczysz tu ani jednego przytułku, ani jednego schronienia, ani jednej ochrony lub bióra

dobroczynności, słowem ani jednej szkoły lub zakładu miłosierdzia, utrzymywanego z funduszów rządowych lub miejskich. A jednak nie wina w tem zacnego prezydenta naszego miasta, ale ogólnych przepisów i obojętności władz wyższych. Jesteś tu wśród społeczeństwa, żyjącego dla urzędników, dla wojska, dla napływających Rosyan, ale dla społeczeństwa tego nic się nie czyni, a samemu dla siebie nic się czynić nie dozwala. Jak w mieście, tak i w całym kraju ulice, drogi, gościńce, mosty karkołomne czyszczą się i porządkują wówczas dopiero, kiedy p. gubernator lub wyższy jaki urzędnik ma niemi przejeżdżać. Wszystko dla nich, nic dla dobra ogólnego; wszystko dla rządzących, nic dla społeczeństwa. Oto w wielkich i małych rzeczach dewiza rosyjskich w Królestwie polskiem rządów, oto główna ich cecha i typowe piętno.

Kto nie zajrzał do ościennych krajów zachodnich, kto nie pamięta lepszych tutaj czasów, ten nie zdoła zdać sobie sprawy, jak położenie ogólne szybkim krokiem stoczyło się ku dołowi; ten nie będzie w stanie zrozumieć, co w ciągu lat dwudziestu kilku cała czereda d i e j a t i e l i wyrabia z tym krajem i do jakiego doprowadza go stanu. Widać to w Warszawie, widać jeszcze wyraźniej i dotkliwiej na prowincyi i na wsi.

Wszystko skierowanem zostało do jednego fałszywego celu politycznego, do obrusienja i oprawosławnienia Królestwa. Sprawiedliwość, sądownictwo, administracya, policya, wojsko, stan nauczycielski,

nikt z nich nie dba o porządek, bezpieczeństwo, słuszność, o uszanowanie własności, o zdrowe wykształcenie młodego pokolenia, o rozwój i potrzeby ekonomiczne, rolnicze, przemysłowe i handlowe kraju, o kościół, o zakłady dobroczynne i moralność publiczną; słowem rząd i jego narzędzia o nic się nie troszczą, jeno o *delenda Carthago* polskości i katolicyzmu. Owszem zubożyć, zniszczyć, spodlić, zepsuć moralnie, oto środki, które mają dopomagać temu dziełu religijnej i narodowej eksterminacyi. Przyjedzie jakiś nowy naczelnik kraju lub prosty gubernator, rozumniejszy, uczciwszy, mniej namiętny i zawzięty niż zwykle, i ten ubezwładni się natychmiast w tych istotnych rzeczach zarządu, które dotyczą bodaj materyalnego tylko porządku, bo cały czas i siły pochłonie mu propaganda rusyfikacyi i prawosławia. Przy najlepszej woli i chęci nie będzie miał czasu zająć się drogami, mostami, bezpieczeństwem osób i mienia, porządkiem administracyjnym, bo trzeba pilnować księży, szlachty, zjazdów sąsiedzkich, trzeba śledzić za każdem drgnieniem życia, baczyć na wszystkie jego objawy, trzeba pisać, donosić, raportować. Nie administrują też oni, ale dozorują; nie zarządzają krajem, ale go jak osadzonego w więzieniu zbrodniarza pilnują.

Statystycy i urzędnicy rosyjscy lubią się niejednokrotnie powoływać na fakt, że w ostatnich latach wzmógł się w Królestwie przemysł i handel, że podniósł się dobrobyt ludu i że ludność jednej tylko Warszawy wzrosła w dwójnasób. Fakt jest istotnym,

tylko że przyszedł on nie z powodu rządu, lecz raczej mimo niego, dzięki szczęśliwemu położeniu geograficznemu, upadkowi waluty, dzięki energii i samozachowawczym usiłowaniom oraz pracy społeczeństwa, dzięki napływowi kapitałów żydowskich i niemieckich. Inicyatywa lub pomoc rządu nie odgrywała tu żadnej zgoła roli. Po r. 1863 nastała w cesarstwie przez lat kilkanaście epoka budowania kolei, tworzenia instytucyj finansowych, czulszej nad przemysłem opieki. Za hr. Berga, Kotzebuego, trochę jeszcze Albedyńskiego, kilku przedsiębiorców tutejszych korzystało z panującego w Petersburgu usposobienia, aby wyjednać koncesyę na budowę trzech kolei, uznanych za strategiczne, otrzymać pozwolenie na parę instytucyj finansowych, założonych tutejszemi kapitałami. Oto wszystko, co dano zrobić inicyatywie miejscowej, trudno bowiem było, choćby ze względu na samo cesarstwo, pominąć i w tym kierunku kraj, stykający się z Zachodem, ku któremu zmierzały koleje rosyjskie. Ale i ten ruch dziś ustał zupełnie i rząd i jego organa nic nie robią dla komunikacyj lądowych i wodnych, dla szos w opłakanym znajdujących się stanie, dla rzek, które dziko sobie płyną, zalewając co roku nadbrzeżne okolice. Spróbuj zaś prosić o pozwolenie założenia jakiejkolwiek choćby najskromniejszej instytucyi np. kasy zaliczkowo-wkładkowej, kasy emerytalnej lub przezorności i pomocy dla służących i oficyalistów, o spółkę rolniczą, o towarzystwo ubezpieczeń od gradu lub życia, o towarzystwo warrantów lub choćby o najprostsze stowa-

rzyszenie melioracyjne albo wychowawcze, a uparcie niczego nie otrzymasz. I stracisz tylko czas i wyłożone na starania pieniądze, a w zysku będziesz miała przekonanie, że w tym kraju i przy zasadniczem usposobieniu rządu spotka Cię zawsze odmowa. Nic też dziwnego, że wobec takiego stanu rzeczy w ludziach słabnie inicyatywa, niknie chęć do tylokrotnie bezskutecznych już usiłowań i ręce opadają i braknie ochoty, a miejsce jej zajmuje apatya i bezradność.

Brak wszelkich wspólnych ognisk dla życia i potrzeb, choćby tylko rolniczych i ekonomicznych, niemożność wszelkiego stowarzyszenia, sprowadziły coraz większe zindywidualizowanie, odosobnienie i zamknięcie się w sferze prywatnych lub czysto lokalnych interesów. W takim stanie rzeczy coraz mniej węzłów ogólnych, coraz mniej w obywatelstwie wiejskiem i miejskiem znajomości i poczucia potrzeb ogólnych, a przemaganie widoków parafialnych, koteryjnych, obrony własnego i doraźnego interesu. Słowem — aspiracye, dążenia i myśli — że użyję kanclerskiego wyrażenia — nieprzekraczające polityki gospodarskiej *vom Fall zu Fall.*

Kwestyą włościańską zajmował się kraj od dawna i pragnął ją załatwić. Za Mikołaja nie można jej było ruszyć z miejsca, później Towarzystwo rolnicze upomniało się o nią i przygotowało odpowiednie projekta. Wielopolski otrzymał sankcyę dla swych w tym przedmiocie praw. To, co zrobiono po r. 1863, było dziełem politycznej propagandy

i zemsty. Przy dobrej woli i chęci uwłaszczenie włościan dałoby się przeprowadzić racyonalnie i sprawiedliwie bez rabunku i jątrzenia, bez szachownic na gruntach i bez serwitutów, niszczących pola i lasy, bez owej rewolucyjnej i politycznej przymieszki, która długo jeszcze odbijać się będzie fatalnie na dobrobycie rolniczym i moralnym włościan i właścicieli. Jednakże uwłaszczenie to było tak potrzebnem, zbawiennem i ztąd słusznie przez kraj wymaganem, że mimo owej przymieszki, mimo, że wiele było prawdy w nazwie, jaką nadał wówczas temu ukazowi p. Leonce de Lavergne, zwąc go *une loi Tamerlan-Baboeuf* — mimo to wszystko dobrobyt włościan znakomicie się polepszył i dzięki poczciwej naturze naszego ludu a oględności właścicieli, stosunki między dworem i wsią pozostały w ogóle dobremi. Ale ileż to krzyczących krzywd wyrządził ten tabun komisarski i urzędniczy, który to uwłaszczenie przeprowadzał! ile okazał zaciekłości, nieznajomości rzeczy i grubej samowoli! Pchnął on włościan na drogę wygodnego a nieprzeczonego lenistwa, nierzetelnego wyzysku, marnotrawstwa czasu, zagnieździł wśród nich wszystkie te wady, wstrzymując w ten sposób postęp rolnictwa i zamożności, która mogłaby być stokroć większą i znaczniejszą. Dość pod tym względem porównać pracowitość, uprawę roli, ład, porządek, wreszcie wykształcenie i moralność W. Ks. Poznańskiego z tutejszemi.

A spojrz teraz z kolei na działanie rządu w kraju tutejszym w innych daleko donioślejszych sferach.

Najobojętniejszego nawet dla tego kraju przybysza musi zdjąć zgroza i oburzenie na widok tego łoża Prokrusta, na którem męczą go i dręczą, mimo absolutnej przez lat dwadzieścia kilka ciszy, mimo wyleczenia po nieszczęśliwych pokuszeniach 1863 r. I k'woli czemu te męczarnie? K'woli wszechjedności państwa, która stała się hasłem p. Katkowa, służalczego lub szowinistycznego dziennikarstwa, iście Tamerlanowskich liberałów, pospolitego gminu urzędniczego i jego zwierzchników, których cechą, jak mówi poeta:

Jest karność niezachwiana obok żądz korzyści,
A wobec pastwy każdej — ogrom nienawiści.

Rosyanin — naturalnie mówię tu nie o wyjątkach, ale o przeciętnym ogóle — jest w chwilach gorączkowego i rozbudzonego życia niepowściągliwym i zapamiętałym w swych zachciankach i żądzach, bezwzględnym i dzikim w środkach. Nie liczy się on z prawem, porządkiem społecznym, z najprostszemi wymaganiami normalnego postępu. Wydęty bezgraniczną, plemienną i państwową pychą, nie zwykł brać w rachubę jakiejkolwiek ogólniejszej idei sprawiedliwości i ludzkości. Obudzone w peryodzie reformatorskim Aleksandra II poczucie narodowe i dążenia do politycznego choć nieokreślonego przetworu, trafiły na niewczesne ruchy polskie 1863 r. i na kraju naszym wywarły cały swój zapas brutalnej energii narodowej i rewolucyjno-socyalnych aspiracyj. Z czasem legion ten pierwotnych diejatieli

zastąpiono pospolitemi Taszkiendcami bez wszelkiej moralności i zasad, którzy dla chleba wyzyskują i ciągną dalej roboty owych początkowych zagorzalców idei rusyfikacyi i państwowej socyalno-rewolucyjnej jedności. I tu powtórzyć Ci znowu muszę to, com powiedziała gdzieś mimochodem w jednym z poprzednich listów, że najbardziej narodowym wyrobem rosyjskiej cywilizacyi i przemysłu jest czynownik. Mimo niezmiernych obszarów, większych niż niejedna część świata, mimo ogromnych zasobów rolniczych i przemysłowych, leżących dotychczas odłogiem, Rosya może doznawać głodu, może oddać swój przemysł krajowy w niemieckie i cudzoziemskie ręce, jednej atoli rodzimej rzeczy nie zabraknie jej nigdy: czynownika. Roją się oni bezustannie, upadek i ruina szlacheckich majątków mnoży ich zastępy. Muszą oni koniecznie wynajdywać coś do zmiany i przekształcania, muszą tropić i wietrzyć urojone knowania, religijne i narodowe opozycye, muszą starać się ustawicznie, aby tą drogą zwrócić na siebie uwagę, stanowisko utrzymać, awans pozyskać. Dla nich to już nie kwestya zasad, ale kwestya chleba i bytu. Jak szarańcza obsiedli też oni Królestwo i kraje zabrane, wyrugowali pod pozorem politycznym cichych, spokojnych i zasłużonych Polaków z urzędów, z sądownictwa, ze szkół i kolei żelaznych, z wyższych nad oficera stopni wojskowych. Stworzyli więc w ten sposób w kraju zastęp proletaryatu inteligencyi, zwiększanego ustawicznie przez młodzież, która nigdzie nie może zna-

leżć pomieszczenia. Każdy taki czynownik musi stwarzać widma jakiejś narodowej szlachecko-katolickiej agitacyi, wymyślać najrozmaitsze sposoby odznaczenia się wobec rządu w służbie prawosławia i rusyfikacyi. I przyszło do tego, że w kraju, który ma miliony bagnetów, krocie moskiewskich urzędników, w którym Polak nigdzie ruszyć się i odetchnąć nie może, gdzie konfiskują jego majątki, gdzie odbierają mu prawo kupna, dzierżawy i zastawu, prasa i urzędnicy wciąż krzyczą, że Polacy tępią Rosyan, a katolicyzm prawosławie. Każdy taki czynownik wobec polskiego mieszkańca, to samowładny satrapa; każdy, zawsze naturalnie prócz szlachetnych wyjątków, pobierając wyższą niż urzędnicy w cesarstwie pensyę, wyciąga jeszcze z kieszeni tutejszego mieszkańca i z wszelkich robót publicznych wszystko, co się tylko wyciągnąć da i można.

Wiesz dobrze, że nie należę do nieprzejednanych, że przeciwnie, znalazłszy prócz macierzyńskiej drugą na Zachodzie ojczyznę, nie przestając być Polką, spoglądam jednak na ten kraj, stan jego i rządy przez cudzoziemski raczej, wolny od wszelkiej namiętności pryzmat. Owszem patrząc wokoło i za słupy pruskiej granicy, patrząc na trzy czwarte dawnej Polski pod panowaniem rosyjskiem, patrząc na mękę tutejszego społeczeństwa, szukam na gwałt sposobów znośniejszego bytu i chwilowego przynajmniej odetchnienia, szukam środków zbliżenia się i jakiegoś *modus vivendi* z tym bądź co bądź ogromem słowiańskiego państwa — ale szukam dare-

mnie, bo wyznać muszę, że to, na co od tylu lat spoglądam, niweczy najbardziej nawet upartą cierpliwość. Tu każdy, teraz szczególniej, urzędnik czy wojskowy rosyjski, jest prawie wszechwładnym, skoro idzie o dręczenie i szkodzenie — bezwładny i niemocny, skoro chciałby ulżyć i coś dobrego dla kraju zrobić.

Już za poprzedniego panowania a w dalszym ciągu i za teraźniejszego, wzrost ludności, wymagania wzmagających się i komplikujących interesów ekonomicznych, ale szczególnie widoki propagandy politycznej, wywołały potrzebę utworzenia w ogromie tego państwa oddzielnych t. zw. jenerał-gubernatorów. Myśl była dobrą, bo mogła posłużyć do rozumnej decentralizacyi, do uwzględnienia różnic, zachodzących między bardzo różnorodnemi częściami i okolicami cesarstwa. Jenerał-gubernatorowie opatrzeni też zostali faktycznie w obszerne atrybucye. Ale jak zawsze w Rosyi cele polityczne, religijne, szał unifikacyi pochłonęły wszystkie inne względy dobrej administracyi, sprawiedliwości, ładu i postępu ekonomicznego. Na stanowiska tak ważne powołano ludzi zupełnie nieodpowiednich, Kochanowów, Drentelnów, Hurków, niemających zgoła pojęcia o warunkach i potrzebach dobrej administracyi cywilnej, dzielnych może wojskowych, ale sekciarzy, ślepych i fanatycznych wykonawców dzisiejszej polityki, słowem ludzi niemających żadnej kwalifikacyi na prawdziwych wielkorządców i przedstawicieli cesarza. Sprawy cywilne przeszły siłą rzeczy w ręce ograni-

czonych i nędznych, nieraz przekupnych naczelników kancelaryj jenerał-gubernatorskich, a cała instytucya przerodziła się w satrapie.

Nie przez żadną niechęć lub uprzedzenie, ale skutkiem najtrzeźwiejszego zastanowienia się i codziennego doświadczenia każdy, choćby obcy, przyjść tu musi do uznania i wyznania, że żywioł rosyjski urzędniczy, sądowniczy czy nauczycielski, w stosunku i zetknięciu się ze społeczeństwem polskiem staje się rozkładowym, demoralizującym i socyalno-rewolucyjnym. Polak może być anarchicznym, niesfornym, płochym, powodującym się czasem zbytecznie fantazyą i nerwami, w gruncie jednak jest nieskończenie więcej aniżeli przeciętny Rosyanin zachowawczym, społecznie, politycznie nawet i cywilizacyjnie bardziej wykształconym, w instynktach swych monarchicznym, w uczuciach religijnym i moralnym, w postępowaniu uczuciowym i łagodnym.

Od lat kilkudziesięciu Rosya znajduje się we fazie wewnętrznej fermentacyi i przekształcenia się. Epoki reformowania wiekowych nadużyć i przestarzałych urządzeń, są wszędzie dla państw i społeczeństw epokami krytycznemi. Ale w Rosyi stan to tem niebezpieczniejszy, że brak jej zasobu doświadczenia, brak tradycyi, warunków swobodniejszego życia socyalnego i politycznego, brak owego zarobku w jednostce i społeczeństwie, jakiego nabywały one na Zachodzie w ciągłem obcowaniu z prawem, ze względną swobodą, ze samoistnym rozwojem życia religijnego, naukowego, filozoficznego, publicznego a wre-

szcie i ekonomicznego. Brak jej nadto tego ducha umiarkowania w żądaniach, wyróżnienia, rozeznania i wszechstronnege rozpoznania szkodliwości lub dobroci proponowanych wciąż reform, brak wreszcie owego zmysłu ustępstw wzajemnych, koniecznych transakcyj, na których gruncie powstawały powoli instytucye i przekształcenia Zachodu. Rosya dotąd nie przyszła do jasnego pojęcia tych linij wytycznych, jakich trzymać się winna w zastosowaniu do swojej natury, potrzeb i warunków cywilizacyi i urządzeń Zachodu. W niej nietylko w rządzie, ale w myślach, w zachceniach narodu i pojedynczych jednostek, wszystko przybiera charakter skrajności, bezwzględności i autokratyzmu. Takie zaś społeczeństwa bywają zwykle w nowym swym pochodzie wykolejone, stropione i zbłąkane. Szukają one po omacku nowych dróg i chwytają chciwie wszelkie nowości, wierząc fanatycznie i naiwnie w ich doskonałość. Następstwa przekwitu i rozkładu cywilizacyi biorą one za postęp, skrajne programy i instytucye za wyższy szczebel rozwoju, burzące i radykalne teorye religijne, filozoficzne i społeczne za kwiat cywilizacyi. Wolność upatrywać będą — w bezkarności i anarchii; normalny ustrój społeczny — w niwelacyi; działalność i energię — w pospolitym gwałcie; swobodę myślenia i nauki — w wyuzdaniu wszelkich praw wyższego porządku, religii i moralności. Z drugiej zaś strony przerzucą się w inną, ale zawsze pokrewną ostateczność — do wszechwładzy państwa. I powstanie teorya, że bez państwa społeczeństwo rosyjskie

niczego samo przez się wydać niezdolne, że należy więc zmiażdżyć zupełnie jednostkę, zaprowadzić bezwzględną jednolitość i jednostajność imperyum, i że to zastąpi i zadowolenie, i naturalną zgodę różnorodnych, narodowych, cywilizacyjnych, religijnych i historycznych państwa tego składników. To też młoda Rosya powiła takich absolutystów, jak Bakunińscy anarchiści, jak cały zastęp nihilistów i dzisiejszych biurokratycznych niwelatorów. Skoro zaś tego rodzaju i pokroju żywioły zawładnęły administracyą, sądami i szkołami, to łatwo można sobie wyobrazić, jak trującym i rozkładowym musi być ich wpływ na społeczeństwo, lud, a zwłaszcza na młodzież, wychodzącą z zakładów naukowych. I stajemy tu wszyscy wobec pełnego zgrozy dylematu: albo trzeba uledz temu prądowi i podlić się, albo walczyć z nim pod osłoną fałszu, którym się każdy okrywa, bo on niezbędny i nieunikniony, gdyż umożliwia życie i istnienie. *Aut-aut* — pośredniej drogi nie ma, jest tylko spodlenie lub hipokryzya, która stała się koniecznym warunkiem bytu i życia.

W pierwszych latach panowania Aleksandra II mimo wielu niezdrowych objawów płynęły z góry jakieś szlachetniejsze i bardziej dodatnie prądy. Z reakcyą dzisiejszą i to się zatrzymało. Powszechny marazm i sceptycyzm, zniechęcenie i wyłączna troska o jutro, o chleb powszedni, zajęły miejsce wszelkich ożywczych aspiracyj. Reakcya ta jednak potrąciła o pewne fibry narodowe. Przystroiła się ona i upozorowała potrzebą powrotu do rdzennych tradycyj

przedpiotrowskich, podnosząc w ten sposób i tak już wygórowaną pychę i szowinizm narodowy. Musiało zaś to oddziałać najfatalniej na całe usposobienie i postępowanie rządu oraz biurokracyi w Królestwie Polskiem i w krajach zabranych. Zdwoiło też i zaostrzyło zaciekłość i bezwzględność tych już nie narzędzi, ale bojowników rusyfikacyi i prawosławia, nasłanych na kraj milczący, spokojny i bezgranicznie cierpliwy. Ludzie ci, stojący nawet na najwyższych szczeblach, głoszą flegmatycznie i po doktrynersku, jak niegdyś w konwencie francuskim: *Que voulez vous? — c'est la guerre!...* Tak, to wojna, brutalna, bezwzględna, eksterminacyjna wojna, prowadzona z nienawiścią i zawziętością, z fanatyzmem, który nie wstydzi się być cynicznym i jawnie swe cele głosić. Kierunek, co pchnął do tej wojny, wiele jeszcze ofiar i nieszczęść przyczyni, ale ostatecznie tu niczego nie osiągnie, a u siebie niczego także nie stworzy. Jałowe to hasło i jedno tylko po niem pozostanie, oto dowód, że każdy ustrój polityczny i społeczny, każdy zdrowy postęp liczyć się musi z przeszłością i z tradycyą, z rzeczywistemi warunkami wszelkiego bytu narodowego. A do tego przekonania mógł dojść każdy roztropny, bez owej tragicznej i straszliwej na naszej skórze próby. Żadna reakcya, choćby ostrzejsza jeszcze niż obecna, nie powstrzyma w dłuższym przebiegu czasu konieczności odpowiednich w cesarstwie reform i nie usunie potrzeby korzystania z zachodniej cywilizacyi. Można ruch czasowo powstrzymać, tamy chwilowo

usypać, ale skutkiem tego wszystkiego będzie fakt nieunikniony, że albo prąd rozleje się tem gwałtowniej na zewnątrz, lub osiądzie bagniskiem na własnej glebie.

Garstka wyzyskiwaczy dzisiejszego systemu, ludzie, którzy raczej pragną z owego prądu skorzystać, aniżeli w zbawienność jego istotnie wierzą, wywiesiła sztandar powrotu do samodzierżawia. „Samodzierżawie“ owo jednak to autokratyzm nie monarchy, lecz raczej kilku fanatycznych, samolubnych, tępych i pożądliwych władzy mierności. Żeby usłuchać żądań „samobytników“ i cofnąć się do czasów przedpiotrowskich, to w końcu trafiłoby się może i doszło logicznie do wspomnień rzeczypospolitych nowogrodzkich i pskowskich. Ale bądź co bądź w takim razie nie trzeba było przenosić stolicy z Moskwy do Petersburga, zagarniać i ćwiartować Polski, umizgać się do encyklopedystów i filozofów XVIII wieku i napawać się ich naukami; nie trzeba było przez lat kilkanaście z krociową armią mięszać się i zlewać z Europą, bratać się z Francyą w wielkiej epopei militarnej i politycznej Napoleona. Nie należało dalej przyjmować reform Speranskiego, wtrącać się i rej wodzić w sprawach zachodniej Europy i Śródziemnego morza, usamowalniać i uwłaszczać włościan, zaprowadzać ogólną służbę wojskową i nadawać prasie względną swobodę, oddzielać sądownictwo od administracyi i uposażać je niezależnością, organizować ziemstwa i zarządy miejskie, zaprowadzać sądy przysięgłych i mnó-

stwo innych zachodnio-europejskich reform. Dziś na powrót do przedpiotrowskich czasów już zapóźno. Z instytucyj, jakie Rosya na modłę europejską otrzymała, można będzie wiele skoszlawić lub zgładzić, ale wymazać z dzisiejszego cywilizacyjnego pochodu narodu i państwa niepodobna. Ślepy tylko tego nie widzi, a głuchy nie chce głosu rozsądku usłyszeć. „Samobytnictwo“, to czczy i pusty frazes, może on pochlebiać dumie narodowej i łechtać szowinizm, ale w praktyce należy do tych utopij, które się nigdy urzeczywistnić nie dadzą. I ostatecznie dziś ci sami reprezentanci reakcyi i powrotu do przedpiotrowskich czasów, kiedy chcą przedsięwziąć coś w sprawach i urządzeniach wewnętrznych, muszą znowu wzorować się na Zachodzie i mimowolnie a bezwiednie stają się tak potępianymi przez nich „zapadnikami“. Rozmaitość, różnorodność i oryginalność są warunkami rozkwitu cywilizacyjnego, ale na wyżynach spotkać się one muszą z elementarnemi zasadami, z koniecznościami wynikającemi z jedności i solidarności ludzkiej. Zresztą owa rdzennie rosyjska cywilizacya i jej najwyższe upostaciowanie: samodzierżawie jest dziś, że tak powiem, wiarą ogołoconą z osobistego bóstwa. I cywilizacya ta i samodzierżawie stały się jakby bezosobistym panteizmem, mającym swe emanacye i rozlanym po części w całej rosyjskiej przyrodzie, coraz mniej jednak widomym, dotykalnym. Czeka on na jakieś przeobrażenie, aby w nowych wystąpić kształtach.

Ks. Gorczakow mówił kiedyś: *la Russie se recueille.* O dzisiejszej należałoby powiedzieć: *qu'elle est devenue sournoise et se morfonds.* Obok pozornej ciszy, wśród tych milionów dusz i niezmierzonych przestrzeni pracuje coś i szamocze się w głębiach. Gniecie wszystkich powszechna niedola i bieda, niezadowolenie jest ogólnem, a pycha narodowa i jakieś wszechświatowe pragnienie nurtują tę płaską na pozór powierzchnię. Jeden z francuskich pisarzy i wielki Rosyi wielbiciel, doskonale ją kiedyś określił: *On dirait l'esprit d'un chimiste anglais dans l'âme d'un boudhiste hindou; se charge, qui pourra, d'expliquer cet étrange accouplement: celui qui y parviendra expliquera toute la Russie.* Wielkie siły elementarne, gruby realizm, materyalizm i pożądliwość, a obok tego sceptycyzm, nieoględność i pesymizm; niesłychana nerwowość i zapamiętałość w danych chwilach obok codziennej apatyi i bezwładności gatunkowej, tej, którą spotykamy u *boa constrictora;* wielka stateczność w dalekich zamiarach i zadaniach politycznych obok równie wielkiej wrażliwości i zmienności w pojedynczych momentach egzystencyi; potrzeba formy i kultu zewnętrznego, a w duszy nihilizm, mistycyzm, nieogarniona tęsknota i buddyjska Nirwana, dziwnie z sobą zmięszane; serwilizm bez granic i zuchwalstwo, pozorna uległość a twardość i upór, posunięty nieraz aż do bohaterstwa; ogromne poczucie posłannictwa i potęgi państwa oraz narodu rosyjskiego, a obok tego samolubstwo i wstrętne a niskie wyzyskiwanie rzeczy

publicznej — oto Rosya dzisiejsza. Chaos więc zupełny, żywioły elementarne w robocie, sprzeczne i sporne ze sobą duchy poruszają tym ogromem, co fermentuje wewnątrz pod wpływem nowych zaczynów cywilizacyjnych. Wszystko to trzymane dotąd w karbach samodzierżawia, które jednak obecnie zaczyna się rozchwiewać. Dla Polski zalew i działanie takich żywiołów to działanie jadu, gangrena moralna a zarazem i potop. Zieje ten kolos ogniem, który wszystko pożera, a cały kraj zalany jego potopem i nurtujące Rosyę prądy, podmywają nasze brzegi i nasze niszczą pola. Na nas się odbijają chwilowe natury rosyjskiej zachcenia, myśmy temi ofiarami, na których wiwisektorowie rosyjscy swoich dokonywają eksperymentów. Ale stan ten nietylko groźny i zabójczy dla nas, ale i dla Europy. Jeśli bowiem nie sprowadzi wewnętrznego gnicia i rozkładu, to w dalszych wzburzeniach swoich gotów wyrzucić na świat milionowe tłumy, twarde, sfanatyzowane, zaprawione do niewygody, bezwzględne a pożądliwe i zgłodniałe łupów, dzikim patryotyzmem i pogardą śmierci ożywione. Nie będzie im wstrętnym ani socyalizm, ani rewolucya, owszem pokrewne znajdzie w nich pierwiastki. Kto wie zresztą, czy po takim dopiero wylewie nie przyjdzie dla społeczeństwa rosyjskiego chwila nowego na wewnątrz życia i ustroju.

Dramat ten rozegra się prawdopodobnie z okazyi półwyspu bałkańskiego, Konstantynopola i Bosforu, bo tam pcha Rosyę konieczność i wiekowa

tradycya. Do katastrofy może jeszcze daleko, ale tymczasem nie powinno być obojętnem dla Europy, by ostatki zachodniej cywilizacyi na północy uratować od zupełnej zagłady; co więcej, nie powinno być zkądinąd pożądanem dla samej Rosyi, by na spustoszonym przez nią gruncie słowiańskim tem łatwiej rozsiadła się w danym wypadku pruska potęga.

Odbiegłam na pozór od przedmiotu i zbyt może rozszerzyłam ramy niniejszych uwag, ale na to tylko, żebyś lepiej mogła zrozumieć, jak w Królestwie Polskiem owa pasya, żywioły i fermenty nurtujące kolosem rosyjskim, muszą szarpać, dręczyć i deptać, wstrętne im w zaślepieniu i zapamiętałości dzisiejszej — polskość, katolicyzm i wierność dla cywilizacyi Zachodu. Przez te dwadzieścia kilka lat, co zrobiono z religią i Kościołem? W ostatnich czasach strach, wywołany postępami nihilizmu, i wpływ kilku lepszych osobistości, przyniósł jedną przynajmniej ulgę, dając możność obsadzenia kilku biskupstw. Oto wszystko, co uczyniono, ale i to było wielką pociechą. Obok tego jednak zniesiono klasztory, kilku biskupów, a księży setkami wywieziono, tak, iż pozostali nie wystarczają dla pasterstwa dusz lub dosłownie zameczać się muszą. Seminarya tak ściśnięte i okrojone, że liczba alumnów, jaka z nich wychodzi, jest zawsze mniejszą od liczby księży, zmarłych w dyecezyi. Na Litwie, Rusi i w tak zwanem dziś „Zabużju" kościoły setkami zamykano, a i dziś jeszcze zamykają ustawicznie, wszystkich prawie gor-

liwszych księży wywieziono, a pozostałych, z których wielu jest wątpliwej moralności, poddano przez szereg lat samowładztwu gubernatorów i jak niegdyś w Wilnie rządom duchownym administratorów-renegatów. Na Litwie zwłaszcza trzeba często objechać kilkanaście mil naokoło, by spotkać księdza nie apostatę i kościół otwarty. W szpitalach i zakładach dobroczynnych od paru lat nawet w Królestwie osadzają siostry prawosławne, a obsługę katolicką i Siostry Miłosierdzia systematycznie rugują. Propaganda prawosławia sięga nawet do podrzutków i sierot, utrzymywanych w zakładach rządowych. Urzędników Polaków wypędzają lub wciągniętych w nędzę kuszą obietnicami utrzymania, jeśli przejdą na prawosławie.

Ksiądz na wsi nie może się ruszyć z obrębu parafii bez osobnego na każdy raz paszportu. Donos strażnika ziemskiego, a na Litwie „uradnika“ lub „pristawa“ wystarcza, aby go narazić na karę pieniężną, osadzenie w klasztorze lub nawet wygnanie. Wielu z nich usunięto z parafii za to tylko, że przez nieuwagę w dzień *tabelny* (uroczystość dworską) odprawiali nabożeństwa w ciemnych ornatach; innych za niedanie na spowiedzi rozgrzeszenia kobiecie, która wyszła za prawosławnego; innych wreszcie za urządzanie różańca, lub jak w pewnym wypadku na Podolu za zaprowadzenie Towarzystwa wstrzemięźliwości i namawianie chłopów, by nie pili wódki — i w tem bowiem dopatrzono się nieprzyjaznej dla rządu agitacyi. Słowem, skoro ksiądz ka-

tolicki trochę więcej robi i rusza się, wnet albo przenoszą go z parafii, lub osadzają na pokucie w klasztorze. W urzędowym stylu nazywa się to, że jest zanadto „wpływowym“... Każdy zaś „wpływowy“ podpada *eo ipso* w podejrzenie i bywa źle notowanym. Aby się utrzymać, zwłaszcza na Litwie i Rusi, ksiądz katolicki musi dbać więcej o dobre stosunki z urzędnikami powiatowymi, aniżeli o zdanie swej duchownej władzy; jeśli jest zamożnym, musi się opłacać różnym „sprawnikom i stanowym,“ w przeciwnym zaś razie z nimi żyć, pić i grywać w karty, zastępując niedawanie łapówek zażyłością sąsiedzkich stosunków i obfitością libacyj. Gdy od tego pożycia i libacyj stroni, już jest przez to samo podejrzanym i na liczne naraża się „donosy.“ Po za urzędnikami powiatowymi jest druga jeszcze osobistość, bardzo dla księdza niebezpieczna — pop prawosławny. Ten także na swoją rękę denuncyuje, zwłaszcza kiedy przychodzi na stół kłopotliwa i niezmiernie dla katolickiego sumienia drażliwa kwestya małżeństw mięszanych. Pop zaś na Unii, nie mając innego zajęcia, specyalnie i wyłącznie niemal denuncyacyi się poświęca. W Chełmie wychodzą t. z. *Eparchjalne Wiedomosti*, które od początku do końca zapełnione są donosami na księży katolickich i obywateli, a jednych i drugich wymieniają tam po nazwisku. Naturalnie, że wszystkie kary, wymierzone na księży, wykonywają się w drodze samowoli administracyjnej, bez udziału sądów, a nawet bez dania oskarżonemu możności obrony. Nie mó-

wiąc już o krajach zabranych, ale i w Królestwie Polskiem ksiądz katolicki niema wstępu i wpływu w szkółce elementarnej, a na „Zabużju“ to i nauka katechizmu, udzielana dzieciom w kościele, ulega ścisłym ograniczeniom i prześladowaniu. Grunta kościelne zabrano, a księży zostawiono na łasce parafian, pensya bowiem rządowa jest strasznie mała i w największych parafiach wynosi zaledwie 200 rs. rocznie, co nie przeszkadza jednak p. Hurce do wydawania okólnika, piętnującego powszechny jakoby wyzysk włościan przez proboszczów i polecanie urzędom gminnym, aby interweniowały w tego rodzaju wypadkach.

A co się działo i dzieje na Unii, to już woła o pomstę do Boga. Batóg, męki, gwałty zbrojnego żołdactwa, morderstwa, przesiedlanie całych wiosek w głąb Rosyi, rozpoczęły to dzieło miłościwego powrotu na łono prawosławnego kościoła. Teraz prowadzi się ono dalej egzekucyami wojskowemi i administracyjnym rabunkiem całych wsi, karami i więzieniem, albo pokusą nowego podziału gruntów i lasów właścicieli majątków. Trwający przy swej wierze unita, to istny parjas, nieszczęśliwy, odarty z wszelkich praw, otoczony ze wszystkich stron, ścigany po lasach i pustkowiach, gdzie ze swemi praktykami religijnemi kryć się musi, i jak skorpion otoczony dokoła ogniem, wije sie i szamocze ten męczennik, co kiedyś w martyrologii katolickiej zajmie miejsce obok pierwszych chrześcian z rzymskich katakumb. Nikt mu nie może dać pomocy, nikt

bratniej podać ręki, nikt jego cierpieniom ulżyć, bo każdy podpadałby tym samym co on rygorom i ściągał na siebie tysiące kar i tysiące prześladowań. Tych kilku ludzi, którzy niezrażeni niebezpieczeństwem podtrzymywali w nieszczęśliwych ducha i nieśli im pomoc — nazwiska tych ludzi, których wymienić nie można — zapisze kiedyś historya w szeregach najlepszych synów Ojczyzny. Persekucya doszła już do tego wyrafinowania, że biednemu unicie odebrano nawet możność zarobku, zapowiadając, że każdy pracodawca, który pozwoli, by „były unita“ — jak się to urzędownie nazywa — szedł do roboty w święto prawosławne, a katolickie obchodził, płaci wysoką karę pieniężną (25 rs. za każdy raz). Obawiają się więc ludzie przyjmować ich do służby folwarcznej, obawiają się nawet dziennie najmować, bo jakże to zmuszać takiego człowieka, by wbrew swej wierze w święto katolickie robił, a w prawosławne próżnował, i stawać się przez to narzędziem prześladowania rządowego; jakiej to zresztą trzeba baczności, aby wszystkie te prawosławne święta (a jest ich mnóstwo) spamiętać i za każdym razem przypilnować, by Prokopowi lub Marcie nie dawano w ten dzień roboty, lecz kazano iść do cerkwi. Nieuwaga zaś w tego rodzaju drobnostkach ściąga kary pieniężne, które w jednym roku uróść mogą i do kilkuset rubli, a w końcu wywołuje rozkaz opuszczenia majątku i przymusowej jego sprzedaży. Wytrwałość pozostałej przy wierze garstki przechodzi często w iście męczeńskie bohaterstwo.

Wolą oni chrzcić się i żenić bez księży, byle tylko popa prawosławnego nie widzieć, a niedawno w jednym ze szpitalów na Podlasiu umierający unita, gdy mu przyprowadzono „brodatego księdza“, ostatnich sił dobył, zerwał się z łóżka i zaczął się zawzięcie bronić przed natrętnym, gdy ten gwałtem chciał go „na śmierć pomazać“ i wśród tego szamotania się z popem, przebranym w szaty kościelne, skonał, wołając wciąż: „nie chcę, nie chcę... dajcie mi mego księdza!“ W innem znów miejscu matka z dzieckiem spaliła się w stodole, byle tylko niemowlę jej nie zostało na prawosławie ochrzczone.

Niedość na tem, prócz „byłych unitów“ wytworzono drugą kategoryę t. z. „zakwestyonowanych.“ „Zakwestyonowany“, to już nie unita, ale łacinnik, którego ojciec lub dziad był kiedyś w kościele unickim chrzczony lub choć raz sakramenta tam przyjmował. Liczba takich zakwestyonowanych jest wielką, dawniej bowiem przyjmowanie Sakramentów przez łacinników w cerkwi unickiej było i dozwolonem i częstem. Znam takich, którzy choć z rodziców w kilku pokoleniach łacińskich i sami łacinnicy, ale, że przypadkiem któryś z tych przodków (zarówno płci żeńskiej czy męzkiej) ochrzczony był w kościele unickim (co często się zdarzało w razie np. nieobecności lub wyjazdu proboszcza), są teraz gwałtem do prawosławnych zapisani. To samo dzieje się z małżeństwami; jeśli którakolwiek ze stron była obrządku unickiego, dzieci ich do prawosławia zaliczają, choć wbrew oczywistemu prawu, bo ustawa

z 1836 r. o małżeństwach mięszanych nie stosuje się i nie stosowała się nigdy przedtem do małżeństw między łacinnikami i Unitami. Teraz ustanowiono komisye, które w razie oporu, mają decydować o wyznaniu „zakwestyonowanych.“ Komisya ta składa się z parocha i dziekana prawosławnego, naczelnika powiatu i naczelnika straży ziemskiej, a choć wchodzą do niej dziekan i proboszcz katolicki, to większość prawosławna zawsze ich przegłosuje. Do jakiego stopnia popi prawosławni kierują się samowolą w „kwestyonowaniu“ rodowitych katolików, niech wskaże fakt, iż w jednej z parafij Podlasia, zakwestyonowano 6000 osób, podczas gdy ta parafia liczyła tylko 4000 kilkaset wszystkich mieszkańców.

W ostatnich latach ciche prześladowanie Unitów wzrosło jeszcze w dwójnasób. Datuje się to głównie od chwili objęcia rządów Królestwa przez jenerała Hurkę. Znalazł on doskonałe do tej roboty narzędzie w osobie p. Mirosława Dobrjańskiego, znanego Ci z procesu Hniliczek. Pan ten sprawuje obecnie funkcyę urzędnika do szczególnych poruczeń przy biurze jenerał-gubernatora. Te „szczególne poruczenia“ — to właśnie gnębienie Unitów. W tym kierunku nadano mu dyktatorską prawie władzę. Podejrzenia jego są wyrokami. Chodzi on przebrany za Unitę po wsiach i kościołach, ma całe zgraje akolitów, którzy klękają przy konfesyonałach, aby wypróbować księdza, czy bez kartki wysłucha spowiedzi, odgrywają rolę ajentów prowokacyjnych wśród samych Unitów, proponując im ułatwienie

praktyk religijnych, lub zasięgając rady, gdzie można wyspowiadać się, ochrzcić dziecko lub wziąć ślub. Udają też czasami księży, przybyłych jakoby potajemnie z Galicyi, aby podtrzymywać w wierze Unitów, perorują przeciw prawosławiu, zachęcają do oporu, chcąc tym sposobem wzbudzić zaufanie i rozwiązać język. W rozmaitych przebraniach i rolach występują ci ludzie. Raz jako współwiercy, kryją się jakoby przed strażnikami w chatach unickich, najmują się nawet do roboty, aby tylko podsłuchać rozmowy, wyszpiegować sposoby, jakiemi biedni paryasi zaspokajają swe potrzeby religijne. Doszło do tego, że w okolicach, gdzie się ostała Unia, trudno bardzo odróżnić prawdziwego Unitę od fałszywego ajenta Dobrjańskiego. To zaś zdwaja jeszcze ostrożność wszystkich i zaszczepia nieufność nawet do męczenników, w których każdy podejrzywać musi szpiegów. Dzięki tej robocie p. Dobrjańskiego, zamknięto już w tym roku kilka kościołów nietylko na „Zabużju“, ale i po tamtej stronie Bugu, na Litwie. Znane wypadki w Lublinie przed klasztorem Dominikanów były jego dziełem, a w cytadeli siedzi obecnie wielu podejrzanych o „nakłanianie b. Unitów do oporu przeciw prawosławiu.“ Z jego inicyatywy wyszło też rozporządzenie, aby tych wszystkich „byłych Unitów“, którzy brali śluby w Krakowie lub Galicyi, ścigano na drodze sądowej za „nieprawne pożycie“ i obrazę moralności publicznej. Położenie księży katolickich tam, gdzie są Unici, jest poprostu nieznośnem i niemożliwem do wytrzymania. Muszą

oni chodzić jak po szkle, oglądać się na wszystko i wszystkich, pilnować konfesyonału, by przy nim nie klęknął ktoś osobiście proboszczowi nieznany, muszą baczyć, by na nabożeństwie nikt z „zakwestyonowanych“ nie był obecnym, muszą na każdym kroku zapierać się swego powołania i stawać w sprzeczności z kapłańskiem sumieniem. Doszło do tego przecież, że na Podlasiu jeden z najprzykładniejszych kapłanów, znany ze swej pobożności a nawet ascetyzmu, nieszczęśliwą tą kwestyą unicką doprowadzony został do takiego rozdrażnienia, iż chwilowo zmysły postradał i pod wrażeniem rozkazu przemiany swego kościoła na cerkiew targnął się na własne życie.

Ale to nie wszystko jeszcze. To zaledwie drobna cząstka tych męczarni, które chyba pióro w krwi serdecznej maczane opisaćby zdołało. Nie kilka luźnych kartek, lecz tomów by na to potrzeba i z pewnością kiedyś tomy się takie ukażą, a jakiś przyszły Taine Unii, opierając się tylko na dokumentach i tajnych raportach Zamku, złoży dopiero pełny obraz tego teroryzmu, co przypomina żywcem czasy pierwszej rewolucyi francuskiej i epokę „podejrzanych.“ Tylko, że kiedy się te tomy ukażą, nikt z ówczesnych nie zechce może wierzyć, aby pod koniec XIX wieku, w samem prawie sercu Europy, działy się podobne gwałty i barbarzyństwa. I sam historyk zachwieje się nieraz i w jego poszukiwaniach urzędowe dokumenta wydadzą mu się przesadzonemi i przejmie go zgrozą ten obraz cynizmu ludz-

kiego, co swe okrucieństwa i męki religijną śmiał pokrywać powłoką i dzieło prześladowania zwać dziełem „dobrowolnego na łono prawosławia powrotu.“

I zastanowi się wówczas ten historyk, jak zaciętym i zawziętym musiał być umysł owych instygatorów, skoro po dokonanem już raz „nawróceniu“, nie przyszedł im na myśl bardzo prosty środek uniknięcia dalszych przynajmniej gwałtów i dalszej wobec późniejszych pokoleń kompromitacyi. Chcąc zakończyć straszliwą represyę, należało tylko pozwolić opornym, aby przeszli na łaciński obrządek i zapisali się do ksiąg ludności katolickiej. Byłby to najpraktyczniejszy dla rządu środek wyjścia z kwestyi unickiej, a położyłby tamę dalszym gwałtom. Zapewniłby on rządowi widoczne korzyści. Niepodobna bowiem, aby bohaterstwo opornych nie oddziaływało na tych małodusznych — co prawosławie przyjęli i praktykują. — Fanatyzm religijny jest zaraźliwym — a to, co się na Unii dzieje, może najlepiej rząd rosyjski o tej zaraźliwości przekonać. Więc lepiej nie tworzyć bohaterów i zakończyć męczeństwo radykalnem przecięciem kwestyi... Ale nie, myśl ta, podobno z miarodajnych sfer katolickich kilkakrotnie podnoszona, nie znajdzie nigdy posłuchu, bo jej nie dopuści owa czereda urzędnicza, która tę kwestyę unicką z większą jeszcze lubością niż każdą inną eksploatuje... Jeśli w całym kraju urzędnik rosyjski jest satrapą, to na „Zabużju“ używa dopiero dowoli, zwłaszcza przy dzisiejszem

usposobieniu naszego Zamku i Petersburga. Jak p. Dobrjańskiemu, tak i wszystkim dano tam zupełną *Carte blanche*, nieograniczoną swobodę diejatieli i misyonarzy prawosławia, niczem ich nie skrępowano i względami nawet na zwierzchność nie miarkowano. Jenerał-gubernator największe bezprawia akceptuje i w obronie ich staje. Niedawno na Podlasiu był wypadek, iż strażnik ziemski zabił człowieka, ścigając go w podejrzeniu, iż jest przebranym księdzem. Prokurator wytoczył z urzędu śledztwo, pokazało się bowiem, że zabity był mieszczaninem z pobliskiego miasteczka, wszystkim doskonale znanym i łacinnikiem, nawet nie „zakwestyonowanym.“ Powstała z tego powodu scysya między naczelnikiem powiatu i prokuratorem, a sprawa była tak krzycząca, że oparła się aż o Petersburg i tam podobno prokuratorowi przyznano słuszność. P. Hurko jednak z zasady bronił niesłychanej samowoli naczelnika powiatu i tłumaczył względami „politycznemi“ zuchwały opór, jaki ten stawiał władzy prokuratorskiej w kwestyi czysto kryminalnej. Ale jakież skutki takiego prześladowania na stosunki polityczne, socyalne i moralne? Oto hoduje się powoli na Litwie, Rusi, na Zabużju, a po części nawet i w reszcie „przywiślańskiego“ kraju lud bez Boga, bez moralności, bez wiary, chciwy, obojętny, krzywoprzysiężki, skory do łupiestw i do podpalania. Niech rząd wtedy nie narzeka na rozpasanie się złych między nim namiętności. Będzie miał i ma już po części taki lud, jaki sobie sam wypielęgnował. Jeśli

nie wszędzie jeszcze złe się rozwielmożniło, to wzmaga się wciąż. Dowodem statystyka kryminalna i rozgęszczenie się niebywałych przedtem zbrodni. Moralność i Boga nawet poświęcają tu dla politycznej i narodowej propagandy. Bóg swoje odrobi, ale sprawców tego stanu srogo kiedyś ukarze. Zdaje mi się, że Bossuet powiedział: *L'Eglise dans sa plus profonde paix, n' est guére sans son Pharaon, du moins en quelque endroit.* Takich wprawdzie Faraonów namnożyło się wiele w różnych częściach Europy, ale tamci Faraonowie nie głoszą, że są reprezentantami najwyższej tolerancyi, jak to czynią pp. Pobiedonoscew i Tołstoj, którzy wyciągają rękę do układów ze Stolicą Apostolską, rękę skalaną i skrwawioną, począwszy od czasów Katarzyny prześladowaniem, męczeniem i wydarciem wiary kilku milionom Unitów, kilkukroćstotysięcy łacinników, rzekomo dla zgody, którą następnie gwałcą wiarołomnie, mimo najuroczystszych zapewnień szanowania swobody religii i Kościoła. Tak działo się ciągle, począwszy od uroczystej przy pierwszych podziałach Polski deklaracyi aż do konstytucyi 1815 r., statutu organicznego i następnych konkordatów. Układy te proponowano zawsze jedynie po to tylko, by przygotować grunt dla dalszego oprawosławnienia już nie unitów ale łacinników, za pomocą powolnej rusyfikacyi obrządków. To też nie wątpię, że na tym punkcie spotka się Rosya nie tylko z *non possumus* Kościoła, ale z owem *apage* katolickiego wobec pokus sumienia.

Szkoła — to drugi akt tej prześladowczej polityki. — Zrusyfikowano ją zupełnie, profesorów Polaków wciąż usuwają, jedna tylko religia w krajowym wykładaną jest języku, a dla nauki języka polskiego wymyślono nawet książki drukowane grażdanką. Wszakże nawet zabrano się do rusyfikacyi Instytutu głuchoniemych i dano mu dyrektora prawosławnego. Obowiązujące jeszcze za Mikołaja uczęszczanie na mszę codzienną, spowiedź kwartalną, rekolekcye wielkanocne kasują, a natomiast jako kompensatę profesorowie chcą zachęcić młodzież do czytania po rosyjsku i dają jej z biblioteki studenckiej już nie anti-katolickie, ale sprośne i nieobyczajne książki. Mniejsza o to, co uczeń czyta, aby tylko czytał po rosyjsku. Niech 14-letni chłopak napawa się nawet Zolą — byle tylko w rosyjskim przekładzie. Liczbę szkół i uczniów ograniczono bez miary, wpisowe podwyższono, wykłady przeciążono, a egzamina tak wyśrubowano, że jeśli połowa uczniów przejdzie do następnej klasy, to profesorowie i dyrektor dostają naganę za to, że zbyt lekko egzaminują.

A co to za profesorowie i pedagodzy! W cesarstwie setki katedr nieobsadzonych, więc się bierze fusy i szumowiny, byle tylko rusyfikować Polaków. O jakimś systemie pedagogicznym większość ich nie ma nawet wyobrażenia; sami mało przygotowani, drugich uczyć nie potrafią. Więc mechanicznie, pamięciowo, a z nadmiernemi wymaganiami tłoczą i męczą młode umysły. Wzięto niby metodę

i programat szkolny pruski, ale cóż z tego, kiedy do wnętrza aparatu niema kół i sprężyn odpowiednich? To też powszechnie zauważono, że młodzieniec, wchodzący do szkół, ma zwykle wyniesioną jeszcze z wychowania domowego: świeżość umysłu, pojętność, ochotę do pracy — ale w miarę lat przebytych w gimnazyum tępieje, zniechęca się i na duchu oraz chęci do pracy upada. Nie może też być inaczej. Zasady pedagogiczne gromadzą się, wyrabiają, porządkują i ustalają wiekami cywilizacyi, nauki i doświadczenia. Dziś jeszcze na Zachodzie znajdziesz ślady ciągłości i pedagogicznej pracy wieków w szkołach, Uniwersytetach, w ich naukowych i wychowawczych metodach. Pod tym zaś względem jakież może być pedagogiczne uzdolnienie nauczycieli rosyjskich. Szkoły ich są tak świeżego pochodzenia, iż nie mogły jeszcze wyrobić nauki i należytego ustroju umysłu. Metody i programata wciąż się zmieniały, a cóż wypełniało ich szablonowe ramy? Powierzchownie pochwytane doktryny XVIII w. lub filozoficzny panteizm niemiecki, materyalizm Anglików, socyalne i rewolucyjne pomysły nowoczesnych reformatorów, a wreszcie pesymizm Schoppenhauera lub Hartmanna, z przymieszką rosyjskiego realizmu i nihilizmu. Tacy profesorowie, to przecież nie nauczyciele lecz truciciele. A nadto przy braku odpowiednich ludzi i ciągłem poszukiwaniu miejsc często bardzo idą na profesorów wysłużeni profesorowie, komisarze włościańscy lub kanceliści administracyjni.

Już za cesarza Mikołaja gnieździł się w uniwersytetach rosyjskich gruby pozytywizm i materyalizm. Büchner był katechetą i nauczycielem profesorów i uczniów. Od tego czasu prąd ten wzmógł się jeszcze z przymieszką socyalną — rewolucyjnych teoryj i brutalnej negacyi. Reakcya obecna, fanatyzm Pobiedonoscewa *e tutti quanti*, działa tylko na pozory zewnętrzne, płaszczy ludzi, ale nie zmienia wewnętrznego ustroju ciała nauczycielskiego. I oni to są hodowcami i przewodnikami polskiej młodzieży, ciepłej i trochę do idealizmu skłonnej. Jak zaś te doktryny na nią działać muszą, jak kleszcze rygoru i formuł bez treści miażdżą zdolności, jak fałsze w historyi, urąganie wiedzy i uczuciom narodowym coś zawsze z brzydoty swej na młodych umysłach pozostawią, jakie gorycze, zniechęcenia i zwątpienia budzić się muszą w duszach tych studentów, którym nauk dokończyć nie pozwolą, a skoro je przejdą, nigdzie do zastosowania ich nie dopuszczą — zrozumie każdy, kto jest tylko ojcem i obywatelem. To też nigdzie częściej, aniżeli u nas nie zdarzają się samobójstwa studentów. Prócz gimnazyów klasycznych i kilku realnych, niema nadto żadnych szkół specyalnych, technicznych, przemysłowych, rzemieślniczych, a nawet wyższych początkowych.

Szkoły zaś wiejskie, to znowu środek propagandy i sposobność umieszczania seminarzystów, kształconych z góry jako misyonarzy obrusienia i oprawosławienia ludu. Szerzą też oni bardzo czę-

sto wprost rewolucyjne i socyalne między ludem zasady, podburzają go przeciw inteligentnym warstwom społeczeństwa, szczepią nienawiść do „surdutowych“ — a propagandę swoją pozorują sympatyczną wszystkim zwierzchnikom agitacyą przeciw „panom“ i szlachcie. Pięknie rozwijająca się „Szkoła główna“ i powstały z niej później uniwersytet, co w parę lat tyle pożytecznych wydały ludzi, dziś upada coraz bardziej. I tu zastosowano powszechny system rusyfikacyi, aplikując go nietylko do języka wykładowego, ale i do ludzi. Po zwinięciu Szkoły głównej kilkunastu profesorów Polaków przeszło do uniwersytetu, poddając się śmiesznemu rygorowi składania powtórnych na wszechnicach rosyjskich egzaminów doktorskich. Podczas kiedy w całej Rosyi wszystkie uniwersytety posiadają pewien rodzaj autonomii akademickiej, a przedewszystkiem prawo wyboru rektora, wszechnicy warszawskiej prawo to cofnięto, rektora jej mianuje rząd, a nie było wypadku, żeby został nim człowiek istotnej nauki i naukowego imienia, lecz zwyczajny d i e j a t i e l, bez żadnej powagi i znaczenia w samej nawet Rosyi. Pozostałych zaś kilku czy kilkunastu profesorów Polaków kolejno wyrugowano. Pozbyto się najcelniejszych sił naukowych, aby tylko sami prawosławni mieli sposobność nauczania młodzieży. Nie wahał się ten niby uniwersytet przebalotować nawet takie powagi medyczne jak prof. Baranowski, a w przyszłym roku usuniętym także zostanie jeden z pierwszych w całej Rosyi chirurgów prof. Kosiński, dla-

tego jedynie, że jest Polakiem i katolikiem. W miejsce zaś ich przybywają z Rosyi nędzni belfrowie, niegodni nawet w gimnazyach wykładać, stek nieduków, niemających za sobą nietylko książki, ale nawet podręczników naukowych, pospolici kompilatorowie bez znaczenia, często nawet bez stopnia naukowego, a zarażeni moskiewskiemi doktrynami, słowem same z całego cesarstwa wybiórki i szumowiny. To też uniwersytet warszawski stoi pod względem naukowym niesłychanie nisko, zagranicą najgorzej ze wszystkich rosyjskich uważany, w świecie uczonym najmniejszej nie ma powagi, a u młodzieży traci coraz bardziej wziętość i musi się ratować sprowadzanymi za pomocą stypendyów polskich popowiczami. Frekwencya jego zmalała do połowy, znaczenie znikło, a powagi nie ma zgoła żadnej. W naukowej Rosyi tytuł profesora warszawskiego uniwersytetu lekko się bardzo ceni, a wiedzą tam wszyscy, jakie głównie kwalifikacye przeważają w wyborze. Najwyższa więc w kraju szkoła koronuje godnie wychowawczy system rządowy.

Od kilku lat a mianowicie od objęcia kuratoryi przez p. Apuchtina, wszystkie złe wpływy szkoły spotęgowały się bardzo. Co gorzej jednak, grasuje w tych szkołach (nie z przykładu kuratora, bo mu tego zarzutu bynajmniej nie czynimy, lecz skutkiem jego zaślepionego systemu) coraz srożej przekupstwo nauczycieli. Są gimnazya i to najczęściej w Warszawie, w których syn jako tako zamożnych rodziców nie dostanie promocyi, jeśli rodzice jego lub opie-

kunowie nie okupią się profesorom, inspektorowi lub dyrektorowi. Pod rozmaitemi formami składany bywa ten haracz: bezpośrednio z ręki do ręki, to znowu pod pozorem dawania lekcyj lub przyjmowania uczniów na stancyę. Trzeba przyznać, że p. Apuchtin stara się różnemi okólnikami przekupstwo to utrudnić, na nic się to jednak nie zdaje, gdyż kto chce wziąć, ten tak lub inaczej weźmie i na swojem postawi. Z rosyjskich zaś nauczycieli każdy wziąć pragnie, a ci co nie biorą, należą do rzadkich wyjątków. Wskazałam Ci już gdzieindziej, jak taki stan rzeczy wpływa demoralizująco na młodzież i jak zawczasu rodzi w niej przekonanie, że w tym kraju do niczego nie dochodzi się prostą drogą, że wszystko zdobywać trzeba krętemi ścieżkami, podejściem, nadużyciem i faworem pieniędzy lub protekcyi.

I pytam znowu — jaką takie szkoły państwu i porządkowi publicznemu gotują przyszłość? Zgorszenie tych maluczkich wywołało niegdyś w ustach Zbawiciela klątwę, obwieszczającą, że kto się tego dopuszcza, godzien jest, aby mu przywiązano kamień młyński u szyi i wrzucono do wody. Ale takie zbrodnie i w życiu politycznem potężną ściągają karę, podczas kiedy policya i żandarmi śledzą socyalistów i nihilistów, tu samo państwo hoduje ich sobie całe stada pod hasłem tępienia polskości i katolicyzmu, i jeśli zaraza ta nie jest powszechną, to dzięki tylko narodowej tradycyi i dzięki wychowaniu domowemu, które to, co szkoła zepsuje, starannie odrobić musi. Zamyka ono przed młodzieżą przybytki świa-

tła i gruntownej nauki, tym zaś, co szczęśliwie przebrnęli, nie daje przystępu do pracy i chleba, a skoro tak jest, jakimże sposobem młodzież ta nie ma oczekiwać zbawienia od światoburczego przewrotu, jak nie ma w zwątpieniu i gorzkości rzucać się w tę otchłań, co ją wabi i nęci nadzieją tego przewrotu i doktrynami zasianemi w szkole! Chwaliły się niegdyś Prusy, że ich *Schulmeister* przygotował Sadowę i Sedan; nauczyciel rosyjski poszczyci się kiedyś, że utorował drogę do wewnętrznego rozkładu i wychował hordy, co się z czasem najazdem lub dzikiemi orgiami po kraju moskiewskim rozleją. Co jednak mają poczynać te coraz liczniejsze zastępy młodzieży, co w Królestwie i krajach zabranych nigdzie, czy to w sądownictwie, czy w armii nawet, czy w nauczycielstwie, czy na kolejach rządowych umieszczenia i chleba znaleźć nie mogą? To także z przymusu, z konieczności, żywioły burzące i rozkładowe. Łatwiej im wprawdzie szukać zarobku na tych obszarach i głębiach cesarstwa. I bądź co bądź będą oni zmuszeni gonić aż tam za zajęciem i schronieniem — byleby tylko szli z Bogiem w sercu, uzbrojeni pancerzem przeciw tamtejszym pokusom, zepsuciu, przewrotnym myślom i uczuciom — z gorejącą miłością kraju, z siłą charakteru, w ogóle z tem wszystkiem, co jest Bożego w duszy Polaka i uczciwego człowieka. W takich warunkach mogliby się stać rozsadnikami cywilizacyi, idei sprawiedliwości i prawa, a tem samem i sprawy krajowej.

Sądownictwo liczy jeszcze stosunkowo najwykształceńsze i najuczciwsze pierwiastki rosyjskie. Należą jeszcze do niego ludzie starsi, z pierwszej epoki poprzedniego panowania, kiedy jeszcze nie zawsze zdrowe, ale szlachetniejsze przemawiały prądy. Był czas, że mieliśmy w Królestwie epokę Gerardów i Zakrewskich i to, co jest lepszego, to po nich jeszcze pozostało. Bądź co bądź jednak, w odniesieniu do Królestwa, rozwijającego się od lat sześćdziesięciu na ustawodawstwie francuskiem, które w latach od 1808—1831 i później do r. 1876 wytworzyły bardzo uczciwą i wykształconą magistraturę — reforma sądowa była cofnięciem się w tył. A cóż dopiero powiedzieć o wprowadzeniu do sądownictwa i notaryatu języka rosyjskiego, o zastąpieniu dawnych sług sprawiedliwości obcokrajowcami, nieznającymi ani języka, ani zwyczajów, ani stosunków, ani prawa cywilnego, hipotecznego i handlowego tutejszego kraju. Musiało to z natury rzeczy obniżyć wymiar, a zwolnić bieg sprawiedliwości, musiało wpłynąć na załatwianie interesów, na zadosyćuczynienie potrzebom codziennego życia, na pewność i jasność pierwszorzędnej wagi dokumentów, skoro wszystkie wyroki, rozprawy sądowe, badania, kontrakty, testamenta i t. d. spisują się w języku zupełnie obcym tak ludności jak i wykształceńszym klasom.

Zresztą trudno zataić, że nawet i to sądownictwo, które w pierwszych latach dbało jeszcze o dobre imię i uczciwość, ulega powoli powszechnemu prądowi biurokratycznemu i staje się coraz leniwszem,

coraz mniej niezależnem i wpływom postronnym uległem. Procent Polaków w nim niewielki, sądowników polskiego pochodzenia spotykamy najwyżej na posadzie wiceprezesa sądu okręgowego lub członka Izby sądowej. Dwóch czy trzech z nich jest prezesami wydziałów tej Izby, ale to dzięki temu tylko, że jeden z tych wydziałów sądzi sprawy według dawnego porządku, a drugi prezes Polak jest znakomitością uznaną i bardzo cenioną w całej Rosyi i w najwyższych sferach Petersburga. Do niedawna trzymano się zasady, że po sędziu Polaku tylko Polak może być mianowany, tak samo jak po Rosyaninie tylko prawosławny. Dziś i ta zasada coraz częściej jest łamaną. Polacy mają być przenoszeni w głąb Rosyi, a na ich miejsce sprowadzani ludzie, niemający przedewszystkiem pojęcia o naszem ustawodawstwie cywilnem i kodeksie Napoleona. Resztki zaś te polskiego wśród sądownictwa żywiołu niestety nie zawsze oprzeć się zdołały szerzącemu się w około nich zepsuciu. Dziś, i znowu to dla pełności obrazu powtórzę, szczególnie w Warszawie każdemu wiadomo, że w s ą d a c h k a r n y c h jakość wyroku zależy od ilości wyłożonych przez stronę pieniędzy. Sędziowie rosyjscy, powszechnie bardzo rozrzutni, znajdują się w rękach lichwiarzy, którzy następnie za wziętą od strony opłatę wymuszają lub kupują wyroki.

Oczywiście wypadki takie odnoszą się jeszcze do wyjątków — ale samo odcięcie obcego stanu sędziowskiego od społeczeństwa — ujmuje mu powagi i zaufania.

Słyszałam także, że zepsucie zaczyna powoli wglądać i do wydziałów cywilnych, do niedawna nieposzlakowanych, i z postępem czasu a napływem sędziów rosyjskich ogarnia ono coraz bardziej wszystkie przybytki sprawiedliwości. To zatem, com poprzednio powiedziała o wpływie urzędników rosyjskich w Polsce, i tu się także stosuje. Przeciętny Rosyanin ma tylko wyrobione instynkta polityczne, ale nie pojęcia o warunkach życia społecznego i cywilnego — nie nawykł on do zrozumienia wymagań prawdziwej wolności, prawa, bezpieczeństwa i godności osobistej. Wszystko zaś to musi oddziaływać fatalnie na wymiar sprawiedliwości. Dla niego b e z k a r n o ś ć łączy się i miesza z pojęciami liberalizmu i swobody. Sprężystej, czujnej, surowej nawet sprawiedliwości w sądzie i w zarządzie ogólnym nie uważa on za podwalinę i konieczny warunek wolności i postępu normalnego. Przeciwnie upatruje on je w apatyi, ospałości i rozluźnieniu wszystkich sprężyn władzy i porządku publicznego. To też ból ogarnia serce każdego Polaka, kiedy widzi, jak pod wpływem tego stanu rzeczy psuje się i gangrenuje moralność bardzo z natury poczciwego ludu i społeczeństwa. Z jednej strony b e z k a r n o ś ć i b e z c z y n n o ś ć sądownictwa i administracyi, z drugiej propaganda polityczna, dworactwo względem mas i podsycanie ich złych instynktów, zmieniają postać tutejszej społeczności, zawsze powtarzam, wyjątkowo, w ogóle poczciwej, bogobojnej, cichej, łagodnej i cierpliwej. Liczba i jakość przestępstw wzmogły się

przerażająco w porównaniu z tem, co dawniej bywało. Przedtem — prócz politycznej, nie było tu prawie po wsiach i miastach, że tak powiem, administracyjnej i cywilnej policyi. Dziś wszędzie jej pełno; w samej Warszawie i w miastach gubernialnych pochłania ona olbrzymie sumy, a koszta utrzymania po wsiach „straży ziemskiej“ są niepomiernie wielkie. Dawniej jednak prócz zwykłych kradzieży i to przeważnie przez żydów popełnianych i nader rzadkich wypadków zbrodni, bezpieczeństwo i spokój były zupełne. Dziś zagęściły się nieznane dotąd zabójstwa, morderstwa, podpalanie, rozboje i rabunki, dziś wsie nawet nie są od nich wolne. Bywają okolice, w których bez broni nie można w nocy bezpiecznie podróżować, a dworki szlacheckie i plebanie muszą trzymać straż i tarasować się, jak niegdyś przed napadami kup swawolnych. W Warszawie w biały dzień na ulicach rabują, na prowincyi tworzą się bandy, głośne, znane, jak niegdyś sycylijskie w maskach i przebraniach, i mijają nie miesiące, lecz lata, zanim banda taka zostanie wykrytą i osadzoną w więzieniu. Codzień prawie gazety donoszą o całym szeregu napadów i zasadzek, ale rzadko kiedy trafi się notatka, iż zbrodniarzy schwytano. Najczęściej giną oni bez śladu i znów nazajutrz ukazują się w innej okolicy. Nie ma zaś niedołężniejszej w tym kierunku policyi, jak tutejsza, zajęta propagandą, szpiegowaniem wszystkich, których o myślenie posądza — poluje tylko na łapówki, a na ściganie złodziei oraz zbrodniarzy nie ma ni-

gdy czasu. Cieszą się też oni względnie największą ze wszystkich swobodą, gospodarują w całym kraju i „wieś spokojna, wieś wesoła,“ o której śpiewał niegdyś poeta, stała się dziś mytem i archeologicznym terminem.

Z tego wszystkiego widzisz więc moja droga, że administracya i jej organa stały się u nas polem specyficznego rozstroju, niedbałości, samowoli i przekupstwa. Polaków wyrugowano zupełnie, z wyjątkiem najniższych tylko posad, a w ogóle przekształcono tę administracyę na modłę bardzo zacofanego w tej mierze cesarstwa.

Z dumą i pociechą wyznać to trzeba, że za Księstwa Warszawskiego i za Królestwa Kongresowego istniał tu zastęp urzędników administracyjnych, coraz gruntowniej wykształconych, pracowitych, idealnie nieposzlakowanej uczciwości i wielkiego poczucia, cechującego ową e p o k ę h o n o r u. Ta atmosfera urzędnicza zaczęła się już psuć za panowania Mikołaja. Nie było w tem nic dziwnego; samowola, brutalność, przewaga politycznych i antinarodowych celów i środków, brak niższych i wyższych zakładów naukowych, wszystko to prowadziło w naturalnej konsekwencyi do spaczenia i zubożenia zdolności i wiedzy, do upadku charakterów. Żyły jednak i działały długo jeszcze zasoby dawniejsze, ludzie z grona tych urzędników, którzy służyli i pamiętali Mostowskich, Lubeckich, Sobolewskich, Koźmiana i tylu innych. Zostawało jeszcze szerokie pole dla autonomii, i lubo pod brutalnemi rządami i teroryzmem Paskie

wicza, kraj dobrą i wdzięczną pamięcią otacza dotąd nazwiska Morawskich, Łęskich, Skarbków, Wyczechowskich, Łaszczyńskich, Kantego Wołowskiego i wielu innych. Jeżeli nie było dobrych szkół i uniwersytetu, to jednak w służbie publicznej na wszystkich jej szczeblach, począwszy od gminy aż do zarządów dyrektorstwem głównem, wyrabiali się ludzie zdolni i uczciwi, zaprawiając się do znajomości interesów kraju i kierowania sprawami rozleglejszego znaczenia i zakresu.

To była dawna administracya Królestwa Polskiego w tej chwili, kiedy reorganizacyę, a raczej dezorganizacyę rozpoczął Komitet urządzający. Zrazu pierwszy transport diejatieli składał się z fanatyków, doktrynerów, apostołów, ale i wśród tych ludzi można było spotkać się czasem z jakąś myślą ogólniejszą, z pewnem poczuciem niezależności i potrzeby zadowolenia bodaj ekonomicznych interesów kraju, a nawet nie przypuszczano jeszcze ani możności ani potrzeby bezwzględnej rusyfikacyi.

Sam nawet Mikołaj Milutyn w znanym memoryale swoim wyraźnie oświadczył, że zupełne zruszczenie Królestwa Polskiego należy do nieuchwytnych mrzonek. Później jednak tych lekarzy od polskości i katolicyzmu zastąpiono coraz pospolitszymi weterynarzami i felczerami. Miejsce apostołów i kunsztmistrzów zajęli prości rzemieślnicy, chciwi wyzysku i chleba. (Zastrzegam się po raz dziesiąty, że nie mam tu na myśli uczciwych i zdolniejszych, a w położeniu obecnem istotnie zaszczytnych wyjątków).

To też będę echem wszystkich mieszkańców tego kraju, kiedy powiem, że nigdy w administracyi naszej nie panował taki nieład i rozprzężenie, taka ospałość i obojętność dla interesów ogólnych, takie lenistwo i niezaradność, a zarazem taka samowola i przekupstwo, jak teraz. Budżet Królestwa Polskiego wzrósł od r. 1830 więcej niż w czwórnasób, a od 1862 podwoił się, pomimo tego jednak drogi i rzeki zaniedbane, policya polowa, leśna i gminna, nieczynne, rozprzężenie stosunków służebnych, publicznych i prywatnych — jak najdokuczliwsze, nadużycia i łapownictwo — powszechne. Najsprawiedliwszego i najdrobniejszego interesu niepodobna przeprowadzić bez okupienia się, a prąd ogólny porywa i małych urzędników Polaków, gorzej od Rosyan płatnych i w ciągłej obawie wydalenia, polujących za zapewnieniem sobie bytu. Zakłady publiczne i dobroczynne, kościoły zaniedbane i niedostatecznie lub niesłychanie skąpo uposażone. Fundusze miejskie rozszarpywane lub obracane na inne cele, policya budowlana, ogniowa, sanitarna, niezmiernie słaba; ochrona własności, porządku, bezpieczeństwa, wszędzie prawie żadna.

Duże, liczne bardzo i piękne dobra skarbowe i poduchowne do szczętu roztrwoniono, rozdając je ludziom bez szczególnych w boju lub w służbie cywilnej zasług, ale Rosyanom. To samo stało się także po części z obszernemi lasami rządowemi, które dawna administracya doskonale utrzymywała. Górnictwo rządowe zupełnie zaniedbane lub zmarnowane na korzyść pojedynczych wyzyskiwaczy.

Aby dać Ci przykład, do czego dochodzi samowola urzędnika administracyjnego, przytoczę Ci jeden z tysiąca wypadków. Pewien obywatel ziemski bronił się od niesłusznej opłaty, nałożonej na niego przez naczelnika powiatu, który miał nawet reputacyę względnie uczciwego człowieka. Zaskarżył go ostatecznie do Senatu i po długich a kosztownych podróżach wygrał sprawę. Zgniewało to bardzo p. naczelnika, poprzysiągł zatem zemstę. Dowiedziawszy się więc pewnego poranku, że ów obywatel przyjechał do miasta, każe wyprowadzić jego prześlicznej rasy konie i zastrzelić je na miejscu, pod pretekstem, że dostały nosacizny. Nic nie pomogły skargi obywatela, wartujące blisko 1000 rs. konie zginęły, a p. naczelnik przechwalał się jeszcze, że w ten sposób „nauczy każdego subordynacyi“. Ów zaś obywatel uważał się jeszcze za szczęśliwego w porównaniu z pewnym hrabią polskim na Rusi, który w r. 1863 dostał się za to tylko na Sybir, że rysaki jego wyminęły na drodze powóz p. jenerał-gubernatora, budząc srogi gniew satrapy.

Taki stan rzeczy odbić się musiał na zamożności kraju, a przedewszystkiem rolników. Przed r. 1863 dobrobyt ich był prawie ogólnym. Obecnie podatki skarbowe i opłaty skarbowe wzmogły się niepomiernie, ciągła potrzeba okupywania się urzędnikom zwiększa je w dwójnasób. Niedbałość zaś o interesa ekonomiczne kraju, rozstrój, nadużycia, tolerowanie niekarności w stosunkach ze służbą i włościanami, nieposzanowanie własności i brak bezpieczeństwa

publicznego musiały do reszty zubożyć ziemian, skoro powszechne przesilenie rolnicze i tutaj zawitało.

Nie piszę dzieła, lecz luźne notatki, więc ograniczyć się muszę na ogólnych wrażeniach i rezultatach. Inaczej bowiem musiałabym kreślić studyum naukowe, a nie szkice towarzyskie, do czego zresztą inne potrzebnemby było pióro. Dla ogólnego scharakteryzowania dzisiejszego stanu rzeczy dość chyba powiem, jeśli zaręczę, że wszyscy tutaj zmieniliby chętnie położenie obecne na to, jakie istniało za Mikołaja. Wówczas ciężyło nad krajem, nad myślą i każdym jej objawem ołowiane niebo grozy i teroryzmu, ale rządził jeden. Jeśli kościół i język w szkole paraliżowano, działo się to na podstawie określonego prawa a nie samowoli jednostki, nie z inicyatywy każdego, pragnącego się podchlebić rządowi i opinii rosyjskiego urzędnika. Wówczas był rząd i karność w narzędziach. Dziś program z góry nakreślony wykonywa partyzantka swawolna i samozwańcza. Wówczas kraj mimo żelaznych kleszczy, w których go trzymano, posiadał prawa i język swój w sądownictwie i urzędzie, duże pole dla autonomii, a władza mimo dzikich zboczeń samowoli, zanadto była jednak przejęta zasadami dostojności swojej, karności, porządku i ładu społecznego, by wszystko to poświęcać dla celów propagandy narodowej i socyalnej. Wówczas wiedziano, czego chcą u góry, dziś tę wolę sfer najwyższych wyrabia i formuje urzędnicza czereda. Wówczas monarcha znał kraj i wiedział, co się w nim dzieje, dziś istotne położe-

nie przed nim zakryte, a wszystko przedstawione w sztucznem i z umysłu tendencyjnie zabarwionem świetle. Wówczas było „samowładztwo“, dziś jest samowola, wówczas był absolutyzm jednego, dziś jest brutalstwo i rozpasanie tysięcy.

Czyż możliwem byłoby np. za cesarza Mikołaja, żeby prosty dziennikarz wzrósł do takiego znaczenia, że dyktował i narzucał rządowi swój program, że napadał w sposób najgwałtowniejszy na ministrów, obalał ich i stwarzał; że dochodził do takiego rozzuchwalenia, iż poleconego mu wydrukowania w swym dzienniku nagany władzy za przekraczający wszelką wreszcie miarę artykuł — nietylko na razie nie umieścił, lecz mimo kar pieniężnych przez całe miesiące nie poddał się rozkazowi i ostatecznie bezkarnie postawił na swojem. Czy za cesarza Mikołaja byłoby możliwem, aby nieliczna klika ludzi miernych bardzo zdolności i charakterów, ale służalczych, o ciasnych i fanatycznych poglądach, tak owładnęła wpływami swemi sfery najwyższe, że żaden głos inny, szerszy i sprawiedliwszy dostać się do nich nie może. A jednak prawdziwem było i jest dotąd zdanie Macchiavela, że „*un prince se juge surtôut par les hommes qui l'entourent*“.

W panegiryku żałobnym ostatniego z rodu Wiśniowieckich czytałam kiedyś opis następującego zdarzenia: Hetman W. K. L. Michał Serwacy ks. Wiśniowiecki stoi w oknie pałacu z Piotrem, carem moskiewskim; dyskurując o wolności polskiej, zawoła żołnierza swego z szyldwachu car i skoczyć

mu za zdrowie swoje z okna każe. W punkcie skoczył i nie wiem, czyli szyi nie złamał. I rzecze car do książęcia: Co podobnego wasza wolność! Odpowie książę: Miłościwy Panie, twoje rządy z góry na dół, nasza wolność z dołu do góry ludzi wyprowadza.

Miał racyę Wiśniowiecki. Rządy rosyjskie tak samo, jak ludzi, sprowadzają i kraje „z góry na dół“. Przykładem Królestwo polskie! Którejkolwiek tkniesz się sfery, wszędzie nie postęp, ale upadek, wszędzie cofnięcie się w tył, wszędzie staczanie się ku dołowi, wszędzie obniżenie poziomu i w porównaniu z przeszłością wstecznictwo zupełne.

Prowodyrowie dzisiejszego prądu w Rosyi zwykli powtarzać, że państwo ich nie powinno się w Polsce opierać ani na duchowieństwie i szlachcie, ani na mieszczaństwie i inteligencyi, lecz jedynie tylko na ludzie. Car i lud — oto hasło „samobytników“, hasło, które według wyznania ich samych ma byc dewizą rosyjskich w Polsce rządów i punktem wyjścia ich polityki. Zniszczyć zatem należy duchowieństwo i szlachtę, wyplenić resztki Polski „feudalnej i szlacheckiej“, a ta nowa „demokratyczna, ludowa“ będzie wiernie Rosyi oddaną, będzie tą, z którą paktowania i układy doprowadzą dopiero do pomyślnego rezultatu i trwałą pozyskają podstawę. Piosnka ta powtarza się ustawicznie w dziennikach rosyjskich, a ile razy który z nich dotknie kwestyi „pojednania“, wnet musi zapewnić, że tylko lud polski jest wiernie cesarzowi i Rosyi oddany, że z nim jednym

zatem można mówić, brać go w rachubę, resztę zaś trzeba zgnieść i wyplenić. Pomijam, że kto dziś mówi o „szlachcie“ w znaczeniu jakiejś odrębnej kasty, która wszystkiem władnie i wszystko zagarnia, ten dopuszcza się śmiesznego anachronizmu; pomijam, że żadne społeczeństwo nie może być z ludowych wyłącznie złożone pierwiastków i że w każdem inteligencya pracy i myśli przewodnie zawsze zajmuje miejsce, że wykluczenie z rachuby wszelkich „surdutowców“ może być tylko dokonywanem na papierze, nigdy zaś w praktyce — ale czy istotnie ten lud Królestwa polskiego jest tak cesarzowi i Rosyi oddany i czy mogą oni na nim budować i jego przywiązania oraz wdzięczności być pewnymi? — I oto przychodzę do jednego z tych pytań, co do którego w Rosyi panuje ogólne a dziwne zaślepienie. Lud polski jest z natury monarchicznym i względem władzy karnym. Czy ta władza w tych lub innych spoczywa rękach, to już dla niego kwestya podrzędna. Mógł on być czasowo wdzięcznym zmarłemu cesarzowi za uwłaszczenie i podział gruntów, wdzięczność ta jednak miała zawsze bardziej materyalne, aniżeli moralne pobudki. Po za nią atoli nie istnieje ani jeden węzeł między tym ludem a rządem, ani jeden punkt styczny, ani jedno ogniwo. Przez lat dwadzieścia kilka szlachcic, mieszczanin, ksiądz był paryasem i bezbronną ofiarą; wszystko natomiast robiono dla włościanina, a przynajmniej głoszono, że się dla niego robi. Jakiż jednak rezultat tej roboty? Oto ten, że i ów włościanin, również jak

wszyscy, odczuwa brzemię rządowego systemu, że i na nim odbija się stan całego kraju, że i on widzi doskonale, do czego takie postępowanie zmierza i jak w praktyce wygląda. I on pada ofiarą teroryzmu i wyzysku biurokracyi, a bardziej, niż każdy inny, wyzysk ten w pamięci notuje i z obietnicami porównywa, Kto się przypatrzy obchodzeniu się naczelników powiatu z wójtami gmin, kto widzi, jak ci chłopi na wsi wyzyskiwani bywają przez swych pisarzy gminnych i urzędników powiatowych, jak muszą łasić się komisarzowi i jak komisarz ten opiekę nad nimi uważa tylko za środek dorobienia się fortuny, jak wójci muszą się zwierzchności swe na każdym kroku okupywać, jak drżą przed strażnikami ziemskimi i przed „powiatem“, jak sami ponosząc różne koszta, muszą te koszta na członkach gminy odbijać — ten zrozumie dopiero, że owo hasło „car i lud“ to doktryna tylko, i że w praktyce brzmi ono tak samo, jak względem innych warstw społeczeństwa; wszystko dla urzędników, wszystko przez nich i dla nich. A przedewszystkiem kto chciał mieć włościanina polskiego za sobą — ten powinien był zacząć od uszanowania jego religii. To najczulsza jego strona, której drażnienie może nawet doprowadzić do wybuchu. Ani uwłaszczenie, ani dalsze nawet obietnice lasów i pastwisk nie zatrą w jego pamięci wywożenia biskupów i księży, zamykania klasztorów, konfiskaty kościołów i przemiany ich na prawosławne cerkwie. On ciągle tych lasów i pastwisk pożądać będzie, ale niemniej każdy

Rosyanin to dla niego heretyk i schizmatyk, to prześladowca katolicyzmu i ciemiężyciel wiary. Wieść o gwałtach na Unii rozbiegła się po wszystkich chatach polskich, a kiedy niedawno temu zjawiła się pogłoska o zaborze Częstochowy i wprowadzeniu monachów do klasztoru Jasnogórskiego, wśród pobożnych chłopków polskich takie powstało wzburzenie, że aż p. Hurko uważał za stosowne zaprzeczyć jej w urzędowym komunikacie i komunikat ten zaprawić wielką dozą oburzenia na tych, co śmią rządowi podobne przypisywać zamiary. Widzi doskonale ten chłop, co z jego religią robią; wie wybornie na całym obszarze Królestwa, jakim mękom ulegają Unici, a wie to nie od księży lub inteligencyi, ale od swoich, od tych kompanij pobożnych, co ściągają do miejsc cudownych, od zbiegających przed pościgiem straży ziemskiej Unitów. Wie doskonale, a skoro wie, to takiemu rządowi nigdy szczerze i wiernie oddanym nie będzie, chociażby go bardziej jeszcze wszelkiemi drogami przeciw szlachcie i surdutowcom podżegał. Ci zaś pp. „samobytnicy“, co tak śmiało na przywiązanie ludu do cesarza i Rosyi budują, niech raczą zajrzeć do chat włościańskich i niech przekonają się, że na Podlasiu np. podczas ostatniej wojny wschodniej, chłopi chowali umyślnie pszenicę dla Turków, w przekonaniu, że oni innego aniżeli pszenny chleba nie jedzą. Jeśli to ma być dowodem przywiązania do Rosyi i wiary w jej potęgę, to winszuję. Jakie zaś są dynastyczne uczucia włościan, przekonywa prze-

bieg ściągania składek na pomnik ces. Aleksandra II na Jasnej Górze. Inicyatywa tego pomnika wyszła nie od nich, ale od jen. Kochanowa, kiedy ten był jeszcze gubernatorem piotrkowskim. Chwycił się jej dzisiejszy Zamek i polecił naczelnikom powiatu, aby na zebraniach gminnych proponowali powszechne na ten monument składki. Na jednem z takich zebrań naczelnik zaproponował składkę od morga. Powstało ogólne oburzenie. „Nie chcemy od morga, dobrowolne ofiary, niech każdy daje, ile może.“ P. naczelnik odwoływał się na przykład kilku innych gmin, które uchwaliły po 2 kopiejki z morga. „Jakie tam gminy?“ — zawrzały wzburzone głosy — a jeden włościanin zdobył się nawet w rozdrażnieniu na uwagę, że „zawsze mówią: „gminy to zrobiły, gminy to uchwaliły, a później się pokazuje, że to wszystko łgarstwo... Nie dawajmy i kwita, bo i tak pieniądze rozkradną, a pomnika nigdy nie będzie...“

Kto chciał wreszcie mieć za sobą chłopa polskiego, ten powinien był dać mu szkoły we własnym jego języku, puścić do tej szkoły księdza, baczyć, aby w niej nie podkopywano religii, lecz raczej ją wszczepiano; ten powinien mu zabezpieczyć jego własność, chronić go od złodziei i koniokradów, ścigać podpalaczy, tępić zbrodnie i zbrodniarzy. Bezkarnością nikt jeszcze ludu na swoją nie przeciągnął stronę, owszem lud drażliwiej niż inni dba o sprawiedliwość i jak w stosunku służbowym oceni tylko surowego ale sprawiedliwego pana,

tak i w rządzie uzna jedynie ten, co słusznie tylko karze, win nie przepuszcza i przez szpary na nie nie patrzy.

Pewien wysoko położony Rosyanin, który długo w kraju naszym przemieszkiwał, patrząc na robotę Komitetu urządzającego, nie wahał się powiedzieć ks. Czerkaskiemu:

Rok 1831 był rewolucyą szlachecką, 1863 rok mieszczańską, wy moi panowie przygotowujecie w Polsce powstanie chłopskie...

I rzeczywiście postępowanie rządu w Królestwie polskiem nie zbliżyło chłopa do cara i Rosyi, ale go raczej znacznie od nich obojga oddzieliło. Rozbudziło ono w ludzie złe instynkta; na tych jedynie instynktach gra, siejąc zasady socyalne i rewolucyjne, podżegając przeciw właścicielom i wszystkim „surdutowcom,“ obniżając poziom moralny i religijny. Wszystko to siłą rzeczy musi się zwrócić przeciw samemu rządowi. Jeśli rząd ten mniema, że w chwili stanowczej wypuści „chłopów“ przeciw „panom“, to może srogiego doznać zawodu, bo nie zna tego ludu, lecz sądzi go z raportów naczelników powiatów i komisarzy włościańskich, z elaboratów układanych sztucznie przy zielonym stoliku. Straszenie takiem widmem, to farsa tylko. Dalsza gra na instynkcie chciwości i dalsze obietnice dziś już niemożliwe, bo narażałyby one na porządek publiczny w samem cesarstwie, gdzie w porównaniu z naszym lud jest stokroć mściwszym, twardszym, do rzezi skłonniejszym, materyalnie uboższym. Włościanin nasz jest zanadto religijnym,

aby podobnemu podmuchowi, gdyby się go nawet chwycono, uległ, a zresztą stosunki obecne między wsią i dworem czysto sąsiedzkie, wspólność jarzma i brzemienia rządowego, wyrabiają coraz bardziej pewne braterstwo prześladowania, pewną solidarność, jaka zwykle łączy tych, co jednemu ulegają losowi. Podmuch taki może ogarnąć pożarem całą Rosyę, może tam wywołać krwawą pożogę — u nas rozbije się o poczciwą niezmiernie naturę chłopa polskiego, o żale, jakie i on ma w wielkiej mierze do rządu, o religijność jego i ostatecznie o brak wszelkiego do nienawiści i zawziętości powodu i materyału palnego.

Nie sądź zresztą, aby w ogólnym eksterminacyjnym programie i ten lud, o którym tak czule wyrażają się „samobytnicy," miał stanowić wyjątek, aby i jego nie przeznaczano na zruszczenie i oprawosławienie. O nie! i on także ma uledz ogólnemu losowi Polaków. Czuje on to doskonale i wie bardzo dobrze, że chcą go „zmoskalić", wiarę mu odebrać i dlatego pomimo wszystkiego nigdy temu rządowi oddanym nie będzie, nigdy mu „swej duszy nie zaprzeda." Trzeba wielkiej dozy złudzenia, aby iż jest inaczej wierzyć, trzeba wielkiego zaślepienia, kiedy się głosi, że te masy, to gotowa partya rządowa, że na nich wyłącznie Rosya się opiera i przez nich celu swego dopnie. A im większe zaślepienie, tem ocknięcie się będzie straszliwszem.

I oto przeszliśmy wszystkie gałęzie rządowego tutaj wpływu oraz działania, i oto widzisz, jak spro-

wadzono nas „z góry na dół“, i jak na każdem polu, wśród wszelkich warstw system rosyjskiego w Królestwie rządu dąży do wyplenienia narodowości, do zupełnej zagłady polskości i katolicyzmu.

A skoro tak jest, to warto zapytać, jaką może być myśl przewodnia, polityczna tego blisko ćwierć wieku trwającego tępienia? I odpowiedź musi być prostą i jasną: radykalnie fałszywa i doktrynerska zasada bezwzględnej jednolitości państwa, zasada, którą dla własnych celów podżega i podtrzymuje w Petersburgu dyplomacya pruska. Czują to dobrze niektóre bystrzejsze w Rosyi umysły, a czują nie od dziś, choć brak zwykle odwagi płynięcia przeciw prądowi i otwartego wypowiedzenia prawdy. Że jednak ludzie obdarzeni takiem poczuciem są i istnieją; że opinia rosyjska nie składa się tylko z „samobytników“ i koryfeuszów dzisiejszego systemu rządowego; że choć dziś zgnieciona i nieśmiała, dawniej jednak, choćby pod koniec ostatniego panowania widomy nawet przybierała wyraz — przeto warto się zastanowić, czy dzisiejsze prądy i nastrój umysłów wiecznie ostać się zdoła i czy żadnej już zgoła niema nadziei zmiany i zwrotu ku lepszemu i racyonalniejszemu względem nas programowi?

Rosya nie jest zwykłym krajem i państwem, to więcej niż część świata. Liczy ona w swem łonie przeszło trzy czwarte ludności czysto rosyjskiej i prawosławnej.

Jednolitość ta aż nadto dostateczna, aby zapobiegała wszelkim odśrodkowym dążeniom zagarnię-

tych pod jej berło narodowości. Najliczniejsza zaś z tych narodowości, choć wyróżniona wiarą i językiem, jest jednak pochodzenia słowiańskiego i niedość silna, by samoistne państwo utworzyć. Politycznej zatem jedności państwa rosyjskiego nic nie zagraża. Do pewnego jednak stopnia można jeszcze wyrozumieć usiłowania, przedsiębrane ku jej skrzepieniu i skonsolidowaniu. Ale zkądinąd Rosya jest zbyt kolosalną, by mogła być centralistycznie rządzoną. Są konieczności mechaniki i statyki, których nie uznając, dochodzi się do faktu, że szyna, choćby żelazna, ale za długa, pęknąć musi. Różnica klimatu, natury, rodzaju ziemi, zaludnienia, odległości wzajemnej, różnice ekonomiczne, cywilizacyi, historyi, języka, wiary i t. d. muszą być w takim ogromie uwzględnione i uznane, jeśli normalny ruch i życie krążyć ma bujnie w całym organizmie. Kształtowanie się jednolitości państwowych i narodowych należy do pierwszej epoki państw w średnich wiekach, kiedy części ich składowe były gliną, płynem, co się łatwo zlewa i urabia. W XIX. wieku chcieć indywidualności dziejowe i cywilizacyjne pomięszać i zrównać, to kusić się o rzecz niemożliwą, całości szkodliwą, naturze przeciwną. Można je druzgotać, ale nigdy z pożytkiem dla całości zużytkować. Co więcej, ponieważ bezowocna pokusa taka używać musi gwałtu, niszczenia, samowoli bezwzględnej wobec warunków powszechnych każdego bytu, przeto tem samem podkopuje ona i uniemożliwia we własnym łonie normalny rozwój, życie

i postęp przemagającego w tej robocie plemienia. Postępowanie zaś takie kazi wszystkie organa rządu i władzy. Dzięki temu właśnie Rosya nie dojdzie nigdy u siebie samej do odpowiedniego jej potrzebom rozwoju politycznego, społecznego, cywilizacyjnego, a nawet finansowego, dopóki nie zrozumie tych prawd elementarnych.

Kto choć cokolwiek zna Rosyę, ten mógł się przekonać, że nie ma w Europie kraju, w którymby tyle w kierunku administracyjnym, ekonomicznym, szkolnym i t. d. wciąż istniejący porządek rzeczy zmieniano, reformowano i z gruntu przetwarzano. Dzieje się to nietylko przy zmianie panującego, ale bodaj każdego ministra. Najlepszy w tem dowód braku wyrobionych w społeczeństwie pojęć, doświadczenia, głębszego wnikania w kwestyę, co i wiele z instytucyj Zachodu da się do miejscowych warunków i stanu umysłu z pożytkiem oraz trwałością zastosować. Ztąd najlepsze urządzenia Zachodu psują się doszczętnie, paczą i marnują. Ale oprócz powyższego powodu jest inny jeszcze, bodaj czy nie ważniejszy. Biurokracya rosyjska i mająca z nią do czynienia klientela, jest do szpiku kości z e p s u t ą, tak przesiąkłą a r b i t r a l n o ś c i ą i s a m o w o l ą, tak nawykłą do gwałtu i bezwzględności w postępowaniu, że wszystko w jej ręku koszlawi się i wprost przeciwne zadaniu wydaje skutki. Na taki stan rzeczy umysłów i charakterów złożyła się cała przeszłość i despotyczna niwelacya. W ostatnich czasach przybyła jeszcze szalona pokusa bezwzględnej

unifikacyi i zmiażdżenia wszelkiej przyrodzonej odrębności. Czy podobna, by przy takich warunkach, gdzie wszystko: prawo, sprawiedliwość, roztropność, uczciwość i godność poświęca się dla tego fetysza, dla tego niepolitycznego zamachu i grubych namiętności — mogły powstawać i przygotowywać ustawy rozumne, trwałe i budujące; by urzędnicy do gwałtu i arbitralności w zagrabionych ukrainach przywykli, stali się we własnej ojczyźnie organami ładu, prawa, sumienności, porządku i harmonii społecznej. Sposób postępowania rządu w podbitych dzielnicach truje wszelkie zamiary i dążenia do mędrszego i reformatorskiego prawodawstwa, do wytworzenia we własnym kraju uczciwej, pracowitej i szanującej prawo administracyi.

Nieszczęśliwe ze wszech miar ruchy 1863 roku były następstwem chwiejnego postępowania rządu w dziele reformy, rozegzaltowania i rozgorączkowania umysłów, powszechnej atmosfery politycznej, panującej wówczas w Europie, której w równej niemal mierze ulegała opinia i polityka w Rosyi. Nadto rząd rosyjski nie umiał nigdy robić ustępstw i ulepszeń we właściwej porze. Czyni on je w chwili, kiedy okoliczności zmuszają go do tego, tymczasem gorycz, żale, krzywdy, cierpienia przeszłe tak już wezbrały, że kiedy rząd przystępuje do reform, namiętności biorą górę i stają się silniejszemi niż głos rozwagi i samozachowania. Tak było w r. 1863. Dodajmy do tego, że wszędzie zadanie ludzi konserwatywnych jest bardzo trudnem do spełnienia wo-

bec nieprzebierających w środkach stronnictw przewrotu. Wszakże w krajach niepodległych konserwatyści mają ostatecznie punkt oparcia w sile materyalnej rządu i wojska, w kraju zaś podbitym odwołanie się do tej siły jest prawie niemożliwem, bo nad wyraz wstrętnem i niebezpiecznem. Ztąd konieczna słabość tych ludzi w przeciwdziałaniu wzburzonym namiętnościom, wyzyskującym najświętsze narodowe hasła i uczucia. Mimo to jednak ruchy te były zrazu tak słabe, że gdyby nie późniejsze podmuchy Zachodu i rzucane ztamtąd hasła, a przedewszystkiem, gdyby nie nieopatrzność i zła wola władz wojskowych, można je było w krótkim bardzo czasie uśmierzyć. Ale sfery wojskowe i urzędnicze rosyjskie tak były Margrabiemu osobiście i jego programowi przeciwne, że dano czas rozwinąć się nielicznym kupom powstańczym i koncentrując wojska w kilku tylko punktach, dozwolono powstańcom ogarnąć i steroryzować obywateli, wszystko z umysłu i wyrachowania, byle tylko nienawistne dzieło i człowieka unicestwić. Od tego czasu kraj wystawiony był nieraz na pokusy i podżegania zagraniczne (wojna wschodnia), na spiski rewolucyjne i nihilistyczne, sięgające tu z cesarstwa i z Zachodu, mimo to jednak został absolutnie spokojnym, cichym, w umyśle jego wyrobiła się powszechna przeciw dawnej metodzie reakcya, nie znalazł się nietylko tu, ale w całym obszarze myśli polskiej ani jeden głos poważniejszy, któryby roku 1863 nie żałował i raz na zawsze się nie wyparł. Przyszła

więc chwila, w której należało zmienić postępowanie i zgodnie z obietnicami listu z Liwadyi powrócić krajowi możność życia, pracy i odetchnienia. Należało wówczas pamiętać, że kto zagarnie kraj obcy wiarą, przeszłością i indywidualnością historyczną, musi być z góry przygotowanym na pewne żywioły oporne i długie ich trwanie, musi nawet czasem znaleźć się w konieczności użycia środków represyjnych; nie zmienia to jednak obowiązku i celu, do jakiego powinien dążyć rząd każdy, utrwalając panowanie swoje zaspokojeniem słusznych na każdem polu potrzeb podbitego kraju. Należało usłuchać rady dawanej w Paryżu w loży opery Aleksandrowi II przez ówczesnego potentata Europy, należało po pogromie nie dobijać, ale do nowego powołać życia, należało skorzystać z najsposobniejszej chwili — jaką kiedykolwiek Rosya względem Polski miała.

Ale nie — postąpiono wprost przeciwnie. Zwyciężył nie głos rozsądku i rozumu politycznego, ale złowieszczy podszept upartej zemsty, nienawiści i niskich żądz. Rzucono się w objęcia Berlina, a ten doradzał rozdwojenie, prześladowanie i wytępienie. Ztamtąd płynęło wciąż hasło *divide*, ale nie po to, by Bóg, by Rosya sama rządziła, lecz żeby rządy drugim gotowała, im ścieżkę prostowała, dla nich wygodną a niekosztowną drogę słała. I powtórzyła się znana bajka o wyciąganiu kasztanów z ognia...

Skorzystano z zaślepienia i nienawiści Rosyi, aby ją jako narzędzie do swych własnych użyć ce-

lów, a ta ślepota była tak wielką, iż w zastawione sidła poleciał monarcha, wszystkie rządzące umysły i naród cały. Pod tym względem kunszt ks. Bismarka wobec Rosyi był szczytem macchiawelizmu. Oddał on jej w obu wojnach wschodnich niezaprzeczone usługi, ale natomiast wyzyskał stokroć korzystniej dla siebie wszystkie złe namiętności rządu rosyjskiego. Z doskonałą znajomością żywiołów, jakie eksploatował, pewnym był z góry, że w rządzie tym i społeczeństwie głos trzeźwej rozwagi przygłuszony zostanie przez wrodzoną mściwość, porywczość i bezwzględność żalów, jakie do Austryi i Francyi żywiono. — Tym sposobem Rosya poświęciła najniepolityczniej zemstom swoim oba te państwa i Danię w dodatku — by rozwielmożnić najniebezpieczniejszego sąsiada i wroga. Te same nędzne i niskie żądze posłużyły do podtrzymania nieubłaganej względem Polski zawziętości. Zbliżenie się i pojednanie Polaków z Rosyanami było zawsze zmorą Berlina. Obawiano się go z łatwo zrozumiałych powodów, a nic lepiej nie charakteryzuje już nie tę obawę, ale jej konieczność, jak owe słowa pewnej wysoko położonej osobistości berlińskiej, która oświadczyła wyraźnie, że od chwili, w którejby się przekonano, iż Margrabia zdoła się utrzymać i dzieło swe ku końcowi doprowadzić, wojska pruskie przeszłyby w dalszym lub bliższym czasie granicę. W miejsce armat użyto dyplomacyi. Ta zwyciężyła i dotąd wytęża wszystkie swe siły, by

nie dopuścić powrotu dawnych usposobień i jątrzyć wciąż ranę, nienawiścią i zaślepieniem ognioną.

Po ostatniej wojnie wschodniej ks. Bismark rozmawiając w Salzburgu z pewną znaną osobistością, wyrzekł te i dziś mające swoją doniosłość i zastosowanie słowa: *La Russie est hors question pour 20 ans, à moins qu'elle ne se reconcilie avec les Polonais, mais elle ne se reconciliera pas.*

Nie było zaś sposobniejszej do tej „rekoncyliacyi“ chwili, jak właśnie po r. 1863. Konstytucya r. 1815 była anomalią względem cesarstwa, a w Królestwie żyły jeszcze wspomnienia braterstwa z narodem i armią, której orły zwycięzki odbywały pochód po całym lądzie Europy. Urok Francyi, urok liberalnych prądów, wiejących z głównych ognisk Zachodu, utrudniały sprawę uspokojenia umysłów i zwycięztwo politycznej rozwagi, chociaż pomimo tego jedyna była to epoka, w której istniała w Królestwie Polskiem liczna i szczera partya rządowa.

Po r. 1863 zmienił się zupełnie widnokrąg polityczny. Znaczenie i wpływ Francyi zmalały, na pograniczu powstała potęga, co od wieków i „na resztę naszą wyciąga gardziele.“ W samym kraju rozwój żywiołów miejskich i w ogóle demokratycznych, postęp przemysłu i potrzeb ekonomicznych nadały kwestyi codziennego chleba bardzo doniosłe znaczenie. Żywioły te zaś upatrywały i słusznie w łączności z Cesarstwem warunki pomyślnego rozwoju i dobrobytu. Kraj był wycieńczony i niezmiernie znużony. Wystarczałyby wówczas nawet

bardzo skromne następstwa. Zabezpieczenie narodowości, religii, pracy, godności i bezpieczeństwa osobistego, usłałoby drogę do trwalszego porozumienia i współdziałania. Społeczeństwo z gorączkowem prawie natężeniem oczekiwało ustawicznie jeżeli nie radykalnej zmiany, to jakiegoś przynajmniej zelżenia. Lada drobiazgowi nadawano wagę lepszej na przyszłość wróżby; każdy mniej gwałtowny krok tłumaczono jako zapowiedź ulg, a dość było widzieć, jak zrazu przyjęto taką nawet błahostkę, jak utworzenie katedry literatury polskiej w uniwersytecie warszawskim, aby się przekonać, że była chwila, w której Rosya mogła za miskę soczewicy kraj ten na swoją przeciągnąć stronę i rany przeszłości jeśli nie zupełnie zagoić, to przynajmniej znacznie podgoić. Rady pruskie pozwoliły jednak zmarnować tę wyjątkową chwilę... Szowinizm i pożądliwość biurokracyi podały ręce poddmuchowi berlińskiemu. Powstał sojusz, o który jak o taran rozbijało się wszystko. I Rosya pracowała dalej dla króla pruskiego...

Wśród rasy germańskiej Prusy, wśród słowiańskiej Rosya wytężyły najdalej ideę państwową. Stanęły one obecnie twarzą w twarz. Konieczność dziejowa, a przedewszystkiem nieprzeparte prawa równowagi; potrzeby finansowe, ekonomiczne i kwestya cłowa czynią nieodzownem bliższe lub dalsze starcie się tych dwóch potęg. Wreszcie mężowie stanu w Rosyi i instynkta narodowe wiedzieć i widzieć muszą, że po rozbiciu Francyi, wyrzuceniu Austryi z Niemiec, po rozjątrzeniu do szpiku kości

Polaków, po niedorzecznej polityce Bałkańskiej, a w końcu wobec trójprzymierza i ciągłego antagonizmu Anglii, Rosya musi albo ulegać Prusom, albo prędzej lub później do upadłego z niemi się zetrzeć. — Najfatalniejszem zaś byłoby dla niej, gdyby dała się uśpić ustępstwami Prus na bałkańskim półwyspie i zezwoliła na drugi, ostateczny pogrom Francyi. Mimo zwątlenia, udział wyegzaltowanego boleściami, a z natury bitnego narodu, nie może być obojętnym walczącym, i każdy z nich musi zadawać sobie pytanie, po czyjej stanie on stronie. Zamiary ks. Bismarka są przejrzyste: u siebie tak zabór pruski z Polaków wyplenić, żeby zaledwie parę tylko powiatów mogło się nazwać polskiemi, w Polsce pod zaborem rosyjskim niedopuścić do jakiegokolwiek zbliżenia się dwóch słowiańskich plemion, a korzystając z zaślepienia rządu, krainy te tak zniszczyć i zubożyć, by po okupacyi pruskiej stać się one mogły jak najprędzej łupem germanizmu. Wątpić zaś należy, czy zamiar taki spełniony po Wisłę, Dźwinę i Niemen, może odpowiadać widokom Rosyi.

Jeśli rozszarpała ona wraz z innymi Polskę, toć chyba na to, aby swą potęgę państwową pomnożyć i stanowisko utrwalić, a ku Zachodowi posunąć. Cel ten dawał się tylko osiągnąć powolną drogą zadowolenia ogólnego. Wytępić narodowość, to w XIX wieku pokusa niemożliwa, a szalona. Narodowość ta zaś uszanowana, to w wewnętrznem życiu państwa siła zachowania, utrwalenia i rozkwitu; w przeci-

wnym zaś razie, to rak toczący, to rewolucyjne pokusy i dynamit. I tu istotny rozum stanu nie nakazywałby zrażać się nieudanemi, i to wyznać trzeba nieraz i z winy Polaków próbami, lecz właśnie zapanować nad żalem, zemstą i zawodem, gdyż dopiero takie zapanowanie jest prawdziwą sztuką rządzenia i przynosi istotne a trwałe państwu korzyści.

Wiadomo mi dobrze, że w Petersburgu nie brak takich, co liczą na przyrodzoną nienawiść do Prus. Rachuba ta ma być tak pewną, że śmiano się nawet, gdy o jej niezawodności ktoś z dyplomatów cudzoziemskich raz powątpiewał. Ależ i w tej, wzmożonej ostatniemi wypadkami nienawiści, są pewne granice. Jeśli pod berłem rosyjskiem ani narodowość, ani wiara, ani obyczaj, ani język, ani bezpieczeństwo pracy i własności, ani godność osobista, nie znajdą uszanowania i uznania, to w ostateczności Polacy mogą co najmniej obojętnie patrzeć i na taką walkę i na wynikłą z nich zmianę losu; takiego zaś uczucia nie dopatrzyłeś się dawniej, jest zaś ono dowodem, iż ból wzbiera codziennie i cierpliwość traci twą wartość moralną.

Nawzajem zaś myli się także Rosya, jeśli przypuszcza, że takie państwo, jak Prusy, militarnie potężne, ale bronione od wschodu bardzo złą granicą, może ostatecznie zezwolić, by Rosya w zaborze swym wytępiła doszczętnie wszelką polskość, by granica żywiołu rosyjskiego rozpostarła się tak daleko, aby Prusy stanęły o ścianę z państwem rdzennie moskiewskiem nad Wartą, Prosną i Drwęcą, by w Ka-

liszu i na całej wschodniej okrainie zapanował ten sam co w Moskwie i Twerze, język, duch i wiara; by wreszcie od Narwi, Rygi i Połągi całe wybrzeże bałtyckie uległo takiemuż losowi. To przecież stokroć lepiej samemu usadowić się w tych stronach i powoli je germanizować.

Kraina pusta, biała i otwarta,
Jak zgotowana do pisania karta.
Czy Bóg na niej wypisze zakłady
Miłości swojej? Czy szatan swe zdrady?

Tak ongi określił poeta ten kolos rosyjski. Od tego czasu wiele już niebożych kart wypisali na nim ludzie. Ale ostatecznie losy tej seciny milionów dotąd się jeszcze ważą. Kolos ten ma w swem łonie różne tętna i oddechy. Niesłychanie wrażliwy i do pewnego stopnia młody i niewyrobiony szuka wciąż drogi swych przeznaczeń. Za Aleksandra I szlachetne w sobie uczuł drgnienia. Za Mikołaja choć wrócił do tradycyi milczenia i samowładztwa, ale w 1831 r. armia karna nie dopuszczała się gwałtów i w pierwszych po nim latach nie znęcano się jeszcze nad uczestnikami rewolucyi, którzy pozostali w Królestwie. W początkach panowania Aleksandra II znowu wyszły na jaw bardziej ludzkie aspiracye. Królestwu przyznano bardzo ważne reformy, które należycie spożytkowane ogromnej byłyby doniosłości i otwierały wielką przyszłość. Choć przeważnie z samolubnych pobudek, ale ze społeczeństwa tego odzywały się nieraz uczucia wszechsłowiańskiego po-

słannictwa i hołdu dla praw narodowych. Dopomagano Grecyi, przyklaskiwano odrodzeniu się Włoch, Słowianom bałkańskim nie szczędzono ofiar mienia i krwi. Dziś panrusycyzm wyrugował dawne aspiracye, a wewnątrz powrót do przedpiotrowskiego samodzierżawja chciałby zgładzić wszystkie nabytki cywilizacyi zachodniej. Wszakże bolesne doświadczenia, komplikacye zewnętrzne, konieczność choćby lepszego tylko bytu ekonomicznego, a nadewszystko ta zawsze budząca się i odmładzająca potrzeba pełniejszego życia — nie pozwolą Rosyi ostać się na miejscu. Prędzej czy później trawiona niezmierną pychą, musi ona dojrzeć, że ze zmianą wewnętrznej polityki, z prześladowaniem zapamiętałem Polski upada jeśli nie wpływ brutalny, to urok jej moralny w Słowiańszczyźnie zachodniej; musi dojść do przekonania, że bądź co bądź kluczem do tych krain słowiańskich jest jej postępowanie z Polską, a zaporą widok dzikich eksperymentów, jakie na naszej dokonywa skórze. Do czego doprowadza katkowowski system unifikacyi i samobytnictwa doświadczyła Rosya dotykalnie w Bułgaryi i na całym Półwyspie Bałkańskim. A jednak miała tam do czynienia nie jak w Polsce z ludami zachodniej i katolickiej cywilizacyi, lecz z narodem bez historycznego bytu, połączonym z nią wiarą, językiem i bądź co bądź wdzięcznością za wyzwolenie z okropnej niewoli tureckiej. Obecnie jednak wszystkie ludy bałkańskie odwróciły się od niej i postradała tam Rosya cały niemal swój dawny wśród nich zarobek,

setkami lat i wielkich ofiar nagromadzony. A to wszystko dlatego, że ujawniła zamiar bezwzględnego pochłonięcia i rusyfikacyi tych krajów, przeprowadzając go z właściwą sobie brutalnością.

Mimo dziwnych sprzeczności, jakie społeczeństwo rosyjskie może z siebie wydać, są w niem wielkie zasoby patryotyzmu, odwagi, karności, ofiarności, wielka twardość i wytrwałość w przedsięwzięciach obok objawów tkliwości dla nieszczęśliwych, wielkie poczucie kohezyi narodowej i państwowej, oraz duży zmysł organizacyi i posłuszeństwa w samoistnych stowarzyszeniach. Posiada ona lud wiekową niewolą i bezprawiem zdemoralizowany, ale to nie demoralizacya przekwitu, lecz dzikości, braku cywilizacyi i uspołecznienia. Materyał to w ręku dobrym, szlachetnym i rozumnym, niezmiernie bogaty. Zdolny do wielkich poświęceń, niespożytej cierpliwości i rezygnacyi, zdolny do uczuć rzewnych, pobożnych, czasem głęboko chrześcijański, wdrożony do karności i posłuszeństwa, sprytu i pojętności wrodzonych, fanatycznego zmysłu dla potęgi państwa i głębokiej potrzeby wiary. Posiada ono armię, która jest poniekąd wyrazem tych zalet, cnót i tej potęgi, a jeżeli w ciągu tych listów wyraziłam się czasem nieco gorzko, a może nawet namiętnie o postępowaniu przeciętnem wojskowych w Warszawie i kraju, to przecież nigdy nie zapoznawałam ani kart dziejowych, na których czyny tej armii są zapisane, ani siły istotnej, jaką ona przedstawia, ani waleczności, jakiej składała dowody niedalej jak w ostatniej woj-

nie tureckiej. Wszystko zaś to może uczynić ów naród sposobnym do autonomicznego ustroju, nieprzedstawiającego niebezpieczeństw dla państwa. Trudno pomyśleć, aby ogrom ten powołanym był jedynie do wewnętrznego rozkładu i zgnilizny. Na to za wiele w nim żywotności, siły, patryotyzmu i poczucia własnej potęgi. Trudno także przypuścić, by był po wieczne czasy przeznaczonym tylko do grozy i uciemiężania wszystkiego co go otacza. Musi się jednak przerodzić i przekształcić. Ta robota przekształcenia przechodzić będzie przez szalone fazy, próby i zawody, ale już dziś stała się nieunikniona. Zmiażdżone wiekami godność i prawa jednostki ockną się, i powoli, po różnych kolejach i doświadczeniach, zdążać zacznie do odpowiedniej wolności, uszanowania prawa, swobody sumienia, myśli, języka i nauki, do dobroczynniejszego wpływu i znaczenia w słowiańszczyźnie i na świecie.

W indywidualności swej i w zachodniej cywilizacyi Polska ma wszystko, na czem Rosyi zbywa. Jest ona naturalnym łącznikiem i przewodnikiem między tą cywilizacyą a Rosyą, nawzajem Rosya posiada siłę, instynkt polityczny, władzę, karność i posłuszeństwo, których zawsze Polsce brakowało. Dość zaś rzucić okiem na mapę, aby przekonać się, że przyszłość Rosyi spoczywa w urzeczywistnieniu idei szerokiej autonomii i federacyi. Sprawiedliwość wymierzona Polsce dałaby jej siłę ogromną wobec niebezpieczeństwa, jakie zagraża obu ze strony wybujałej potęgi pruskiej...

Budowa społeczna Rosyi jest najwadliwszą. Brak jej zupełnie żywiołów zachowawczych w wyższem i szerszem znaczeniu tego wyrazu, tak w życiu politycznem jak socyalnem. Lud jest tylko punktem oparcia, ale tylko dla caratu i absolutyzmu. Wszakże to na długo i do szerszej budowy, trwałości jej i rozwoju w kierunku prawno-państwowym, społecznym i ekonomicznym wcale nie wystarcza. Car i lud równie jak starożytne *panem et circenses* i ubóstwianie rzymskich Cezarów nie utrzyma budowy, ale przeciwnie rozkład jej wkrótce przyspieszy. Nawet nowe nadziały gruntów trudności nie załatwią, tem pewniej, że ten lud wiejski nie ma jak na Zachodzie tego zmysłu i tętna konserwatyzmu, jakie z osobistej wypływają własności. Wspólność gminna stanie się w dalszym ciągu źródłem wielkiego niedostatku i niebezpieczeństwa dla państwa i klas oświeconych. Szlachta i więksi właściciele są bez wpływu i znaczenia dla zachowawczego żywiołu. Nieliczne tylko pośród nich wyjątki mieszkają i pracują na wsi; ztąd nie zapuścili w gminie, parafii, powiecie, głębszych korzeni, tam właśnie, gdzieby wpływ ich był najnaturalniejszym i najskuteczniejszym; ztąd też postradali oni wszelkie łączniki, jakieby ich z ludem wiązać powinny. Ogromna ich większość weszła do służby rządowej i gromadzi się w stolicach a tem samem giną i pochłaniani są przez wszechwładną a przeważnie demagogiczną biurokracyę. Duchowieństwo służalcze, grube, ciemne, pożądliwe, ubogie a liczną przyciśnięte rodziną, raczej dzieli,

niż powstrzymać zdolne socyalne pokusy. Stan średni wcale nieskonsolidowany i niezwarty. Posiada w swem gronie bardzo bogatych kupców i przedsiębiorców, ale to zbiór jednostek, gromada, a nie stan tradycyą, praktyką swobód, wyższem wykształceniem i uszlachetnionemi nawyknieniami wyrobiony. Powszechnie gruby także, bez nauki i wyższej moralności nie stanowi on żywiołu, któryby mógł podtrzymywać i rozwijać skutecznie ustrój polityczny i społeczny państwa. W Zbiorze Praw, na papierze, są w Rosyi stany, ale wszystko niwelujący i pochłaniający absolutyzm nie dał żadnemu z nich wzmódz się należycie i wykształcić. Przeciwnie Polska ma swój stan ziemiański ściśle z ziemią a nawet z ludem spojony, ma lud bardzo do swej roli i własności przywiązany i zachowawczy. Duchowieństwo niezmiernie przez lud i naród szanowane, w wielkiej większości wykształcone, przykładne, a z dworem harmonijne; ma wreszcie (w Królestwie) wyższe mieszczaństwo, kupiectwo i przemysłowców bardzo poważnych, rozumnych liberalnych lecz roztropnie umiarkowanych i zachowawczych. Dodaj do tego to, com Ci już wyżej powiedziała, iż Polacy są mimo swej częstej niesforności, w gruncie niezmiernie monarchiczni, konserwatyści aż do rutynizmu, bez porównania od Rosyan umiarkowańsi, tradycyami życia publicznego i poczuciem prawa daleko bardziej wyrobieni — a łatwo pojmiesz jak takie żywioły, należycie uszanowane i spożytkowane dodałyby siły temu chaotycznemu ogromowi, który jest na drodze

koniecznego przekształcenia, ale któremu po za caratem brak organicznych i równoważących się pierwiastków.

Zarzucisz mi może, że wszystko to mrzonki i marzenia rozegzaltowanej kobiety, co nie waha się tak daleko w przyszłość okiem sięgać i tak sprzeczne ze stanem dzisiejszym snuć plany! Odpowiem Ci na to słowami głębokiego pisarza francuskiego:

Jamais nous ne verrons tout pendant nôtre voyage, et souvent nous tromperons; mais si nos conjectures sont plausibles, si elles s'appuient sur des idées universelles, si surtout elles sont consolentes et propres à nous rendre meilleurs, que leur manque-t-il? Si elles ne sont pas vraies, elles sont bonnes; ou plutôt, puisque elles sont bonnes, ne sont elles pas vraies?

Żyjemy w epoce ciężarnej wielkiemi zmianami. Można do niej zastosować słowa de Maistra: *une certaine accumulation de vices rend une certaine revolution necessaire.* Co ona przyniesie, co przynieść może, najbystrzejszy umysł tego nie zgadnie. Próżno silisz się, by choć jeden róg przyszłości odsłonić; próżno zagłębiasz się, by jaką pomyślniejszą wywróżyć dolę. W takiem położeniu jak obecne, umysł badacza jak w kwestyach religijnych, tak i w polityce dochodzi do owych ostatecznych granic, po za które sięgnąć nie śmie w obawie, by się nie pomieszał, i waha się, i drętwieje i służbę swą wypowiada. Ludzie dzisiejsi są za mali, za zwątpiali i sceptyczni, żeby tę „nieodzowną rewolucyę“ za-

warli i załatwili. I znowu przychodzą mi na myśl słowa wielkiego Bossueta: *Quand Dieu veut faire voire qu'un ouvrage est toût de sa main, il reduit toût à l'impuissance et au desespoir: puis il agit.*

A społeczeństwo polskie? Choć o niem od ćwierć wieku tak głucho wśród szczęku broni, kłamstw dyplomatycznych, prasy przekupnej, trybuny służalczej, wśród brzęku złota i giełdowych matactw — ono na chwilę o sobie nie zwątpiło. Mimo gwałtów i zbrodni, co się na nie zażarły, broni się i pracuje, modli i spodziewa. Odkąd pierwszy raz targnięto się na dziedzinę Polaków, przez lat sto dwadzieścia czynią wciąż to samo i dzisiaj bodaj że nie są słabszymi, niż wtedy. Jeźli ludy niepodległe mogą powoływać się na powodzenie i rozrost jako na świadectwo swej żywotności, to stokroć wymowniejszem jest owo świadectwo niespożytego bytu wśród męczeństw, klęsk ustawicznych i niedoli składane. Sama zawziętość wrogów i kute przez nich prawa wyjątkowe głoszą światu, że jeszcze żyje, że żyje uparcie i silnie, że musi coś znaczyć i ważyć, kiedy drżą przed niem z obawy....

Pod berłem wielkodusznego monarchy, co prawa narodowe uszanował i zabezpieczył, życie to pełniejszem zawrzało tętnem i stali się tam Polacy podporą tronu i porządku społecznego; praca ich jawna i widoczna, a w niej postęp taki, że wobec świata za resztę całą świadczyć może. W zaborze pruskim i rosyjskim odstępstwa nie zobaczysz, zwątpienia nie ujrzysz. Stoją i bronią się i lepszej cze-

kają doli. Dwanaście jednoplemiennych milionów czekać może. Czekać i spodziewać się, że w wieku, który widział odrodzenie Grecyi, Włoch i Irlandyi, w wieku, w którem nowem zawrzały życiem Czechy, Słowiańszczyzna austryacka, Rumunia, Serbia i Bułgarya — i my, mimo najtrudniejszego ze wszystkich położenia geograficznego, zginąć i upaść nie możemy, bo byłoby to urąganiem i targnięciem na prawo życia, na obowiązki pokoju i sprawiedliwości dziejowej, na doniosłe i cywilizacyjne zasługi. Możemy czekać i ufać, że w końcu wyprosimy, „to co Boskiem jest, u Boga".

Ojciec Gratry powiedział kiedyś, że od podziału Polski Europa popadła w stan grzechu śmiertelnego. Tę samą myśl w stylu i argumentacyi dyplomatycznej wyraził Talleyrand na kongresie wiedeńskim. W rozrachunku, który wypadki gotujące się wszędzie koniecznym uczyniły, prawda ta stanie nago, a gwałt o zadosyćuczynienie zawoła i *modus vivendi* dla społeczeństwa polskiego, którego większość jego jest dziś pozbawioną, wynaleźć się musi. Widzenia wieszcza „Irydiona", „Przedświtu", „Psalmów" i „Nieboskiej" zdają się stosować do rodzących się dopiero czasów i wypadków, jego też słowami zakończę, śląc „do braci mojej wezwanie":

A wśród tych zdarzeń strasznego wybuchu,
O czystą tylko błagamy cię wolę
Wewnątrz nas samych: Ojcze, Synu, Duchu.

SPIS TREŚCI.

dników. — Zamożność kraju. — Porównanie czasów Mikołajewskich z dzisiejszemi. — „Z góry na dół“. — Teorya samobytników. — Car i lud. — Fałszywa rachuba. — Jakiem jest istotne usposobienie włościan dla rządu? — Braterstwo prześladowania. — Socyalistyczne podmuchy i ich następstwo. — Uwagi ogólne. — Mrzonki przyszłości. — Zakończenie.

Towarzystwo
Warszawsk

2